DWUGŁOS W SPRAWIE MAJA 1926 R.
Kto ponosi odpowiedzialność za ofiary śmiertelne na ulicach stolicy?

OD SZACHA DO AJATOLLAHA
Irański reżim wykuwał się w ogniu krwawej wojny z Irakiem Husajna

STAROŻYTNE ODKRYCIA GEOGRAFICZNE
Dzięki odwadze zapomnianych śmiałków Europejczycy zaczęli handlować z Chinami

NR 5(159)/2026 MAJ 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



100. rocznica zamachu majowego

BRATNIA KREW NA BRUKU

RR'S/S KRZYSZTOF WARZOCHOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 05 >

epraso.pl 5ab27a795

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny
Tomasza Sakiewicza dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej.
Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy,
które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 5ab27a795f

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Teheran, 1943 r.

Polskie dzieci ewakuowane ze Związku Sowieckiego w schronisku prowadzonym przez Czerwony Krzyż



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.LIBRARY OF CONGRESS

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Majowa rana

Sto lat temu Polską wstrząsnęły wydarzenia, które wyglądały jak zapowiedź krwawej wojny domowej. Mieszkańcy Warszawy zobaczyli żołnierzy w polskich mundurach strzelających do siebie. Jedni i drudzy byli pewni, że dobrze służą Polsce. Oddziały wierne rządowi uważały, że bronią państwa przed awanturnikami mającymi za nic porządek konstytucyjny. Z kolei żołnierze wierni Józefowi Piłsudskiemu byli święcie przekonani, że ratują ojczyznę, wyrywając władzę nieudolnym politykom.

Spór na temat ówczesnych racji wciąż rozpala polskie głowy. Czy Piłsudski uratował wtedy Polskę czy może odwrotnie – depcząc demokrację, w rzeczywistości zaszkodził ojczyźnie? W najnowszym numerze naszego miesięcznika wracamy do tamtych dramatycznych wydarzeń – opisujemy tło i przebieg zamachu majowego, pokazujemy konsekwencje obalenia legalnych władz Rzeczypospolitej i powstania rządów sanacyjnych. Oddajemy też głos historykom – prof. Janowi Żarynowi i prof. Wiesławowi Wysockiemu – którzy oceniają tamte wydarzenia z dwóch kompletnie różnych perspektyw.

Zamach majowy przyniósł niemal 400 ofiar śmiertelnych, przez co nie sposób bagatelizować rany, która została wtedy zadana Polsce. Nie chodzi tylko o krew przelaną w bratobójczych walkach, lecz także o bezpardonowe stłamszenie aspiracji tej części narodu, która nie zgadzała się z wizją Józefa Piłsudskiego. Każde takie krwawe wydarzenie siłą rzeczy generuje masę złych emocji, które po latach mogą dać o sobie znać w niszczący sposób. W przypadku Polski moment ten nastąpił wraz z klęską państwa w 1939 r., gdy wkrótce potem opozycyjna elita wzięła na emigracji bezpardonowy odwet na piłsudczykach. Tak pojawiły się kolejne polskie rany, które na pewno nie pomagały walczyć o sprawę polską podczas drugiej wojny światowej. ©℗

eprasa.pl 5ab27a795f



/ TEMAT NUMERU

.6 MAREK GAŁĘZOWSKI
Polski spór o Polskę

.12 PROF. WIESŁAW WYSOCKI
Przewrót był ratunkiem dla Polski

.14 PROF. JAN ŻARYN
To Piłsudski odpowiada za przelaną krew

.16 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Zamach. Ale czyj?

.20 TOMASZ STAŃCZYK
Generałowie za kratami

/ CZASY I LUDZIE

.24 PROF. UŁ ROBERT CZULDA
Od szacha do ajatollaha

.30 SŁAWOMIR KOPER
Chwała Kartaginy

.34 ANDRZEJ KRAJEWSKI
Naftowy kataklizm

.38 JAKUB OSTROMĘCKII
Rzymscy legioniści w Chinach

.42 DR TOMASZ E. BIELECKI
Polacy w armii Himmlera

.46 MIKOŁAJ IWANOW
Kaźń Polaków z sowieckiej Białorusi

.50 ANNA SZCZEPAŃSKA
Biblia z kamienia

.54 PIOTR SEMKA
Święty bolszewik z Wilna

.58 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Norymberska farsa

.62 ADAM HLEBOWICZ
Ponad żelazną kurtyną

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Namiętności Stanisława Grochowiaka

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Wajda paszkwilant

.73 PIOTR SEMKA
Dziwny sojusz niemieckiej niepamięci

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Odcięta ręka generała Lee

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Przestroga skruszonego syjonisty

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Krzyżacka perfidia

eprasa.pl 5ab27a795f

CAŁA POLSKA ŚWIĘTUJE 100-LECIE ZŁOTEGO!

TY TEŻ ODBIERZ SWÓJ BEZPŁATNY MEDAL!

Bez zobowiązań do zakupów!

Platerowany czystym złotem
(próby 999/1000)





Niepowtarzalne oznakowanie gwarantujące jakość

- Kolorowe zdobienia wykonane techniką tampondruku
- Ściśle limitowana edycja, wyprodukowano tylko 5000 sztuk na całym świecie!
- Najwyższa jakość mennicza – stempel lustrzany
- Medal dostępny wyłącznie w Mennica–Numizmaty

Dla Ciebie
za 0 zł*
(zamiast 185 zł)
*Koszty pakowania i wysyłki tylko 14,95 zł

Najniższa cena w ciągu ostatnich 30 dni przed wprowadzeniem obniżki: 0 zł.

Średnica medalu: ok. 33 mm
Waga medalu: 14,6 g

BEZ ZOBOWIĄZAŃ DO ZAKUPÓW!



Mennica–Numizmaty, marka Eldora World AG.
Administratorem danych osobowych i stroną umowy jest: Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria.

Ten medal z pewnością szybko się wyprzeda. Zamów już teraz!

☑ **TAK!** Chcę otrzymać medal „100 złotych – projekt 1924" **(nr art. 904-310-1)** za 0 zł* (zamiast 185 zł). Najniższa cena w ciągu ostatnich 30 dni przed wprowadzeniem obniżki: 0 zł. *Koszty pakowania i wysyłki tylko 14,95 zł.

Mam GWARANCJĘ, że zamawiając ten medal, nie zaciągam żadnych zobowiązań. Mam prawo do jego zwrotu w ciągu 60 dni. Płatność 14,95 zł (koszty pakowania i wysyłki) przy odbiorze przesyłki (za pobraniem).

Administratorem Twoich danych osobowych jest Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria – możesz się z nim skontaktować pod adresem bok@mennica-numizmaty.pl. Twoje dane osobowe (imię, nazwisko, adres) przetwarzane są w celu wysłania materiałów promocyjnych dotyczących monet i medali (art. 6 ust. 1 lit. f) RODO). Jeżeli nie życzysz sobie ich otrzymywania, możesz zgłosić sprzeciw wobec przetwarzania Twoich danych w celach reklamowych, wysyłając go pocztą (na adres: Mennica–Numizmaty, ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek) lub e-mailem (na adres: bok@mennica-numizmaty.pl). Więcej informacji o sposobie przetwarzania danych osobowych znajdziesz na stronie www.mennica-numizmaty.pl/prywatnosc

Zamów szybko i wygodnie przez telefon:
22 211 65 99
(Biuro Obsługi Klienta czynne od poniedziałku do piątku w godzinach 8:00-17:00 oraz w sobotę w godzinach 9:00-15:00)
Stawka za połączenie z numerem stacjonarnym zgodna z taryfą operatora.

❑ Chcę otrzymywać drogą elektroniczną i telefoniczną informacje o promocjach i rabatach dotyczących produktów własnych Eldora World AG. Wiem, że mogę wycofać moją zgodę w dowolnym momencie, wystarczy że wyślę informację na adres MENNICA–NUMIZMATY, Biuro Obsługi Klienta, ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek.

Mój adres: ❑ Pani ❑ Pan

586-06

Imię i nazwisko:

Ulica, numer domu i mieszkania:

Kod pocztowy Miejscowość

Nr telefonu (wymagany)

E-mail

Obowiązują *Ogólne warunki handlowe* Mennica–Numizmaty, dostępne na stronie www.mennica-numizmaty.pl lub (na żądanie) na piśmie. Stroną umowy jest Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria.

✔

Data Podpis

MENNICA NUMIZMATY™

Możesz też wypełnić kupon i wysłać go niezwłocznie na adres: Mennica–Numizmaty • ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek • bok@mennica-numizmaty.pl

eprasa.pl 5ab27a795f



Marszałek Józef Piłsudski na Moście Poniatowskiego, 12 maja 1926 r.

FOT. NAC, MARIAN FUKS

1926 r. / O przyczynach maja sprzed 100 lat i jego konsekwencjach

Polski spór o Polskę



Marek Gałęzowski

Za wypadki z maja 1926 r. i rozlew krwi trudno obarczyć pełną winą tylko jedną ze stron konfliktu. Stanowiły one bowiem splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego Polski

Nikt nie słyszał zaledwie kilkuminutowej rozmowy między marszałkiem Józefem Piłsudskim a prezydentem Rzeczypospolitej Stanisławem Wojciechowskim, do której doszło 12 maja 1926 r., ok. godz. 16.30 na warszawskim Moście Poniatowskiego. Ale towarzyszący prezydentowi por. Henryk Comte wspominał, że przebieg jej wydał mu się wyjątkowo ostry, a „obaj mówili z podnieceniem". Podobne było wrażenie innych świadków tej burzliwej wymiany zdań. Marszałek i prezydent rozstali się chłodno, by nigdy się już nie spotkać. A byli wszak dwojgiem starych przyjaciół, którzy jeszcze w końcu XIX w. współdziałali ze sobą w kierownictwie Polskiej Partii Socjalistycznej, marząc o niepodległej Polsce, co wydawało się wówczas odległym od rzeczywistości rojeniem. Obaj, odchodząc z mostu, myśleli o dobru niedawno odzyskanej Polski. Żaden nie zdawał sobie sprawy, że brak wzajemnego zrozumienia, po zniweczeniu ostatniej szansy uniknięcia konfrontacji, doprowadzi do dramatycznych konsekwencji.

Komu podlega wojsko?

Po rezygnacji ze sprawowanych funkcji wojskowych Piłsudski zamieszkał z żoną i córkami w Sulejówku pod Warszawą. Żył – jak i przedtem – bardzo skromnie. Emeryturę przyznaną z racji zajmowanego wcześniej stanowiska Naczelnika Państwa przekazywał na cele społeczne i kulturalne, przede wszystkim na potrzeby inwalidów wojennych i sierot oraz na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. Major Adam L. Korwin-Sokołowski, który czasami gościł u niego w Sulejówku, wspominał: „Obserwowałem niezwykłą prostotę życia codziennego tego domu. Wyżywienie było skromne, bo i środki pieniężne na utrzymanie domu były szczupłe".

Piłsudski utrzymywał się z pracy pisarskiej i odczytów, co dawało środ-

eprasa.pl 5ab27a795f

ki odpowiadające miesięcznej pensji kapitana WP. „Ta pogarda dla pieniądza, ta absolutna bezinteresowność Piłsudskiego zarówno w stosunku do siebie, jak i swoich krewnych przedostawała się jednak do szerokich sfer opinii publicznej, do ludu, który uważał Piłsudskiego za swojego obrońcę" – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz, przenikliwie ujmując przyczyny szacunku, którym znaczna część społeczeństwa darzyła zwycięskiego wodza wojny z bolszewikami.

Nie mógł i nie chciał on jednak stać się osobą w pełni prywatną, nie mógł obojętnie patrzeć na sprawy wojska i polityki zagranicznej, kluczowych dlań obszarów, od których zależało bezpieczeństwo Polski. Takie stanowisko Piłsudskiego nie było niczym nowym: już u progu odbudowy niepodległego państwa pisał do swojego wielkiego adwersarza Romana Dmowskiego: „Każde normalne państwo strzeże polityki zagranicznej i spraw armii zazdrośnie, jako monopolu państwowego. W państwach normalnych nikomu się nie śni prowadzić tych spraw poza państwem czy obok państwa. W państwach normalnych stronnictwo czy ludzie znają granicę, do której w tych dziedzinach mogą pójść, i ograniczają się do wpływania na czynniki państwowe, by poszły po ich linii, i nie ważą się poza [tę] granicę ani kroku zrobić".

Zarzuty o upolitycznianie wojska, przez co rozumiał podporządkowanie go zmiennym i niegwarantującym stabilności koalicjom rządowym, które coraz bardziej stanowczo zaczął wypowiadać w 1925 r., znajdowały poparcie nie tylko wśród oficerów Wojska Polskiego, którzy wywodzili się z Legionów, lecz także u niektórych wyższych wojskowych z dawnych armii zaborczych, jak chociażby generałów Leonarda Skierskiego i Daniela Konarzewskiego. Uczestniczyli oni w demonstracji blisko tysiąca oficerów w Sulejówku 15 listopada 1925 r., i to w ich imieniu gen. Gustaw Orlicz-Dreszer deklarował z przekonaniem, że Marszałek może liczyć na ich wdzięczne serca i zaprawione w bojach szable.

Dostrzeganie w tym szlachetnym porywie zasłużonych w bojach oficerów polskich znamion konspiracji przygotowującej zamach stanu jest daleko idącą przesadą. Mógł jednak mieć on wpływ na zaproszenie Piłsudskiego kilka dni później do Belwederu. Rozmowa, z udziałem prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, nowego premiera Aleksandra Skrzyńskiego i kilku wyższych wojskowych, w tym gen. Józefa Hallera, była próbą rozwiązania zarysowującego się sporu o organizację najwyższych władz wojskowym w państwie. Objęcie Ministerstwa Spraw Wojskowych w nowym rządzie przez gen. Lucjana Żeligowskiego, którego wskazał Piłsudski, załagodziło spór, dowodząc pojednawczego stanowiska władz wobec postulatów najwyższego stopniem polskiego wojskowego. Nie rozwiązało jednak problemu, który kilka tygodni później przybrał ostrzejszą formę, kiedy w liście do prezydenta Marszałek wypowiedział się krytycznie wobec przygotowywanego projektu organizacji naczelnych władz wojskowych, w jego przekonaniu czyniącego je w pełni uzależnionymi od polityków.



Józef Piłsudski wśród wiernych mu oficerów, Sulejówek, listopad 1925 r.

FOT. NAC

Marszałek wypowiedział się krytycznie wobec projektu organizacji władz wojskowych, w jego przekonaniu czyniącego je uzależnionymi od polityków

Głosu tego nie wzięto już pod uwagę, co – jak można przypuszczać – pogłębiło pesymizm i poczucie goryczy byłego Naczelnego Wodza. Władysław Baranowski, który odwiedził go w kwietniu 1926 r., wspominał, że zastał go „w stanie apatii, źle wyglądającego, pożółkłego, zgorzkniałego i zgarbionego [...]. »Czuję się fatalnie, ciągle te przeziębienia... ot człowiek bieduje« – mówił, nie zbywając jak zazwyczaj takiego zapytania [o zdrowie], i jakby chciał coś więcej o swym zdrowiu mówić (zawsze miałem wrażenie, widząc tak Piłsudskiego, że nie tylko o przeziębienia chodzi)". Intuicja Baranowskiego była trafna.

System prowadzący do zguby

Na początku maja 1926 r. upadł rząd Aleksandra Skrzyńskiego. W ciągu kilku kolejnych dni podjęto dziewięć nieudanych prób utworzenia kolejnego gabinetu. 10 maja na czele nowego rządu, utworzonego poza centrowym PSL „Piast" przez ugrupowania prawicowe, stanął Wincenty Witos. Spowodowało to gwałtowne wystąpienie przeciw niemu stronnictw lewicowych, które uznając rząd za „prowokację wobec ludzi uczciwych" i określając go zakałą i zgubą Polski, zapowiedziały przejście do twardej opozycji. W oświadczeniu klubów

eprasa.pl 5ab27a795f



Wincenty Witos i jego ministrowie, 10 maja 1926 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

parlamentarnych Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie" i Polskiej Partii Socjalistycznej wobec rządu użyto określeń „krwawy", „sprzedajny" i „rząd hańby narodowej". Tak nieustępliwe i konfrontacyjne stanowisko wznawiało konflikt z jesieni 1923 r. i dowodziło powagi kryzysu wewnętrznego w kraju, w sytuacji gdy żadne z ugrupowań nie zamierzało ustąpić.

Sam premier w przededniu objęcia władzy udzielił wywiadu prasowego, w którym m.in. podważył autorytet Piłsudskiego w Wojsku Polskim, co u tego rzadko ulegającego emocjom polityka mogło budzić zaskoczenie – nawet bardzo niechętny Marszałkowi Andrzej Garlicki nazwał tę wypowiedź „wyraźną prowokacją". Piłsudski odpowiedział w „Kurierze Porannym", krytykując Witosa i zarzucając wspierającym jego rząd stronnictwom dzielenie Polski na „szmatki na rzecz każdej partii" i demoralizowanie armii. Mówił, że wojsko i polityka zagraniczna mają fundamentalne znaczenie dla bytu państwa, dlatego muszą pozostać niezależne od chwiejnych koalicji parlamentarnych. „Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktuacji gry zawistnych partyj, gdyż system taki prowadzi nieuchronnie państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje". Słowa te miały swoje znaczenie w kontekście niedawnych wydarzeń na arenie międzynarodowej, wprost zagrażających bezpieczeństwu Polski – postanowień konferencji w Locarno, a później odnowienia traktatu między Niemcami a ZSRS w Rapallo.

Publikację wywiadu uniemożliwiono na polecenie premiera, ale wieść o tym i o treści wypowiedzi Piłsudskiego szybko rozeszła się po Warszawie. Jeszcze tego samego dnia wieczorem piłsudczycy zaczęli manifestować w stolicy pod hasłem powrotu Marszałka do wojska. Zbiegło się to z rozpoczęciem manewrów w Rembertowie pod Warszawą, które jeszcze w poprzednim miesiącu zarządził minister spraw wojskowych gen. Lucjan Żeligowski, dowództwo powierzając Piłsudskiemu. Na czele zebranych tam oddziałów stali oficerowie oddani Marszałkowi, m.in. gen. Orlicz-Dreszer. Kiedy nowy minister spraw wojskowych, gen. Juliusz Malczewski, rozkazał im wrócić do koszar – odmówili. To na ich czele 12 maja 1926 r. marszałek Piłsudski zajął Pragę.

Za dużo nieprawości

Piłsudski, wchodząc na Most Poniatowskiego, liczył na zażegnanie kryzysu dotyczącego zwierzchnictwa nad wojskiem. Wszystkie świadectwa dowodzą, że nie spodziewał się gwałtownej reakcji prezydenta, który okazując nietypową dlań stanowczość, odmówił jakichkolwiek rozmów i zażądał dochodzenia swoich pretensji zgodnie z prawem. A kiedy podchorążowie z asystującej prezydentowi kompanii na pytanie skierowane do nich przez Piłsudskiego, czy przepuszczą go do Warszawy, odpowiedzieli przecząco, skrzyżowali karabiny i padła komenda „ładować", było pewne, że żadne porozumienie nie jest możliwe.

Marszałek, który sądził, że demonstracja wojskowa przyniesie natychmiastowy skutek w postaci zmiany polityki władz wobec wojska, wrócił na Pragę i nie podjął żadnych decyzji. Jego wszystko mówiące zachowanie wspominał 20 lat później gen. Kazimierz Sawicki, w maju 1926 r. dowódca 36. pp Legii Akademickiej: „Był bardzo zmęczony i zatroskany. Popatrzył na mnie swoim głębokim wzrokiem, jakiś czas milczał, po czym zaczął mówić z przerwami… »Przyjechałem, chłopcze, do was. Most Poniatowskiego stracony. Rozumiecie, stracony… I cóż u was?«". Kiedy Sawicki zaczął go przekonywać, że droga przez Most Kierbedzia jest wolna, i zapytał o instrukcje dla oczekującego w awangardzie mjr. Jana Korkozowicza i jego żołnierzy, ten nie odpowiedział. „Był bardzo zmęczony i zatopiony w myślach, jakby nieobecny. Patrzył gdzieś w przestrzeń poprzez okno. Po chwili jakby od niechcenia powiedział: »Chciałbym dzisiaj móc być na Zamku. Jedźcie, a ja się tutaj położę i odpocznę«".

Po tych słowach spoczął na znajdującej się w pomieszczeniu kanapie i zaczął rozmowę z płk. Karolem Ziemskim z tegoż 36. pp. Nie dotyczyła aktualnej sytuacji politycznej, ale korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, w którym osiem lat wcześniej służył przyszły dowódca powstańczej Starówki. Dłuższą wymianę zdań przerwała strzelanina. Jak wspominał Ziemski, kiedy Marszałek ją usłyszał, „twarz jego jeszcze bardziej przybladła i miała twarz zatroskania".

Brak decyzji Piłsudskiego nie zatrzymał zbrojnej konfrontacji. Wkrótce bowiem w rejonie Mostu Kierbedzia przy Placu Zamkowym doszło do wymiany strzałów między wojskami rządowymi a piłsudczykami. Ci drudzy ruszyli naprzód i w ciągu następnych godzin opanowali północną i środkową część lewobrzeżnej Warszawy. Krytycy Piłsudskiego zwykle milczą o tym, że ogień otworzyły najpierw oddziały wierne władzom, ale w istocie nie ma znaczenia, kto strzelił pierwszy, gdyż do zbrojnego

eprasa.pl 5ab27a795f

rozstrzygnięcia dążyli też niemający możliwości odwrotu piłsudczycy.

Sam Piłsudski, kiedy otrząsnął się z przygnębienia, kilka godzin później zabrał głos w sprawie przyczyn swojego wystąpienia: „Nie mogę długo mówić – jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się, po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę sił z wszystkimi konsekwencjami. Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowię imponderabilia, jak – honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia. Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie – gdy nie chce ono iść ku zgubie – za dużo nieprawości".

Dramat Sosnkowskiego

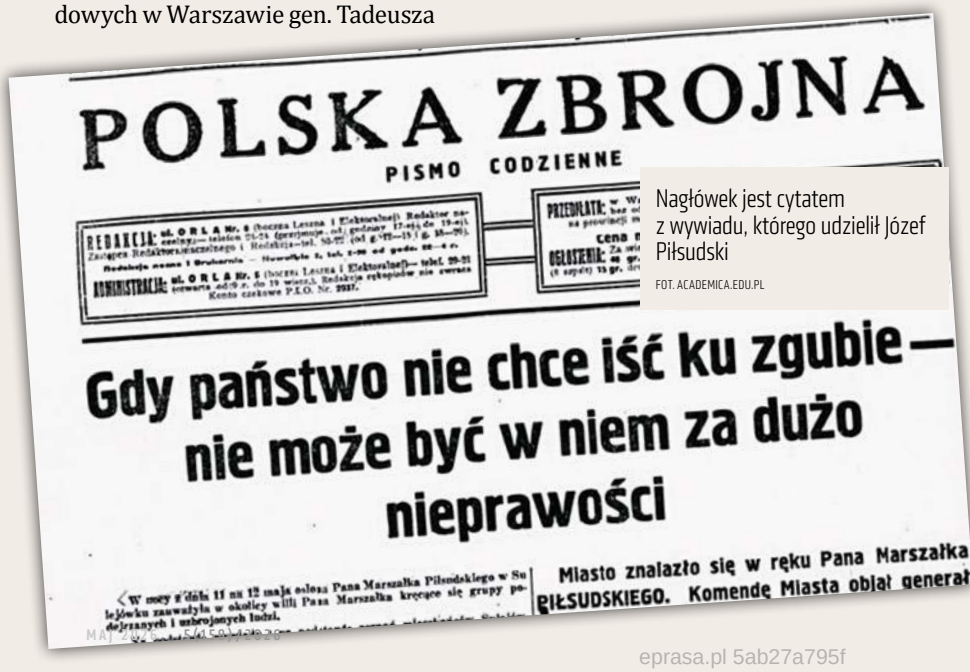
Po pierwszych strzałach rząd w swojej deklaracji uznał zwolenników Marszałka za szaleńców, którzy targnęli się na majestat ojczyzny i skalali ręce bratnią krwią. Wyrazem zaś determinacji w dążeniu do stłumienia buntu przeciw legalnym władzom był rozkaz dowódcy wojsk rządowych w Warszawie gen. Tadeusza Rozwadowskiego, wybitnego i zasłużonego w dziele odbudowy państwa wojskowego: „Starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu, nie oszczędzając ich życia".

Do najbardziej zaciętych zmagań doszło 13 maja, podczas których „Polacy ginęli bądź za swoje przekonania, bądź za lojalność wobec złożonej przysięgi" (Stanisław Cat-Mackiewicz). Symbolem wielu osobistych dramatów ludzi oddanych państwu stała się próba samobójcza gen. Kazimierza Sosnkowskiego, jednego z najbliższych Marszałkowi, towarzysza internowania w Magdeburgu, który wrócił z nim do Polski 10 listopada 1918 r. i stał u jego boku w czasie odbudowy polskiej państwowości.

Dzień przed rozpoczęciem walk Sosnkowski przybył na zaproszenie władz do Warszawy. Liczyły one na jego mediację, czego wyrazem miała być nawet propozycja powrotu na stanowisko ministra spraw wojskowych. Sosnkowski nie wiedział o przygotowaniach do przewrotu, gdyż – jak zauważył Andrzej A. Zięba – „nowe otoczenie Marszałka izolowało go od dawnego współpracownika". Ze strony zwolenników Piłsudskiego przekazano mu jednak, by odrzucił propozycję rządu Witosa, i dano do zrozumienia, by wrócił do Poznania; nie wiadomo, czy to drugie działo się za wiedzą Piłsudskiego. Tak też się stało i kiedy 13 maja, dzień po rozpoczęciu walk zastępca Sosnkowskiego, gen. Edmund Hauser, pierwszy poinformował go o sytuacji w Warszawie, jak również o rozkazie wysłania odsieczy dla rządu, nie wyraził swojego sprzeciwu. Uważając jednak, że każde rozwiązanie godzi w jego honor polskiego oficera, podjął desperacką próbę samobójczą, strzelając sobie w serce. Został odratowany, ale rana była poważna – generał wymagał trzech operacji i długiej rekonwalescencji.

Niektórzy piłsudczycy rywalizujący o przychylność Marszałka zyskali okazję do niegodnych pomówień Sosnkowskiego, że usiłowanie samobójstwa zostało przezeń sfingowane; prowadzono też dywagacje, jakoby dowodziło ono rzekomo typowego dla Sosnkowskiego braku umiejętności podejmowania jednoznacznych decyzji. W istocie generał stanął przed niemożliwym dlań do rozwiązania dylematem: czy dochować wierności legalnym władzom państwa czy Marszałkowi Piłsudskiemu, który to państwo wywalczył i obronił, co nie wyklucza – o czym wspominał jeden z bliskich mu ludzi – nałożenia się na to także głębokiego wstrząsu, spowodowanego samym wybuchem bratobójczych walk, grożących wojną domową i tym samym bytowi Rzeczypospolitej.

Próba samobójcza jednego z najwybitniejszych polskich wojskowych, a w przyszłości także polityków, człowieka o najwyższych walorach moralnych, na szczęście się nie powiodła. Niestety – okazała się ona natomiast skuteczna w wypadku innego oficera legionowego, 31-letniego płk. Mieczysława Więckowskiego. Służący w Legionach od początku wojny, później uczestnik zmagań o granice Rzeczypospolitej, kawaler Orderu Virtuti Militari, w chwili rozpoczęcia walk w Warszawie dowodził 7. pp Legionów. Jego tragiczny wybór znalazł przejmujące upamiętnienie w filmie „Zamach stanu" Ryszarda Filipskiego.


POLSKA ZBROJNA

PISMO CODZIENNE

Gdy państwo nie chce iść ku zgubie — nie może być w niem za dużo nieprawości

Miasto znalazło się w ręku Pana Marszałka PIŁSUDSKIEGO. Komendę Miasta objął generał

Nagłówek jest cytatem z wywiadu, którego udzielił Józef Piłsudski

FOT. ACADEMICA.EDU.PL

Dwie racje

Zacięte walki drugiego dnia przewrotu nie okazały się na szczęście wstępem do wojny domowej i nie rozciągnęły się poza Warszawę. 14 maja prezydent Wojciechowski, premier Witos oraz ministrowie opuścili Belweder i udali się do Wilanowa. Tam

eprasa.pl 5ab27a795f

następnego dnia podali się do dymisji, wbrew presji wyższych wojskowych, którzy uważali, że należy kontynuować walkę. Prezydent odrzucił tę możliwość, słusznie przekonany, że konflikt będzie eskalował ku wojnie domowej. Tego samego zdania był premier Wincenty Witos, który opowiadał się za podjęciem rozmów mających załagodzić spór już po pierwszych strzałach na Moście Kierbedzia.

Prawo obowiązujące bez wyjątku wszystkich obywateli państwa zostało niewątpliwie złamane przez piłsudczyków. Jednak sprowadzanie dyskusji nad oceną przewrotu majowego do przypisania Józefowi Piłsudskiemu wyłącznej odpowiedzialności za przelanie bratniej krwi, podobnie jak obarczanie przez piłsudczyków ówczesnych władz winą za doprowadzenie do kryzysu politycznego wiosną 1926 r., który wedle nich był źródłem wypadków majowych, pomijają kontekst ówczesnej sytuacji politycznej.

Państwo polskie stanęło przed widmem jeżeli nie wojny domowej, to sytuacji zapowiadającej znacznie poważniejsze niepokoje społeczne niż niespełna trzy lata wcześniej. Część społeczeństwa, zrażona kłótniami partii politycznych, które paraliżowały prace rządu i parlamentu, oczekiwała od Piłsudskiego ponownego wzięcia odpowiedzialności za Polskę. Sytuację wewnętrzną komplikowały niepowodzenia kolejnych rządów na arenie międzynarodowej, dowodzące, że ustępliwość prowadzi jedynie do porażek oraz izolacji Polski i – co więcej – zagraża bezpieczeństwu państwa.



Kazimierz Sosnkowski

FOT. NAC

Piłsudski nie planował zbrojnego obalenia rządu. Fałszem jest twierdzenie, jakoby budował przed 12 majem 1926 r. jakąś konspirację czy w innej formie czynił przygotowania do zbrojnego przejęcia władzy. Walki nie dało się uniknąć, na co po dramatycznej rozmowie z prezydentem Wojciechowskim wpłynęło nieprzejednanie wojskowych wywodzących się z armii austriackiej, którzy ostentacyjnie lekceważąc twórcę niepodległej Polski, dążyli do stłumienia jego wystąpienia.



Prezydent Ignacy Mościcki po zaprzysiężeniu, Józef Piłsudski i premier Kazimierz Bartel

FOT. NAC

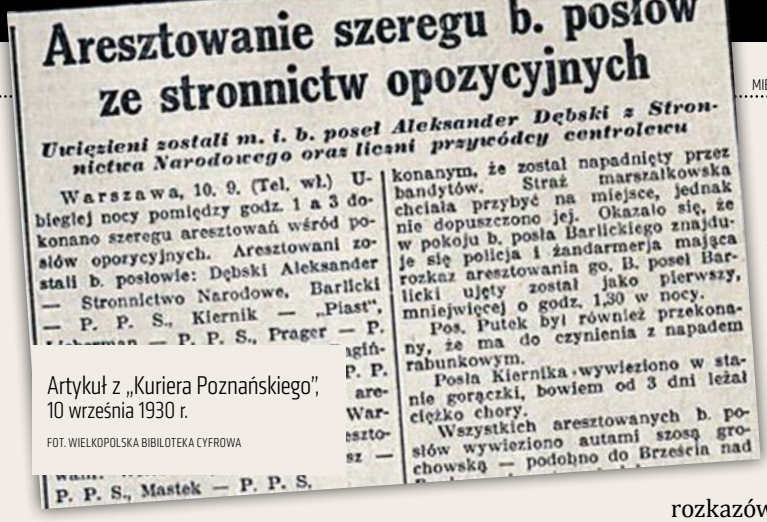
Znacząca jest w tym wypadku relacja Stanisława Głąbińskiego, wpływowego polityka Narodowej Demokracji. Kiedy Głąbiński wraz z czołowym politykiem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" Władysławem Kiernikiem zaproponował tekę ministra spraw wojskowych gen. Juliuszowi Malczewskiemu, ten okazywał „niezmierną pewność siebie i zaufanie w swój przemożny wpływ na armię [...]. Wyraził się z zupełnym lekceważeniem o wpływach Piłsudskiego w wojsku. »Co, Piłsudski?! – zawołał – ja go tak« – tu zrobił ruch wokoło swego palca na znak, że nic sobie z jego zamachu nie robi. Dowiedzieliśmy się od tego generała, że Piłsudski nie ma już znaczenia w armii, że nie ma mowy o tym, aby jakikolwiek pułk czy oddział w Warszawie przyłączyć się mógł do buntu, że szef DOK [Dowództwo Okręgu Korpusu] w Warszawie panuje zupełnie nad sytuacją". Mówił to o Józefie Piłsudskim były oficer armii austriackiej, który nigdy nie miał związku z jakąkolwiek działalnością niepodległościową.

Za wypadki z maja 1926 r. trudno obarczyć pełną winą którąkolwiek ze stron konfliktu, gdyż stanowiły one splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego ówczesnej Polski. Zaledwie trzy lata później ci sami politycy, którzy wysuwali gwałtowne oskarżenia wobec Wincentego Witosa i wspierających go chrześcijańskich demokratów, stanęli wspólnie z nim przeciw skłaniającym się ku autorytaryzmowi rządom Józefa Piłsudskiego, którego tak gorliwie wspierali w dniach majowych.

Ratunek dla państwa?

Po przejęciu władzy i powstaniu nowego rządu Piłsudski objął stanowisko ministra spraw wojskowych, które sprawował we wszystkich kolejnych gabinetach aż do swojej śmierci. 31 maja 1926 r. parlament – w pierwszej turze głosowania, bez nacisków, w zgodzie z konstytucją – wybrał go na prezydenta RP, co w istocie było równoznaczne z legalizacją jego działań w ostatnich dniach. Nie przyjął on tej godności i wskazał innego kandydata – profesora Politechniki we

eprasa.pl 5ab27a795f



Aresztowanie szeregu b. posłów ze stronnictw opozycyjnych

Uwięzieni zostali m. i. b. poseł Aleksander Dębski z Stronnictwa Narodowego oraz liczni przywódcy centrolewu

Warszawa, 10. 9. (Tel. wł.) U- biegłej nocy pomiędzy godz. 1 a 3 do- konano szeregu aresztowań wśród po- słów oporycyjnych. Aresztowani zo- stali b. posłowie: Dębski Aleksander — Stronnictwo Narodowe, Barlicki — P. P. S., Kiernik — „Piast", — P. P. S., Prager — P. P. S., Mastek — P. P. S.

konanym, że został napadnięty przez bandytów. Straż marszałkowska chciała przybyć na miejsce, jednak nie dopuszczono jej. Okazało się, że w pokoju b. posła Barlickiego znajdu- je się policja i żandarmerja mająca rozkaz aresztowania go. B. poseł Bar- licki ujęty został jako pierwszy, mniejwięcej o godz. 1,30 w nocy.

Pos. Putek był również przekona- ny, że ma do czynienia z napadem rabunkowym.

Posła Kiernika wywieziono w sta- nie gorączki, bowiem od 3 dni leżał ciężko chory.

Wszystkich aresztowanych b. po- słów wywieziono autami szosą gro- chowską — podobno do Brześcia nad

Artykuł z „Kuriera Poznańskiego", 10 września 1930 r.

FOT. WIELKOPOLSKA BIBILOTEKA CYFROWA

Lwowie Ignacego Mościckiego. Po uchwalonej przez parlament nowelizacji konstytucji, dającej prezydentowi prawo wydawania dekretów, pierwszy dotyczył nowej organizacji sił zbrojnych. Wówczas to powołano Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, podlegający jedynie prezydentowi i niezależny od rządu i parlamentu. Piłsudski stanął na czele GISZ, co było równoznaczne z objęciem przezeń stanowiska Naczelnego Wodza WP w razie wybuchu wojny. Tym samym jego główny cel – uczynienie Wojska Polskiego apolitycznym – został zrealizowany.

Ale zanim doszło do tych zmian, prawdziwe intencje Marszałka wyraził jego rozkaz do żołnierzy po zakończeniu walk w Warszawie. Piłsudski przypomniawszy w nim o zwycięstwach wywalczonych pod jego dowództwem, które „na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie Wasze sztandary", mówił dalej: „W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi […]. I gdy dokoła nas wre wszędzie kłótnia i zawiść partyjna, gdy dygoce nienawiść i rozpala się niechęć dzielnicowa, trudno, by żołnierz był spokojny […]. Żołnierze, stanąłem znowu na Waszym czele jako Wasz Wódz. Znacie mnie. Bezwzględny dla siebie, stałem zawsze pośród Was w najcięższych waszych bólach i trudach, w mękach i niepokojach. Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować jako tego, który was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnym zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić. Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza".

Lecz konsekwencją zwycięstwa Marszałka i jego zwolenników w maju 1926 r. było również narzucenie innej formy sprawowania władzy, która z czasem przybrała charakter niedemokratyczny. Na ocenie rządów obozu piłsudczykowskiego, mimo rzeczywistych sukcesów, które odniósł chociażby w polityce zagranicznej, dopóty, dopóki decydujący wpływ miał na nią Piłsudski, negatywnie zaważyły działania zmierzające do ograniczenia swobód obywatelskich i wprowadzenie autorytarnej formy rządów.

> **Na ocenie rządów piłsudczyków, mimo sukcesów, które odniosły, negatywnie zaważyło wprowadzenie autorytarnej formy władzy**

I to z imieniem ich obozu, nazwanego sanacją, co z czasem stało się określeniem pogardliwym, zawsze już będzie związane poniewieranie godnością polityków opozycyjnych w twierdzy brzeskiej jesienią 1930 r., chociaż większość z nich – tak jak piłsudczycy – uczestniczyła w zmaganiach o niepodległość Polski i odbudowie państwa. Nie przewrót, dokonany w 1926 r., a Brześć, symbolizujący inne, podobne działania tego środowiska w polityce wewnętrznej, jest prawdziwą winą piłsudczyków. Jak i to, że po śmierci Marszałka w 1935 r., pławiąc się w samouwielbieniu o swojej wyjątkowości i rzekomej wybitności, stworzyli system rządów, który zmierzał w kierunku monopartyjnym. Podpułkownik Wacław Lipiński, ten „piłsudczyk zakamieniały", reprezentujący głos zwykłych żołnierzy Marszałka, niezwiązanych z bieżącą polityką, o tych, którzy zaczęli przewodzić państwu w chwili zbliżającej się wojny, mówił wówczas: „Przyszli do życia politycznego jako jego kierownicy ludzie, którzy w tych sprawach nie mieli ani doświadczenia, ani wiedzy, ani talentu. Pokrywali te braki […] bezgraniczną pewnością siebie, ślepym słuchaniem rozkazów i namiętnym tępieniem tych, którzy w sprawach kraju ośmielili się mieć inne poglądy".

Ten niebezpieczny dla państwa zwrot dostrzegali także najwięksi ludzie tego obozu, jak gen. Kazimierz Sosnkowski. Ale jego propozycja powołania rządu obejmującego przynajmniej część ugrupowań politycznych opozycji, na którego czele był gotów stanąć, została odrzucona przez prezydenta Ignacego Mościckiego i marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. W 1938 r., kilka tygodni po konferencji monachijskiej, Sosnkowski mówił, że „bez względu na trudności i przeszkody zjednoczenie Polaków dokonane być musi. Wymaga tego bezpieczeństwo Polski […]. Czas nagli. Zegar dziejowy wskazuje późną już godzinę".

Rządząca Polską sanacja, okazująca pychę i pogardę wszystkim środowiskom politycznym w kraju, poza niewielkim, skrajnym odłamem ruchu narodowego, pozostała na to obojętna. Jakże inne było to postępowanie niż w 1920 r., kiedy na hasło „ojczyzna" w niebezpieczeństwie na czele prawdziwego rządu jedności narodowej, u boku Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego stanęli przywódca polskich chłopów Wincenty Witos i polskich robotników – Ignacy Daszyński, a wśród ich ministrów znaleźli się przedstawiciele wszystkich stronnictw Rzeczypospolitej.

Tak wniwecz obrócili próbę reformy państwa Józefa Piłsudskiego – w części udaną, w części nie – jego następcy. Co zaś zostało z ich buńczucznych zapewnień o potędze państwa, którą rzekomo zbudowali? Jaką zachowali postawę, gdy zegar dziejowy wybił decydującą godzinę?

„O, polska tragedio plew, które ziarnami łudzą!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 5ab27a795f



Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Józef Piłsudski, Aleksander Prystor i Wacław Stachiewicz w drodze do siedziby Sztabu Generalnego, 31 maja 1926 r. FOT. NAC

Dwugłos / Z prof. Wiesławem Wysockim, historykiem, emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego



rozmawia Piotr Włoczyk

Przewrót był ratunkiem dla Polski

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego przekonuje pan, że w maju 1926 r. doszło w Polsce do przewrotu, a nie zamachu?

PROF. WIESŁAW WYSOCKI: Ponieważ słowo „zamach" sugeruje, że był to spisek, którego cele zostały zrealizowane metodami zbrojnymi. Jak jednak pokazują dowody, Piłsudski nie planował żadnego zamachu. Marszałek chciał demonstracją wymusić zmianę decyzji prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i dlatego pasuje tu słowo „przewrót". W gruncie rzeczy w Polsce dokonana została wtedy rewolucja, ale bez rewolucyjnych – bardzo krwawych – konsekwencji.

Chodziło o decyzję prezydenta w sprawie powołania Wincentego Witosa na urząd premiera?

Zgodnie z uzgodnieniami poczynionymi z prezydentem Wojciechowskim miał powstać koalicyjny rząd, ponownie pod prezesurą Aleksandra Skrzyńskiego. Prezydent nie dotrzymał tej obietnicy. Przekazując premierostwo Witosowi, sprawił, że ten polityk mógł w sposób wręcz ostentacyjny prowokować Marszałka, mówiąc mu, że jeżeli ma na to siłę, to niech bierze władzę. Piłsudski czuł się po prostu oszukany przez Wojciechowskiego i stąd wzięło się jego dążenie do zademonstrowania sprzeciwu wobec złamania przez prezydenta zasad.

Rozmowa na Moście Poniatowskiego z prezydentem była szczególnym momentem. Na koniec Marszałek powiedział bardzo znamienne słowa: „Ja cię, gromnico, zapaliłem, ja cię zgaszę". Pamiętajmy, że obaj politycy byli wcześniej przyjaciółmi, mieli wspólne cele i walczyli ramię w ramię o wolną Polskę. Potem jednak doszło do rozziewu w tym, jak postrzegali przyszłość ojczyzny.

A może w ostatecznym rozrachunku najważniejsze jest to, jaki był finał tych wydarzeń? Nawet jeżeli Józef Piłsudski nie planował zbrojnego zamachu na legalne władze Rzeczypospolitej, to przecież ostatecznie właśnie taki był rezultat jego demonstracji.

Pamiętajmy jednak, że ogień jako pierwsze otworzyły siły, które słuchały rozkazów rządu. Oczywiście to prawda, że Marszałek odpowiedział na te strzały, ale później starał się załagodzić tę ranę. Stąd jego późniejszy rozkaz do wojska, w którym odwoływał się do wspólnoty wartości. Piłsudski całe życie walczył o imponderabilia, a nie o korzyści własne czy też swojego otoczenia. Marszałek wyraźnie sygnalizował, że przekroczenie przez niego prawa w maju 1926 r. wynikało z chęci ratowania państwa.

A czy siły wierne rządowi nie miały prawa strzelać jako pierwsze, jeżeli władze uznały, że państwu zagraża nielegalny przewrót?

Nie chcę odmawiać rządowi jego racji. Zresztą ówczesne władze RP nazywano „stroną legalistyczną". Ale jednak racje Piłsudskiego były bardzo ważkie, a mimo to zostały wcześniej kompletnie zignorowane. I to była prawdziwa przyczyna tej wielkiej tragedii, w której zginęło niemal 400 osób, a 900 poniosło rany.

Kto odpowiada za przelaną wtedy krew?

Myślę, że obie strony. W czasie walk nie było raczej nienawiści, żołnierze spełniali po prostu swój obowiązek. Jedni – słuchając rozkazów rządowych, inni – wiernie służąc Marszałkowi.

eprasa.pl 5ab27a795f

Nie idealizowałbym jednak nadmiernie strony broniącej racji legalistycznych. Przecież padły wtedy z ust przeciwników Marszałka bardzo zdecydowane, wręcz przestępcze zawołania do bombardowania Warszawy…

Czyli pańskim zdaniem Józef Piłsudski uratował wtedy Polskę?

Marszałkowi zawdzięczamy niewątpliwie uratowanie Polski w 1920 r., ale myślę, że w 1926 r. również możemy mówić o ratunku. Władza państwowa była wtedy w tragicznym stanie, państwo było słabe, a rozbity Sejm nie dawał gwarancji uzdrowienia sytuacji. Nawet pozycja prezydenta była wówczas bardzo słaba. Lekceważyli go nie tylko najważniejsi politycy centralni, lecz także najniższe organa administracji. Powinniśmy też wspomnieć o tym, jak wyglądała wtedy sytuacja międzynarodowa.

To jest czas, kiedy zacieśniał się układ między Niemcami a Związkiem Sowieckim – dwoma sąsiadami Polski bardzo wrogo nastawionymi do niej. 24 kwietnia 1926 r., trzy tygodnie przed przewrotem, Niemcy i Sowieci odnowili w Berlinie układ z Rapallo. Wyglądało to na zmowę obu sąsiadów przeciwko Polsce. Na Paryż Warszawa niespecjalnie mogła liczyć, bo przecież od 1925 r., czyli od podpisania paktu reńskiego, mocarstwa zachodnie wyraźnie umożliwiały Niemcom rewizję granic z Polską.

Natomiast pod koniec marca 1926 r. w Moskwie biuro polityczne partii bolszewickiej powołało komisję do spraw polskich, ponieważ Kreml liczył, że narastający u nas kryzys doprowadzi do wojny domowej, co dawałoby szanse na rewolucję i sowietyzację Polski. Bezpieczeństwo państwa było dla Józefa Piłsudskiego nadrzędną wartością, więc Marszałek robił wszystko, by oddalić groźbę, która zawisła nad Polską. Po 1926 r. Polska systematycznie zyskiwała na arenie międzynarodowej, w dużym stopniu dzięki postawie Józefa Piłsudskiego.

Co by się stało z Polską, gdyby historia potoczyła się w maju 1926 r. inaczej, spokojniej?

Myślę, że mogłoby dojść do stopniowego zaostrzenia podziałów wewnętrznych, co doprowadziłoby do wojny domowej. Uważam, że ten scenariusz, na który tak bardzo liczył Kreml, był jak najbardziej realnym zagrożeniem. Bez uporządkowania sytuacji wewnętrznej nasi sąsiedzi mogliby chcieć wykorzystać zamęt i zniszczyć znienawidzoną przez nich Polskę, dokonując kolejnego rozbioru. Nawiasem mówiąc, tamta sytuacja jest bardzo podobna do dzisiejszych zagrożeń, które wiszą nad naszą ojczyzną.

Jakim państwem była po 1926 r. Polska?

W tamtym okresie w Europie nie brakowało prawdziwych dyktatur. Owszem, piłsudczycy zaprowadzili rządy autorytarne, oparte na silnej pozycji Marszałka Piłsudskiego, ale to nie była dyktatura.

Przewrót 1926 r. był swoistym rokoszem, konfederacją zawiązaną po to, by ratować majestat Rzeczypospolitej przed zwolennikami absolutyzacji wolności i zaspokajania interesów grupowych. Proszę pamiętać, że z parlamentaryzmu nic nie zostało uszczknięte. Zasady regulujące życie sejmowe były zmieniane nie na podstawie dyktatu piłsudczyków, ale na zasadzie ewolucji – werdyktu wyborców, co potem znalazło swoje odzwierciedlenie w nowej konstytucji.

Jednak proces brzeski miał miejsce, a obóz w Berezie Kartuskiej też o czymś świadczy…

A co poprzedzało proces brzeski? Powstanie Centrolewu. Musielibyśmy tutaj rozpocząć długą dyskusję na temat zagrożeń związanych z Centrolewem. Ja nie chcę nikogo przekonywać, że proces brzeski był eleganckim rozwiązaniem problemu, a Bereza Kartuska była sanatorium. Oczywiście to są elementy obciążające obóz piłsudczykowski, ale pamiętajmy, przed czym te posunięcia ratowały Polskę.

W tamtym czasie Rzeczypospolitej groziła interwencja zewnętrzna. Wzywanie na pomoc obcych sił było wyjątkowo niebezpieczne. Te radykalne posunięcia Marszałka były jedynie odpowiedzią na poważne zagrożenia. Powtórzę, że musimy tu patrzeć na resztę Europy. Nawet na tle demokratycznej Francji Polska prezentowała się wtedy całkiem nienajgorzej.

Co ma pan na myśli?

Jeden z francuskich dziennikarzy powiedział Polakom: „Was się posądza o antysemityzm, a we Francji nie ma niemal dnia, by któryś z posłów żydowskich nie dostał po twarzy w miejscu publicznym". I miał rację – taka była demokracja we Francji. Ówczesna Europa była bardzo daleka od naszych obecnych ideałów demokratycznych.

Czy wprowadzanie kultu Józefa Piłsudskiego nie było pewną przesadą?

Oczywiście, że wprowadzano kult Marszałka, ale przecież jego zasługi dla niepodległej Polski były bezsporne. Józef Piłsudski był jedną z czołowych postaci, dzięki którym Rzeczpospolita odrodziła się po pierwszej wojnie światowej, a w kolejnych latach dążył do tego, by młode państwo okrzepło i wzrastało w siłę. Jak wiemy, w 1939 r. doszło do katastrofy, ale jednak nie sposób obarczać za to winą Józefa Piłsudskiego, który nie żył już wtedy od ponad czterech lat.

Warto, żeby nasi czytelnicy usłyszeli też o pięknym, dyplomatycznym liście, który bp Zygmunt Łoziński napisał w maju 1926 r. do Józefa Piłsudskiego. Marszałek bardzo sobie cenił tego hierarchę i mawiał, że gdyby miał w swoich szeregach choć jednego takiego generała jak biskup Łoziński, to mógłby umierać spokojnie. List dotyczył rozliczenia moralnego za dokonany przewrót. Hierarcha wzywał w nim Marszałka do odsunięcia się od udziału w sprawowaniu władzy właśnie w ramach zadośćuczynienia za przelaną krew. I faktycznie, Marszałek nie przyjął wtedy prezydentury. Myślę, że list bp. Łozińskiego mógł mieć pewien wpływ na jego decyzję. Józefowi Piłsudskiemu ciążyła świadomość, że posłał żołnierzy do bratobójczego boju. Cokolwiek by o nim mówić, Marszałek myślał kategoriami etycznymi. A po maju 1926 r. starał się zasypywać wykopane wtedy rowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Wiesław Wysocki jest historykiem, emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie pełnił m.in. funkcję dziekana Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych.

eprasa.pl 5ab27a795f



Scena z pogrzebu ofiar przewrotu majowego FOT. NAC

Dwugłos / Z prof. Janem Żarynem, historykiem z UKSW



rozmawia Piotr Włoczyk

To Piłsudski odpowiada za przelaną krew

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego Józef Piłsudski zdecydował się na siłową konfrontację z legalnymi władzami RP?

PROF. JAN ŻARYN: Marszałek, gdy usunięto go w 1923 r. z bieżącej polityki, po czym znalazł się w Sulejówku, ewidentnie wierzył, że jest jedynym „zbawicielem" Polski. Parlamentaryzm II RP nazywał „sejmowładztwem", uważając to za bardzo negatywne zjawisko. Budował swoją pozycję rzekomego męża opatrznościowego na porażkach czy też słabościach kolejnych rządów parlamentarnych, które powstawały w ramach konstytucji marcowej. Zamach był wynikiem tej wiary i bezpośrednim uderzeniem w Narodową Demokrację, która stanowiła główną siłę oporu społecznego wobec polityki Piłsudskiego.

W jakim stanie było wtedy polskie państwo?

Zamach majowy przeprowadzono w momencie, gdy wydawało się, że istnieje szansa na ustabilizowanie rządów konstytucyjnych. Polegała ona na perspektywach wydźwignięcia się z kryzysu budżetowego po wojnie celnej z Niemcami. Już rząd Aleksandra Skrzyńskiego, w którym ministrem skarbu był – z ramienia Narodowej Demokracji – Jerzy Zdziechowski, miał na koncie pewne sukcesy. Koniunktura roku 1926 sugerowała, że rząd Wincentego Witosa będzie miał dużo łatwiejsze zadanie, jeżeli chodzi o stabilizację waluty i gospodarki. Co więcej – wyglądało na to, że władze będą w stanie zrealizować bardzo popularną w społeczeństwie reformę rolną. Można więc powiedzieć, że zamach majowy przerwał wydobywanie się władzy z kryzysów parlamentarnych i był ostatnim momentem, gdy Piłsudski mógł ogłosić, iż jest sanatorem – uzdrowicielem. W niedługim czasie nie byłoby już bowiem żadnej konieczności uzdrawiania państwa. Natomiast rządy sanacyjne stały się beneficjentami koniunktury będącej wynikiem wcześniejszych reform gospodarczych.

Czy jednak obóz Józefa Piłsudskiego nie miał po swojej stronie sensownych argumentów?

Do pewnego stopnia tak. Przede wszystkim dotyczyły one ograniczeń konstytucji marcowej. Sejm okazał się bowiem w wyniku wyborów w 1922 r. mocno niestabilny. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, że ok. jednej trzeciej parlamentu stanowili posłowie bloku mniejszości narodowych. Ci posłowie nie byli zainteresowani braniem współodpowiedzialności za państwo polskie. Ten blok nigdy nie uczestniczył w żadnym z rządów i był obozem roszczeniowym wobec państwa. W tych warunkach dwie trzecie parlamentu, składające się z przeróżnych partii od prawa do lewa, musiały szukać daleko idących kompromisów, rezygnując często z własnych, ważnych postulatów. Inaczej nie dałoby się bowiem budować większościowej koalicji.

Tu w grę wchodziły też temperament polityczny Józefa Piłsudskiego i jego subiektywne spojrzenie na kwestię budowy silnego państwa. Marszałek rządził lub współrządził Polską w latach 1918–1922. Przymusowy „odpoczynek" od polityki był dla niego czymś nienaturalnym. Stale kontestował porządek konstytucyjny; on sam lub jego ludzie, jak Wojciech Stpiczyński, zdolny dziennikarz, szczególnie w nachalnych komentarzach prasowych. Widział, że w Europie wygrywają tendencje autorytarne, a demokracja parlamentarna okazuje coraz więcej słabości systemowych. Piłsudski uważał, że musi działać, bo silna władza państwowa jest ratunkiem wobec kryzysu demokracji parlamentarnej. Ale to były jego subiektywne odczucia.

eprasa.pl 5ab27a795f

Jak rozumiem, uważa pan, że można było usunąć te problemy w sposób mniej gwałtowny?

Tak, to było możliwe, ale Józef Piłsudski nie chciał skorzystać z tej ścieżki. Uważał, że konstytucja ograniczała jego potencjał polityczny. Tak uważa każdy dyktator. Nie było już odwrotu, gdy podczas spotkania z Piłsudskim na Moście Poniatowskiego prezydent Stanisław Wojciechowski odmówił ustąpienia i przekonywał Marszałka, by to on przestał przeć do konfrontacji. Gdy Józef Piłsudski postanowił wtedy użyć siły, były tylko dwie możliwości: albo mógł stać się więźniem z powodu złamania konstytucji, albo mógł zwyciężyć legalne władze RP.

Kto wtedy stanowił o sile piłsudczyków?

Zamach przeprowadzony został przy politycznym wsparciu ze strony środowisk lewicowych, przede wszystkim PPS i PSL „Wyzwolenie", stanowiących z wyboru narodu mniejszość w polskim parlamencie. Jednak po tych krwawych wydarzeniach lewica, mając nadzieję na „renesans" rządów Jędrzeja Moraczewskiego z przełomu lat 1918 i 1919, spotkała się z wyraźnym oporem ze strony Józefa Piłsudskiego. Marszałek nie był zainteresowany tworzeniem republiki socjalistycznej. Zamiast tego chciał po prostu przejąć elektoraty praktycznie wszystkich partii politycznych od lewa do prawa i stworzyć własną siłę polityczną, opartą nie tylko – jak dotychczas – na wojsku i słabej lewicy. Stworzenie gabinetu Kazimierza Bartla, który miał wzmocnić administrację państwa, oraz powołanie BBWR przez Walerego Sławka miały umożliwić przejęcie przez piłsudczyków elektoratów dotychczasowych partii „sejmowładztwa" – od PPS aż do Stronnictwa Narodowego i konserwatystów, z Januszem Radziwiłłem na czele. To był główny cel zamachu majowego. Powtórzę: było to wbrew oczekiwaniom lewicy. A przecież to dzięki niej zamach zakończył się sukcesem – lewica zorganizowała strajk kolejarzy, który uniemożliwił przeprowadzenie interwencji wojsk Okręgu Poznańskiego na rzecz obrony rządu i prezydenta.

A jak ocenia pan rolę człowieka numer dwa w ówczesnej Polsce?

Postawa marszałka Macieja Rataja bardzo mocno zaważyła na przebiegu i skutkach zamachu majowego. Zgodnie z konstytucją marcową przejął on władzę po podaniu się do dymisji prezydenta. Jako marszałek Sejmu podjął decyzję, by mianować – na zlecenie zamachowca – Kazimierza Bartla na premiera rządu, ale doprowadził też do spotkania Józefa Piłsudskiego z przedstawicielami partii reprezentowanych w Sejmie. Na spotkaniu 29 maja nie pojawili się jedynie przedstawiciele Narodowej Demokracji – był to ich gest protestu. Marszałek mówił wtedy o „szujach, łajdakach, mordercach i złodziejach" zasiadających w polskim Sejmie. Te inwektywy były skierowane również wobec posłów słuchających Marszałka! Żaden z nich nie opuścił jednak spotkania. Co więcej, na najbliższym posiedzeniu parlamentu to Józef Piłsudski został wybrany, przez parlament wyłoniony jeszcze w 1922 r., na prezydenta. Wszystkie kluby poza Chrześcijańską Jednością Narodową, głównie ND, uznały, że ulegną naciskowi zamachowców. Czy ze strachu, czy z obawy o utratę wyposażeń sejmowych?

Piłsudski widział w tym zalegalizowanie zamachu.

I dlatego Marszałek uznał, że zwyciężył na dwóch poziomach: wojskowym i konstytucyjnym.

Zgodzimy się chyba jednak, że Józef Piłsudski nie chciał, żeby polała się krew?

A kto z dokonujących zamachu stanu chce rozlewu krwi? Jeżeli już jednak do tego dojdzie, to właśnie on za to odpowiada. I dlatego to na Piłsudskiego spada cała odpowiedzialność za śmierć ok. 400 osób, które wtedy zginęły. Prezydent i rząd mieli wszelkie prawo bronić konstytucji i swoich stanowisk, co oznaczało również prawo do użycia wojska przeciw zamachowcom.

Czy po 1926. r. można nazywać Piłsudskiego dyktatorem? A jeżeli tak, to czy II RP była dyktaturą?

W związku z oporem znaczącej części narodu polskiego wobec sanacji Piłsudski musiał wzmacniać swoją władzę metodami siłowymi, m.in. osadzając w Brześciu wybitnych przedstawicieli opozycji od lewa do prawa, zakładając w 1934 r. obóz w Berezie Kartuskiej czy ograniczając prawo do gromadzenia się i zrzeszania. To wszystko były autorytarne sposoby sprawowania władzy, które rzutowały na obraz Polski.

Jeżeli przyjrzymy się sposobowi uchwalenia konstytucji kwietniowej, która została w Sejmie uchwalona w pierwszym czytaniu z oczywistym naruszeniem prawa, czyli dzięki wyjściu z sali opozycji i zmianie porządku obrad, to zrozumiemy, że był to w rzeczywistości zamach wewnątrzparlamentarny. To wszystko stawiało Piłsudskiego w roli dyktatora.

Czyli można go nazwać dyktatorem?

Tak.

A czy w takim razie II RP była po 1926 r. dyktaturą?

Rządy stawały się coraz bardziej dyktatorskie, natomiast wobec państwa użyłbym raczej sformułowania „Polska autorytarna". Przy czym trzeba jednak uczciwie zaznaczyć, że autorytaryzm II RP po 1926 r. był stosunkowo „miękki" w porównaniu z innymi państwami europejskimi. Nie nazwałbym państwa rządzonego przez piłsudczyków „dyktaturą" przede wszystkim dlatego, że siła oporu społecznego nie pozwoliła im na pełne zawłaszczenie państwa. Ich władza nie była w stanie rozprzestrzenić się na wszystkie szczeble struktury państwowej, np. w samorządach, a także nie zdusiła opozycyjnej prasy czy życia partyjnego. Przecież samorząd – tak branżowo-zawodowy, np. Lewiatan, jak i terytorialny, np. w Warszawie – do czasu mianowania komisarycznego prezydenta, po 1926 r., pozostał w dużym części w rękach obywateli wyborców, a nie z nadania sanacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Jan Żaryn jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, znawcą dziejów Polski w XX w., byłym dyrektorem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego.

eprasa.pl 5ab27a795f



Posterunek wojsk wiernych rządowi i prezydentowi na Moście Kierbedzia

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, MARIAN FUKS

Rozgrywka na szczytach / Podstęp, naiwność, bierność

Zamach. Ale czyj?



Tymoteusz Pawłowski

Premier był podstępny, prezydent – naiwny, a marszałek – bierny. Żadnemu z nich zachowanie w ciągu tych trzech dni maja nie przynosi zaszczytu

Powszechna narracja dotycząca zamachu majowego wygląda następująco: marszałek Józef Piłsudski latami szykował się do przejęcia władzy w Polsce, gromadząc wokół siebie oddanych ludzi, a gdy w maju 1926 r. Polska była pogrążona w głębokim kryzysie, skoncentrował – pod pozorem manewrów wojskowych – przeważające siły wojskowe i ruszył z nimi na stolicę. Premier Wincenty Witos stanął jednak w obronie konstytucji i przez trzy dni dzielnie jej bronił, ale ostatecznie uległ przemocy.

Ta narracja jest piękna, tylko… nie zgadza się z faktami. Została jednak powszechnie zaakceptowana przez wszystkie strony konfliktu, ponieważ była dla nich wygodna. Premier Wincenty Witos mógł zaprezentować się jako ofiara przemocy, prezydent Stanisław Wojciechowski jako rozważny mąż stanu, a marszałek Józef Piłsudski jako silny człowiek Rzeczypospolitej. Tymczasem premier był podstępny, prezydent – naiwny, a marszałek – bierny.

Zła wola

Genezy zamachu majowego niektórzy ówcześni politycy i współcześni historycy doszukują się w słowach Józefa Piłsudskiego, które wypowiedział on, opuszczając przyjęcie wyprawione 3 lipca 1923 r. przez jego podwładnych i przyjaciół, gdy odchodził ze stanowiska przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej. Otóż powiedział on wówczas: „Do widzenia, Panowie". Trzeba bardzo dużo złej woli, aby w zwyczajowym pożegnaniu widzieć „zapowiedź rychłego powrotu".

Następnym rzekomym dowodem knucia jest obsadzenie przez oficerów wiernych Piłsudskiemu kluczowych stanowisk w Wojsku Polskim. Jednak po 1923 r. władzę sprawowali niechętni Piłsudskiemu generałowie z dawnej armii austro-węgierskiej. Oficerowie legionowi z reguły służyli na odległych placówkach. Przykładowo: Kazimierz Sosnkowski trafił do dowództwa okręgu korpusu w Poznaniu. Trafił tam także – na stanowisko dowódcy dywizji kawalerii – gen. Gustaw Orlicz-Dreszer. Z kolei Edward Śmigły-Rydz dowodził okręgiem korpusu w peryferyjnym Wilnie.

W listopadzie 1925 r. Józef Piłsudski przekonał prezydenta Wojciechowskiego, aby ministrem spraw wojskowych w nowym rządzie został gen. Lucjan Żeligowski. Nie był on jednak człowiekiem Marszałka, ale szanowanym oficerem dawnej armii carskiej, nieuwikłanym w war-

eprasa.pl 5ab27a795f

szawskie życie polityczne, zachowującym niezależność i neutralność. Niektóre jego decyzje rzeczywiście można uznać za życzliwe piłsudczykom, ale było to raczej przywracanie normalności (jak choćby pozwolenie gen. Dreszerowi na powrót do Warszawy).

Brzemienną w skutki decyzją ministra było zorganizowanie na podwarszawskim poligonie w Rembertowie manewrów międzygarnizonowych i powierzenie dowodzenia nimi marszałkowi Piłsudskiemu: koncentracja stała się zarzewiem wydarzeń majowych. Jednak rozkaz o przeprowadzeniu manewrów został wydany jeszcze 18 kwietnia, a więc nie tylko bez wiedzy, że 10 maja zostanie powołany nowy rząd Wincentego Witosa, lecz także bez świadomości, że upadnie rząd Aleksandra Skrzyńskiego.

Kryzys rządowy

Premier Skrzyński utracił poparcie większości parlamentarnej 20 kwietnia, ale jeszcze przez dwa tygodnie starał się utrzymać gabinet. Utracił je nie ze względu na starania prawicowej koalicji zwanej przez jej przeciwników Chjeną (od skrótu nazwy Chrześcijański Związek Jedności Narodowej) ani na skutek działań centrowego PSL „Piast", na którego czele stał Witos, tylko ze względu na stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej. PPS uchodziła za życzliwą Piłsudskiemu, ale tak nie było: socjalistyczni ministrowie opuścili rząd Skrzyńskiego, gdyż nie chciał on zabrać pieniędzy wojsku, aby pomagać bezrobotnym. Troską Piłsudskiego była armia, a na przełomie kwietnia i maja 1926 r. największym zagrożeniem był dla niej PPS, a nie PSL „Piast".

Zapowiedziane jeszcze 18 kwietnia manewry w Rembertowie – z Piłsudskim na czele – miały uświadomić socjalistom, jakie są priorytety i komu powinni być lojalni. Rząd jednak upadł 5 maja, a prezydent próbował powołać nową radę ministrów, ale dopiero ósma złożona przezeń propozycja została przyjęta, i to tylko dlatego, że kolejnym krokiem – do czego zresztą skłaniał się prezydent – było utrzymanie rządu Skrzyńskiego z Józefem Piłsudskim jako ministrem spraw wojskowych. Próbując zapobiec temu za wszelką cenę, premierem zgodził się zostać Wincenty Witos, pospiesznie organizując koalicję bardzo podobną do Chjeno-Piasta, który rządził w 1923 r., przynosząc Polsce niepokoje społeczne na olbrzymią skalę z blisko setką ofiar śmiertelnych.

Nowy premier miał plany – przedstawił je m.in. w wydanej w marcu 1926 r. broszurze pt. „Czasy i ludzie" – daleko wykraczające poza bieżące zarządzanie państwem. Zamierzał zmienić konstytucję: ograniczyć władzę Sejmu i nadać specjalne uprawnienia Radzie Ministrów. Najpierw chciał jednak obsadzić swoimi ludźmi administrację rządową, aby ułatwić sobie zwycięstwo w przyspieszonych wyborach.

Pierwszym krokiem Witosa było udzielenia 9 maja wywiadu, w którym powiedział m.in.: „Niechże wreszcie Marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia, niechże stworzy rząd, niech weźmie do współpracy wszystkie czynniki twórcze, którym dobro państwa leży na sercu. Jeśli tego nie zrobi, będzie się miało wrażenie, że nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie […]. Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, to niech bierze władzę siłą... ja bym się nie wahał tego zrobić; jeśli nie zrobi tego, to, zdaje się, nie ma jednak tych sił za sobą". Była to jawna prowokacja albo – nieco bardziej dyplomatycznie – rzucenie wyzwania Piłsudskiemu.

Marszałek odpowiedział premierowi w wywiadzie, mówiąc, że gotów jest „do walki, jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści". Gazeta, w której rankiem 11 maja ukazał się ten wywiad, została jednak skonfiskowana na polecenie premiera. Warszawska „ulica" spodziewała się, że jego kolejnym poleceniem będzie aresztowanie Marszałka. W ciągu trzech dni sytuacja stała się krytyczna. W żaden sposób nie mógł tego przewidzieć trzy tygodnie wcześniej minister spraw wojskowych gen. Lucjan Żeligowski, wyznaczając na 11 maja manewry w Rembertowie.



Marszałek Józef Piłsudski i gen. Lucjan Żeligowski

FOT. NAC

Kto ma dowodzić?

Pierwszym krokiem nowego ministra spraw wojskowych, gen. Juliusza Malczewskiego, pochodzącego z armii austro-węgierskiej sapera, w czasie wojny 1920 r. głównego kwatermistrza Sztabu Generalnego, było wydanie rozkazu marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, aby ten przerwał manewry, skierował wojsko z powrotem do garnizonów i zdał dowództwo. Generał dywizji wydał rozkaz marszałkowi Polski! Już samo to było skandalem i wymagało wyjaśnienia.

Problem był jednak dużo poważniejszy. Dotyczył bowiem porządku konstytucyjnego i praworządności, dotyczył cywilnej kontroli nad wojskiem. Od czasów Karola Wielkiego starano się uniemożliwić politykom wydawanie bezpośrednich rozkazów generałom – prowadziło to bowiem wprost do zamachu stanu. Od XIX w. normą było, że politycy – prezydenci, premierzy, ministrowie – nie mają prawa wydawać takich rozkazów.

W Rzeczypospolitej cywilną kontrolę nad wojskiem regulował wydany w styczniu 1921 r. dekret Naczelnika Państwa (którym był Piłsudski). Zgodnie z nim organem „kierującym w zakresie przygotowań wojennych, planów operacyjnych i obrony kraju" była Ścisła Rada Wojenna, a decyzje jej przewodniczącego miały moc obowiązującą. Jej przewodniczącym była osoba przewidywana na naczelnego wodza w czasie wojny – do 30 czerwca 1923 r. przewodniczącym był marszałek Piłsudski. Zrezygnował z tego stanowiska – które pozostało nieobsadzone – ale

eprasa.pl 5ab27a795f



Pluton 30. pp wojsk rządowych na Placu Zamkowym

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

każdy realnie myślący Polak oczekiwał, że jeśli wybuchnie wojna, to właśnie on zostanie wodzem naczelnym.

Po 1923 r. próbowano uchwalić nową ustawę o naczelnych władzach wojskowych, ale czyniono to bez większego entuzjazmu, przede wszystkim dlatego, że kolejne propozycje oddawały zbyt dużo władzy albo wojskowym, albo politykom. W ten sposób w maju 1926 r. wciąż obowiązywał dekret z 1921 r.

Można go było obejść, tak jak uczynił minister Żeligowski, gdy nie rozkazał, ale poprosił Marszałka o objęcie dowództwa nad manewrami. Natomiast 11 maja minister Malczewski wydał Marszałkowi rozkaz. Trudno ocenić, czy był to przypadkowy błąd czy próba wykreowania precedensu. Podobny problem mamy z oceną, czy decyzję podjął samodzielnie czy też wypełniał polecenie premiera Witosa. Jedno jest pewne: złamał w ten sposób obowiązujące prawo i naruszył porządek konstytucyjny.

Przejażdżki samochodowe

Przewodniczącym Ścisłej Rady Wojennej była osoba przewidywana na naczelnego wodza w czasie wojny, natomiast przewodniczącym Pełnej Rady Wojennej był prezydent. Rankiem 12 maja marszałek Piłsudski pojechał samochodem ze swojego domu w Sulejówku – leżącego w pobliżu poligonu rembertowskiego – do Warszawy, aby spotkać się z prezydentem. Stanisław Wojciechowski wyjechał jednak ze stolicy, aby odpocząć po – jak mu się zdawało – zakończonym już kryzysie gabinetowym. Co prawda, tuż przed wyjazdem dowiedział się o nerwowości panującej w Warszawie, ale nie poznał szczegółów.

Piłsudski nie zastał prezydenta i wrócił do Rembertowa. Powinien był pozostać w Warszawie i czekać na niego, tak jak uczynił to premier. Witos przedstawił prezydentowi Piłsudskiego jako buntownika, choć do żadnego buntu jeszcze nie doszło. Jeszcze przed spotkaniem premiera z prezydentem minister Malczewski wydał rozkaz pułkom z Wielkopolski i Łódzkiego, aby przybyły do Warszawy.

Marszałka Piłsudskiego o sprowadzaniu wojsk do Warszawy poinformowali wierni mu oficerowie pracujący w ministerstwie. Na kolejne spotkanie z prezydentem Marszałek zamierzał zatem przybyć w asyście oddziałów z poligonu rembertowskiego, którym wydał rozkaz wymarszu do Warszawy. To był pierwszy krok, który mógłby być uznany za agresywny, ale Marszałek wciąż formalnie dowodził zgrupowaniem rembertowskim, mógł więc wydawać mu rozkazy. Poza tym przybywającemu właśnie z Siedlec 22. Pułkowi Piechoty polecił opuścić pociąg w Rembertowie, zamiast skierować go bezpośrednio do Warszawy. Jeśli by więc była dobra wola, to kryzys można by jeszcze bez problemów załagodzić.

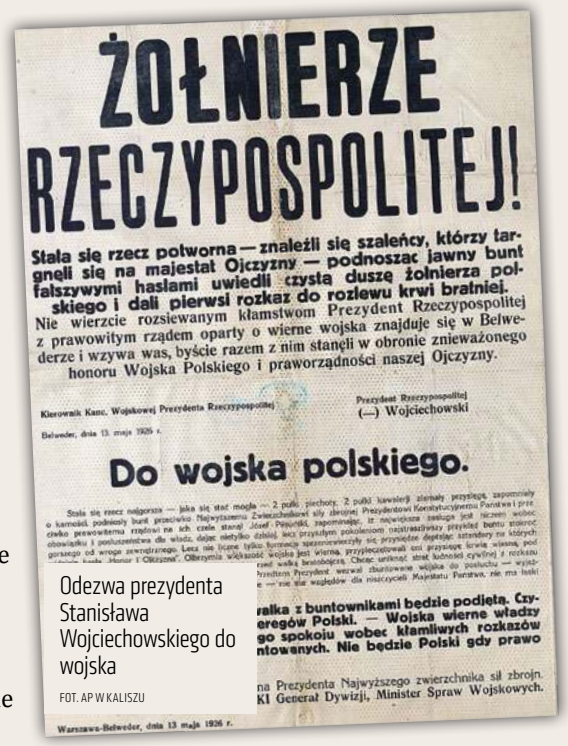
O godz. 17 Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski spotkali się na Moście Poniatowskiego. Prezydent – stary przyjaciel Marszałka – zaczął go pouczać: „Stoję na straży honoru Wojska Polskiego. Reprezentuję tutaj Polskę, [...] żądam dochodzenia swych pretensji na drodze legalnej!". Jednocześnie jednak powiedział swojej eskorcie: „Żołnierze! Spełnijcie swój obowiązek!".

Jak dokładnie przebiegała rozmowa – nie wiadomo. Prezydent Wojciechowski dał marszałkowi Piłsudskiemu czas na pokojowe rozwiązanie sporu, zdanie dowodzenia i wycofanie wojska. Prezydent wrócił do Belwederu, spodziewając się najprawdopodobniej, że – stojąc w obliczu kilkukrotnej przewagi liczebnej – Marszałek skapituluje.

Siły i środki

12 maja Witos i Malczewski byli pewni swojej przewagi. O godz. 14.45 – a więc jeszcze przed rozmową na Moście Poniatowskiego – wyznaczyli na dowódcę wojsk znajdujących się w Warszawie gen. Tadeusza Rozwadowskiego, a na dowódcę lotnictwa gen. Włodzimierza Zagórskiego, odsuniętego od bieżącej pracy w wojsku ze względu na ciążące na nim zarzuty korupcyjne. Wiedzieli, że marszałek Piłsudski dysponuje raptem kilkoma batalionami skoncentrowanymi na poligonie rembertowskim, a więc 10 km od mostów na Wiśle.

Natomiast w Warszawie stacjonowały trzy pułki piechoty: dwa w Cytadeli na lewym brzegu Wisły w pobliżu centrum i jeden po drugiej stronie rzeki. Poza tym Witos z Malczewskim dysponowali formacjami technicznymi, m.in. dywizjonem samochodów pancernych, a także lotnictwem. Oczekiwali również na przybycie – późnym wieczorem lub nocą



ŻOŁNIERZE RZECZYPOSPOLITEJ!

Stała się rzecz potworna — znaleźli się szaleńcy, którzy targnęli się na majestat Ojczyzny — podnosząc jawny bunt fałszywymi hasłami uwiedli czystą duszę żołnierza polskiego i dali pierwsi rozkaz do rozlewu krwi bratniej.

Nie wierzcie rozsiewanym kłamstwom Prezydent Rzeczypospolitej z prawowitym rządem oparty o wierne wojska znajduje się w Belwederze i wzywa was, byście razem z nim stanęli w obronie znieważonego honoru Wojska Polskiego i praworządności naszej Ojczyzny.

Kierownik Kanc. Wojskowej Prezydenta Rzeczypospolitej

Prezydent Rzeczypospolitej
(—) Wojciechowski

Belweder, dnia 13. maja 1926 r.

Do wojska polskiego.

Stała się rzecz nałgorsza — jaka się stać mogła — 2 pułk. piechoty, 2 pułki kawalerji zdradziły przysięgę, zapomniały o karności, podniosły bunt przeciwko Najwyższemu Zwierzchnikowi sił zbrojnych Prezydentowi Konstytucyjnemu Państwa i prze ciwko prawowitemu rządowi na ich czele stoi Józef Piłsudski, zapominając, że najwyższe zasługi jest nicnem wobec obowiązku i posłuszeństwa dla władz, dając nietylko dzisiaj, lecz przyszłym pokoleniom najstraszniejszy przykład buntu stoicroc gorszego od wrogo zewnętrznego. Lecz nie liczne tylko bunty mogą jest wierna, przyjaciele wiadomi, że przysięgę łamią, pod [illegible] Honor i Ojczyzna". Obrzydzenie wzbudzić musi [illegible] wojska [illegible] [illegible] [illegible]

– wezwanych jeszcze przed południem kolejnych pięciu pułków piechoty, dowodzonych przez lojalnych pułkowników. Ich największą przewagą było jednak kontrolowanie central telefonicznych oraz radiostacji, co izolowało siły Piłsudskiego. Wydali również rozkazy, aby formacje wojskowe znajdujące się na prowincji – oprócz wezwanych do Warszawy – nie opuszczały swoich garnizonów.

Generał Malczewski był tak pewny siebie, że wieczorem 12 maja zdzierał ordery pochwyconym zwolennikom Piłsudskiego, wyzywając ich od „sk…. synów, buntowników, bandytów, złodziei, zbójów, zdrajców, żeby was matka nie zrodziła", a lotnictwu rozkazał, żeby bombardowało Warszawę.

Skąd więc przewaga Piłsudskiego? Otóż szybko okazało się, że nowy rząd jest niepopularny zarówno wśród ludności cywilnej, jak i wśród wojska. Pracownicy central telefonicznych – tak cywilnych, jak wojskowych – łączyli rozmowy nie tylko witosowców, lecz także piłsudczyków. Transporty pułków wezwanych na polecenie premiera były spowalniane – albo zatrzymywane – przez kolejarzy. 36. Pułk Piechoty stacjonujący na prawym brzegu Wisły (dowodzony przez płk. Kazimierza Sawickiego) opowiedział się po stronie Józefa Piłsudskiego już 12 maja. Natomiast dzień później oba pułki stacjonujące w Cytadeli ogłosiły specyficzną neutralność.

Kto zaczął?

W niemal wszystkich artykułach opisujących zamach majowy znajduje się zdanie: „O godzinie 18.30 rozległy się strzały". Do narracji o zamachu Piłsudskiego nie pasuje bowiem fakt, że strzelać zaczęły wojska posłuszne Witosowi. Pierwsza seria została wystrzelona z samochodu pancernego rtm. Antoniego Szymańskiego, następnie kilka salw oddała piechota wsparta samotnym działem polowym. Strzelano z Placu Zamkowego, przez Wisłę nad Mostem Kierbedzia, w stronę Pragi odległej o blisko kilometr. To nie jest dystans, z którego można prowadzić celny ostrzał, a i cele były wątpliwe: znajdowały się tam patrole 36. pp piechoty, ale tuż przy brzegu Wisły zlokalizowane były dworzec wąskotorowej Kolejki Jabłonowskiej, a za nim Park Praski oraz szpital.

Ostrzelani żołnierze 36. pp rzucili się przez most na drugą stronę Wisły, zbliżyli się do Placu Zamkowego i odpowiedzieli ogniem, trafiając śmiertelnie rtm. Antoniego Szymańskiego i kilku jego podwładnych. Nie dowiemy się zatem, czy zaczął on strzelać z własnej inicjatywy czy też na polecenie przełożonych. Wówczas oddziały wierne Witosowi wycofały się w głąb miasta, a oddziały wierne Piłsudskiemu – ze względu na słabość liczebną – posunęły się tylko kilkaset metrów.

A co w tym czasie robił Piłsudski? Otóż… Nic. Po rozmowie z prezydentem udał się do koszar 36. Pułku Piechoty. Tutaj położył się na kanapie i zaczął snuć wspomnienia wojenne, zrezygnowany i niewykazujący żadnej woli działania.



Żołnierze Piłsudskiego wdzierają się na dziedziniec Belwederu

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wówczas sprawy w swoje ręce wzięło dwóch oficerów: gen. Gustaw Orlicz-Dreszer oraz ppłk Józef Beck. Ten pierwszy zaczął koordynować działania wojsk w Warszawie, ten drugi zaczął organizować odsiecz. Największą pomoc obiecał mu wysłać – i słowa oczywiście dotrzymał – gen. Edward Śmigły-Rydz z dalekiego Wilna. Pułkownik Beck otrzymał jeszcze jedno zadanie: miał znaleźć wszystkie dostępne plany i mapy Warszawy, ponieważ nie dysponowały nimi wojska Piłsudskiego. Bardzo źle świadczy to o tych, którzy przygotowywali „marsz na Warszawę", albo też... świadczy bardzo dobrze: przed 12 maja nikt po stronie Piłsudskiego nie planował zamachu stanu.

Następnego dnia okazało się jednak, że zarówno mieszkańcy Warszawy, jak i wojska stacjonujące w stolicy sympatią darzą Piłsudskiego. Wówczas w Cytadeli oficerowie sympatyzujący z Witosem zostali pozbawieni dowództwa i nie mogli spełnić rozkazów gen. Rozwadowskiego nakazujących „dostać w swe ręce przywódców buntu, nie oszczędzając ich życia", a żołnierze przyjęli, wspomnianą już, neutralną postawę. Pułki z prowincji docierały z dużym opóźnieniem, a wojska Piłsudskiego odnosiły sukcesy. Walki w mieście nie trwały nawet 48 godzin: tuż po południu 14 maja premier Witos i prezydent Wojciechowski opuścili Warszawę i udali się do Wilanowa, gdzie podpisali rezygnację z zajmowanych stanowisk, a władzę przekazali marszałkowi Sejmu, Maciejowi Ratajowi.

Wincenty Witos licytował wysoko – wydaje się, że najpierw chciał upokorzyć swojego konkurenta, potem sprowadzić go do roli banity, a wreszcie fizycznie zlikwidować – ale miał za słabe karty i przelicytował. Stanisław Wojciechowski popisał się łatwowiernością i naiwnością, a jego najlepszą decyzją była ta o podaniu się do dymisji. Józef Piłsudski dał się wmanewrować w sytuację bez wyjścia, załamał się w obliczu klęski i bliski był kapitulacji. Żadnemu z nich zachowanie w ciągu tych trzech dni maja nie przynosi zaszczytu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



Więzienie wojskowe na Antokolu w Wilnie FOT. NAC

1926–1927 / Sprawcy przestępstw czy ofiary zemsty?

Generałowie za kratami



Tomasz Stańczyk

Po przewrocie majowym Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski, Juliusz Malczewski i Bolesław Jaźwiński zostali aresztowani. Żaden z nich nie stanął jednak przed sądem

Niecałe dwa tygodnie po zakończeniu walk w Warszawie w „Monitorze Polskim" ukazał się komunikat Ministerstwa Spraw Wojskowych (MSWojsk.), na czele którego stał Piłsudski. Powołując się na wytyczne nowego rządu w sprawie „ścigania z całą bezwzględnością wszystkich nadużyć popełnionych przez funkcjonariuszy państwa na szkodę państwa", zarządzono wszczęcie śledztwa sądowego przeciwko generałom: Tadeuszowi Rozwadowskiemu, Włodzimierzowi Zagórskiemu, Bolesławowi Jaźwińskiemu, a także dochodzenia w sprawie działań Juliusza Malczewskiego.

Komunikat przekonywał, że „obwinienia te nie pozostają w żadnym związku z momentami politycznymi ani wypadkami ostatnich dni w stolicy". Generałowie zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu wojskowym na Antokolu w Wilnie. Żaden z nich nigdy nie zasiadł na ławie oskarżonych, chociaż na skierowanie ich spraw do sądu było dużo czasu.

Sąd Honorowy

Komunikat MSWojsk. zarzucał gen. Jaźwińskiemu, szefowi Wojskowego Instytutu Kartograficznego, m.in. „umyślne zaniechanie zapobieżenia i ścigania nadużyć swoich podwładnych", a także „samowolne i wbrew przepisom przeznaczanie sum gospodarczych i dodatków podróżnych bez podstawy" oraz faworyzowanie z chęci zysku jednej firmy w dostawach dla WIK, mimo wadliwości produktów. Więcej można się dowiedzieć z broszury „Zbrodniarze" wydanej w 1926 r. Zamówione przez instytut mapy były drukowane na bibułkowym papierze i miały zawierać rażące błędy. Nie pilnowano map tajnych „jakby umyślnie dla tego, by można było je wyczytać i oddawać obcym szpiegom".

Generałowi Malczewskiemu zarzucono, że w czasie walk majowych zrywał orzełki i epolety oficerom, którzy „wypowiedzieli się przeciw rządowi", deptał zerwane odznaki, wymyślał tym wojskowym i odsądzał ich od czci i honoru, co stanowiło występek określony w kodeksie wojskowym.

Generał Tadeusz Rozwadowski został z kolei oskarżony o nadużycie władzy z chęci zysku – ze szkodą dla budżetu – polegające na popieraniu „wyzyskującego wojsko" Zrzeszenia Pracy, spółdzielni założonej przez kombatantów (generał był jej członkiem i głównym udziałowcem). Anonimowy autor „Zbrodniarzy" pisał o budowie przez Zrzeszenie Pracy obozu ćwiczebnego dla wojska w Leśnej, prowadzonej w taki sposób, że władze w końcu uznały, iż jest to „wyzysk dla wojska", i rozwiązały umowę; spółdzielnia pozostała dłużna MSWojsk. 40 tys. zł.

Umowa z zagranicznym przedsiębiorcą na dostawę drewna zamiast w cztery miesiące została wykonana po roku, i to jedynie w 16 proc. A przecież pobrano na nią zaliczkę w wysokości 50 proc. sumy zamówienia. Rozwadowski wprawdzie nie brał udziału w podpisywaniu tej umowy, ale musiał o niej wiedzieć jako oficer odpowiedzialny za kontrolę finansów.

Zarzuty wobec Rozwadowskiego pojawiły się jednak jeszcze przed majem 1926 r. Jak pisze Mariusz Patelski, biograf Rozwadowskiego, powołana przez gen. Lucjana Żeligowskiego, ministra spraw wojskowych przychylnego Piłsudskiemu, komisja pod kierownictwem gen. Eugeniusza Pogorzelskiego uznała Rozwadowskiego za winnego szkody,

eprasa.pl 5ab27a795f



Generałowie Włodzimierz Zagórski, Władysław Sikorski i Tadeusz Rozwadowski, 1925 r. FOT. NAC

którą poniósł prywatny kontrahent Zrzeszenia Pracy, a także nadużycia władzy w sprawie dostawy uzbrojenia przez lwowską Fabrykę Broni i Maszyn „Arma". Jednak generalski Sąd Honorowy zrehabilitował Rozwadowskiego. Z więzienia na Antokolu generał domagał się przekazania swojej sprawy z sądu wojskowego – który jego zdaniem nie miał odpowiednich kompetencji do jej oceny – do Sądu Handlowego.

„Wyrok potępienia"

Generałowi Zagórskiemu, szefowi Departamentu Lotnictwa MSWojsk., zarzucono w komunikacie tego ministerstwa brak kontroli nad wykonaniem umowy z firmą Francopol (której był uprzednio członkiem zarządu) na dostawy samolotów i silników. Francopol zainkasował zaliczki, ale nie wywiązywał się z umowy i nie został obciążony karami umownymi. Spowodowało to znaczne szkody dla budżetu wojska. Zarzucono generałowi uchylanie się od kontroli zakupów dla lotnictwa, przekroczenie budżetu i samowolne dysponowanie zaliczkami.

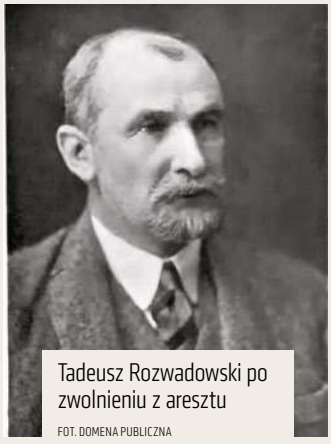
Również zarzuty wobec gen. Zagórskiego były formułowane jeszcze przed przewrotem majowym. Jak pisze Piotr Kowalski, biograf generała, w marcu 1926 r. kontrola w kierowanym przez Zagórskiego departamencie wykazała „pewne uchybienia", w związku z czym kierownik Korpusu Kontrolerów zalecił zmianę na stanowisku szefa departamentu. Taką decyzję podjął minister Żeligowski.

W kwietniu prokuratura wojskowa wnioskowała o wszczęcie śledztwa. Biograf Zagórskiego, chwaląc go za śmiałą wizję rozwoju lotnictwa wojskowego, przyznawał jednocześnie, że niektóre jego decyzje w sprawie zakupu samolotów były po prostu błędne. Dodawał jednak, że zakupy były realizowane za zgodą szefa Administracji Armii. I chociaż później MSWojsk. zerwało umowę z Francopolem wobec niewywiązywania się z niej przez spółkę, Zagórski podpisał z niesolidnym partnerem nowy kontrakt na dostawę samolotów i silników.

Profesor Marian Zdziechowski – rozważany w maju 1926 r. przez Piłsudskiego jako kandydat na urząd prezydenta – który odwiedził Zagórskiego w celi, napisał w broszurze „Sprawa sumienia polskiego", wydanej wiosną 1927 r.: „Generał namiętnie pragnął i wyczekiwał sądu w przekonaniu, że przed sądem wyjdzie na jaw jego niewinność i że sąd ten stanie się wyrokiem potępienia na jego oskarżycieli".

Po uwięzieniu Zagórskiego doszło inne oskarżenie: „Świadomie i z wiedzą, że nie osiągnie celu wojskowego, spowodował poważnie straty w materiale i ludziach". Chodziło o rozkaz Zagórskiego zbombardowania pozycji wojsk wiernych Piłsudskiemu. Co było raczej nieuniknione, ofiarami padli także cywile. Jednak, jak zauważał Piotr Kowalski, Zagórski wykonał wtedy – zresztą zwlekając – rozkazy generałów Rozwadowskiego i Malczewskiego.

We wrześniu 1926 r. marszałek Piłsudski rozmawiał w więzieniu wojskowym w Wilnie z Malczewskim i Jaźwińskim. W rezultacie obaj zostali zwolnieni. Generał Jaźwiński nie stanął przed sądem, jednak aresztowanie i zarzuty odbiły się bardzo na jego zdrowiu psychicznym. Natomiast o gen. Malczewskiem płk Adam Rozwadowski, krewny Tadeusza Rozwadowskiego, pisał: „Malczewski, histeryczna baba, skapitulował i prosi o przebaczenie, że w roku 1926 śmiał oprzeć się Piłsudskiemu" (rozwadowscy.org). Generał Malczewski nie został pociągnięty do odpowiedzialności, gdyż uległ i zgodził się z upokarzającą go opinią lekarzy wojskowych, stwierdzających, że w maju 1926 r. „znajdował się w przemijającym chorobliwym afekcie znoszącym zupełnie jego poczytalność".



Tadeusz Rozwadowski po zwolnieniu z aresztu
FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Trucizna moralna"

Generałowie, którzy pozostali w celach na Antokolu, byli mocno skonfliktowani z Piłsudskim. Podczas pierwszej wojny światowej Włodzimierz Zagórski jako austriacki oficer, szef sztabu Komendy Legionów, znalazł się w ostrym konflikcie z Józefem Piłsudskim, dowódcą I Brygady. Obaj byli ludźmi bardzo ambitnymi, a rywalizowali o to, kto będzie rządził Legionami. Zagórski kierował faktycznie Komendą Legionów – choć nie stał na jej czele – i zamierzał sobie podporządkować także Piłsudskiego. Z kolei Piłsudski nie ukrywał, że chce zostać Komendantem Legionów.

Znacznie bardziej drażliwa sprawa dotyczyła tego, że Zagórski, jako oficer wywiadu, miał wiedzę o kontaktach i umowach Piłsudskiego z kierownictwem wywiadu Austro-Węgier przed 1914 r. Chodziło o zgodę Austriaków na rozwijanie paramilitarnych organizacji Strzelca i tolerowanie antyrosyjskiej działalności Piłsudskiego w zamian za usługi wywiadowcze na kierunku rosyjskim. Zagórski miał posiadać pokwitowania wypłat od Austriaków, podpisywane przez Piłsudskiego i jego współpracowników. Twierdzono również, że Zagórski w celi na Antokolu pisał pamiętniki przedstawiające w niekorzystnym świetle Piłsudskiego. Ten oficer bez wątpienia powodował duży dyskomfort psychiczny zarówno u Piłsudskiego, jak i ludzi z nim związanych przed 1914 r.

Tadeusz Rozwadowski był szefem Sztabu Generalnego w 1920 r., w krytycznych momentach wojny z bolszewicką Rosją, gdy Armia Czerwona znalazła się na przedpolach Warszawy. Piłsudski, wówczas Wódz Naczelny, początkowo

eprasa.pl 5ab27a795f



RZECZPOSPOLITA

Nr. 220 ROK VIII A — PIĄTEK 12 SIERPNIA 1927 — WARSZAWA SZPITALNA 12 — POCZTA OPŁ. RYCZAŁTEM — Cena 20 g

PRENUMERATA Z DOD. ILUSTR. BEZ ODNOSZENIA 4 zł. Z ODN. LUB POCZTĄ 4.50, ZAGR. 7.00 MIESIĘCZNIE. PRZEKAZY: KONTO CZEKOWE P. K. O. 1239. SEKRETARZ PRZYJMUJE CODZIENNIE OD 11 DO 12 I OD 20 DO 21. TELEFON 105-04. RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA

TELEFONY: DYREKCJA WYDAWNICTWA 90-67, REDAKCJA 60-50, 103-42. ZAMIEJSCOWE 105-03, 105-04. ADMINISTRACJA 90-76, 202-60. BUCHALTERJA 90-73.

LWOW TEL. 10-95 CHORĄŻCZYZNA 7 — KRAKOW TEL. 25 53 KARMELICKA 9. — TEL. 22-54 ŚW. MARCINA 50. POZNAN — TEL. 469 ŻELIGOWSKIEGO 1. WILNO

O GEN. ZAGÓRSKIM
w dalszym ciągu brak wszelkich wiadomości

Komunikatu oficjalnego nie wydano

Dzień wczorajszy nie przyniósł w sprawie tajemniczego zniknięcia gen. Zagórskiego ani żadnego wyjaśnienia sytuacji ani też oczekiwanego od szeregu dni (a wczoraj zapowiedzianego nawet na wieczór przez stojącą blisko szefer rządowych Polską Agencję Publicystyczną) oficjalnego komunikatu ze strony wojskowości.

Śledztwo żandarmerji wojskowej

Jednak dnia jutrzejszego ma być wysłuchany i przesłuchany.

Wobec tego śledztwo stoi na razie na martwym punkcie. Wywiady dokonywane przez władze u rozmaitych znajomych gen. Zagórskiego, w przypuszczeniu, że mogłyby posiadać o nim jakieś wiadomości, nie wydały dotąd żadnego wyniku.

Dziwne sprzeczności

Na razie więc tajemniczą sprawę można rozpatrywać tylko w świetle doniesień, jakie się o niej stopniowo ukazywały w poszczególnych pismach

świadczenia w tej sprawie (jak to zazwyczaj bywa praktykowane) nie wydano. We wtorek podają krótkie notatki o uwolnieniu generała „Polska Zbrojna" i „Głos Prawdy" ten ostatni zaznaczając, iż „wiadomość o uwolnieniu gen. Zagórskiego potwierdza się".

PONIEDZIAŁEK. Rodzina generała, która już w sobotę była interpelowana przez poinformowanych o jego uwolnieniu dziennikarzy, czy gen. Zagórski znajduje się już w domu, a która w niedzielę wyjechała była z Warszawy, dowiaduje się od majora Wendy, adjutanta p. Marszałka Piłsudskiego, iż jest bardzo zdziwiony nieobecnością generała w domu, zwłaszcza że miał się zgłosić w Belwederze do raportu... Po mieście krążą pogłoski, że generał jest trzymany bądź to w więzieniu czy też al. Dzikiej bądź to w Komendzie miasta, interpelujący dziennikarze otrzymują jednak od obu władz telefoniczne zaprzeczenie.

ŚRODA. Rano donosi „Express Poranny", na podstawie wiadomości ze sfer miarodajnych, że „gen. Zagórski

bardzo go chwalił, ale następnie znacząco zmienił swoją ocenę. Uznał, że Rozwadowski „sypał jak z rękawa" nowymi pomysłami i co chwila je zmieniał. A jego zasługa polegała tylko na tym, że wierząc w zwycięstwo, dawał Marszałkowi moralne wsparcie, w przeciwieństwie do defetystycznych polityków i pozostałych generałów. Rozwadowski początkowo milczał, jednak zareagował na książkę Piłsudskiego „Rok 1920", w której Marszałek kreował się na jedynego ojca zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej.

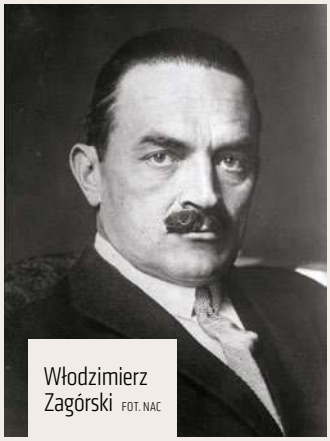
Rozwadowski, podrażniony ignorowaniem jego zasług, zaczął je mocno podkreślać. Marszałek uważał się za jedynego twórcę planu kontrofensywy znad Wieprza, która stała się przełomem w Bitwie Warszawskiej. Biograf generała, Mariusz Patelski, pisał, że w nocy z 5 na 6 sierpnia 1920 r. Rozwadowski przyszedł do Piłsudskiego z dwoma propozycjami kontrofensywy. A Marszałek wybrał tę, która została zrealizowana. Oczywiście zasługą Naczelnego Wodza było to, że przyjął plan zwieńczony sukcesem.

Marszałek czuł poza tym urazę do Rozwadowskiego za to, że przekazał on dokumenty dotyczące Bitwy Warszawskiej wybitnemu historykowi gen. Marianowi Kukielowi, który napisał artykuł „Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej", przedstawiając wydarzenia nie tak, jak by sobie tego życzył Piłsudski. Marszałek gniewnie zareagował na ten artykuł, nazywając Kukiela „Kukielinką" i oskarżając go, że „tańczy" dla gen. Władysława Sikorskiego.

Rozwadowski zaczął też opowiadać, że być świadkiem depresji i bezradności Piłsudskiego w krytycznych dniach wojny. Jednak nawet jeżeli tak było, to trudno uznać to za ujmę dla Marszałka. Przecież to na jego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność za to, czy Polska obroni swoją niepodległość.

W maju 1927 r. Rozwadowski został zwolniony i stawił się w Belwederze na rozmowę z Piłsudskim. Generał napisał później list do krewnego, płk. Adama Rozwadowskiego. Jego treść cytuje Patelski: „Otrzymałem z rąk p. ministra wojny orzeczenie sądowe zwalniające mnie z aresztu prewencyjnego, a w zamian podpisałem tylko zobowiązanie stawienia się sądowi, gdy tylko będzie potrzeba. Marszałek pytał tylko jeszcze o powody mianowania Malczewskiego oraz o dokumenty wydane przeze mnie gen. Kukielowi (które go zdaje się bolą najwięcej, bo podobno stara się ciągle urabiać je korzystniej dla siebie), a ja dopiero na odejściu sam sprawę podniosłem, oświadczając: »Byłem i pozostanę legalistą, wypełniałem tylko ciężki obowiązek, jak należało, a oczekuję teraz po zbyt długim śledztwie przewodu sądowego i nic innego nie żądam«... po czym ukłonem wzajemnym rozstaliśmy się całkiem chłodno..." (rozwadowski.org).

Roczny pobyt Rozwadowskiego w areszcie, ciężkie przeżycia związane z oskarżeniami zapewne nie były bez wpływu na zdrowie generała. Zmarł w październiku 1928 r. Mówiono, że przyczyną śmierci było powolne trucie Rozwadowskiego poprzez farbę z arszenikiem, którą ponoć była wymalowana jego cela. Nie wierzył w to Adam Rozwadowski, który w wydanej w 1929 r. książce „Generał Rozwadowski" napisał: „Przyczyną choroby Generała i jego przedwczesnego skonu była trucizna moralna, zadana mu ciężkimi zarzutami, uwłaczającymi jego czci".



Włodzimierz Zagórski FOT. NAC

Zniknięcie Zagórskiego

6 sierpnia 1927 r. gen. Włodzimierz Zagórski został zwolniony z więzienia na Antokolu i w towarzystwie kpt. Lucjana Miładowskiego, członka gabinetu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (był nim Piłsudski), przyjechał do Warszawy. Miał tego dnia stawić się w Belwederze na rozmowę z Marszałkiem. Na Dworcu Wileńskim adiutant Piłsudskiego, mjr Zygmunt Wenda, poinformował go jednak, że w związku z przyspieszonym wyjazdem na Zjazd Legionistów w Kielcach Marszałek nie może go przyjąć. Zagórski miał się więc stawić do raportu w Belwederze za kilka dni, po jego powrocie. Generał wsiadł do samochodu z Miładowskim i Wendą, po czym na Krakowskim Przedmieściu poprosił o zatrzymanie auta; chciał wysiąść, by się wykąpać w pobliskiej łaźni. Od tej pory nie dał już znaku życia. Ponieważ nie zjawił się u Marszałka w kolejnych dniach, wszczęto śledztwo pod zarzutem niewykonania rozkazu i dezercji. Innej wersji zniknięcia generała nie brano pod uwagę.

Prasa związana z obozem rządzącym pisała, że generał, na którym ciążyły zarzuty karne, uciekł za granicę,

eprasa.pl 5ab27a795f

a Aleksandra Piłsudska twierdziła we wspomnieniach, że ucieczkę zorganizowali ludzie związani z Francopolem, dla których zeznania Zagórskiego mogły być niewygodne. Dowodem na to, że generał uciekł, miały być pisane we wrześniu 1927 r. jego ręką listy, nadane z Wolnego Miasta Gdańska do kasyna oficerskiego i funduszu dla wdów i rodzin poległych, w których regulował swoje zobowiązania finansowe. Grafolodzy potwierdzili wówczas ich autentyczność, natomiast analiza dokonana po drugiej wojnie światowej przez ekspertów z Komendy Głównej MO stwierdziła, że nie było to pismo generała.

Zbigniew Cieślikowski i Jerzy Rawicz podkreślali, że praca mjr. Wilhelma Mazurkiewicza, rzetelnego sędziego śledczego, była celowo bardzo utrudniana przez władze. Mazurkiewicz nie zdołał przesłuchać w charakterze świadków ważnych dla śledztwa zaufanych ludzi Marszałka – płk. Aleksandra Prystora i płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. W końcu września 1927 r. postępowanie karne przeciw Zagórskiemu wstrzymano ze względu na to, że „stan faktyczny został ustalony". Miało to oznaczać, że Zagórski zdezerterował i uciekł za granicę. W opinii Rawicza i Cieślikowskiego śledztwo przerwano, gdyż mogłoby ono doprowadzić do ujawnienia ludzi z otoczenia Piłsudskiego winnych uprowadzenia i zamordowania gen. Zagórskiego.

Co się więc stało z gen. Zagórskim? Czy uciekł za granicę, chociaż miał się domagać, by sprawa jego oskarżeń znalazła rozstrzygnięcie w wyroku sądowym? A jeśli uciekł, to dlaczego – jak pytał jego biograf Piotr Kowalski – nie ujawnił materiałów, które miały postawić Piłsudskiego w złym świetle?

Dziennik Zamorskiego

Nie ma dowodów, że gen. Zagórski został zamordowany. Jednak piłsudczyk, historyk Władysław Pobóg-Malinowski, nie wierzył w ucieczkę generała za granicę. Pisał bowiem o zbrodni „oburzającej przez istotę swoją i formę, a zadziwiającą swoją głupotą". Pobóg był przekonany, że sprawa sądowa pogrążyłaby generała



Zygmunt Wenda
FOT. NAC

Nie ma dowodów, że Zagórski został zamordowany. Ale piłsudczyk Pobóg-Malinowski pisał po latach o oburzającej zbrodni. Nie wierzył więc w ucieczkę generała za granicę, co sugerowała prasa rządowa

w opinii społecznej. Napisał też znaczące słowa: „Jak w sprawie Zagórskiego, tak i w tych brutalnych aktach [pobicie byłego ministra Jerzego Zdziechowskiego, publicysty Adolfa Nowaczyńskiego, pisarza Tadeusza Dołęgę-Mostowicza – przyp. red.] sprawcy zacierali skrzętnie wszystkie ślady po sobie; podejrzenia szły w kierunku pewnej mafii, rekrutującej się z młodszych elementów legionowych [...]. Nie rozumiało to niemądre grono, jak wielką krzywdę robi swoimi metodami Piłsudskiemu właśnie".

Według relacji płk. Mariana Romeyki gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski powiedział mu: „Panie, czy wie pan, że mnie oskarżają, żem zabił Zagórskiego?... Ja?! Ja przysięgam, że go nie zabiłem!". Oznaczałoby to, że Wieniawa wiedział, iż Zagórski został zamordowany, i zapewne też wiedział, kim są sprawcy.

Generał Kordian Zamorski zanotował w swoim dzienniku rozmowę z gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem, który opowiedział mu o mjr. Aleksandrze Stawarzu: „Malkontent z tego powodu, że brał udział w zabójstwie [Włodzimierza] Zagórskiego i nic za to nie ma. Opowiadał przebieg mordowania (po uśpieniu) tego człowieka ze szczegółami i wymienieniem osób, które w tym brały udział". Śmigły był – jak pisze Zamorski – przekonany, że w zabójstwie Zagórskiego brali udział mjr Zygmunt Wenda i płk Józef Beck (późniejszy minister spraw zagranicznych).

O Wendzie mówił też list inż. Adama Nawroczyńskiego, opublikowany w książce Rawicza. Nawroczyński rozmawiał ze swoim kolegą gen. Gustawem Orliczem-Dreszerem – dowodzącym wojskami Piłsudskiego w dniach majowych – który nie zaprzeczył, że to właśnie Wenda osobiście zabił Zagórskiego.

Jedna z hipotez mówi, że uwolniony Zagórski, jeszcze tego samego dnia, 6 sierpnia 1927 r., został uprowadzony przez ludzi z otoczenia Marszałka, którzy chcieli wymusić na generale oddanie materiałów dotyczących współpracy Piłsudskiego z wywiadem austriackim. Zagórski miał odmówić, a jego śmierć mogła nastąpić w wyniku tortur w lokalu Strzelca bądź w Forcie Legionów w Warszawie. Mógł być to nieprzewidziany ich skutek. Sprawcy uprowadzenia generała musieli przecież wziąć pod uwagę, że Zagórski mógł skopiować te materiały i mogłyby one wypłynąć po jego śmierci.

Przeciwnicy Marszałka uważali nawet, że to on zlecił zabójstwo gen. Zagórskiego, a przynajmniej zezwolił na nie. Te twierdzenia nie są jednak niczym poparte. Można natomiast przypuszczać, że – jak pisał Zbigniew Cieślikowski – „Józef Piłsudski [...] wiedział, co się stało z generałem Zagórskim, kto był sprawcą zbrodni i postanowił tych ludzi ochronić [...]." Ale co się naprawdę stało z gen. Zagórskim, nie wiemy do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CYTOWANI AUTORZY:

Cieślikowski Z., ***„Tajemnice śledztwa Ko-1042/27";*** *Kowalski P.*, ***„Generał brygady Włodzimierz Ostoja-Zagórski (1882–1927). Biografia";*** *Patelski M.*, ***„Generał broni Tadeusz Jordan-Rozwadowski. 1866–1928";*** *Pobóg-Malinowski W.*, ***„Najnowsza historia polityczna Polski",*** *t. 2; Romeyko M.*, ***„Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach";*** *Rawicz J.*, ***„Generał Zagórski zaginął...".***

eprasa.pl 5ab27a795f



Ruhollah Chomejni
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wywiad / Z prof. UŁ Robertem Czuldą, autorem książki „Iran 1925–2014. Od Pahlawich do Rouhaniego”

rozmawia Piotr Włoczyk

Od szacha do ajatollaha

– Ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach – mówi badacz

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego doszło do tzw. wojny tankowców?

PROF. UŁ ROBERT CZULDA: W trakcie wojny iracko-irańskiej w latach 80. żadna ze stron nie mogła osiągnąć zdecydowanej przewagi. Pojawiła się zatem koncepcja, by atakować tankowce, odcinając w ten sposób główne źródło dochodu przeciwnika. Te ataki rozpoczął Irak, ale wkrótce również Iran zastosował te metody, a nawet dokonał eskalacji, biorąc na celownik tankowce wywożące kuwejcką ropę naftową. Władze Kuwejtu poprosiły w końcu Amerykanów o zapewnienie ochrony. Ponieważ Amerykanie mieli wtedy bardzo napięte relacje z Iranem, szczególnie po ataku na ich ambasadę w Teheranie, US Navy włączyła się do akcji i w ten sposób doszło do krótkiego konfliktu morskiego między Amerykanami i Irańczykami.

Jak długo trwała „wojna tankowców”?

W trakcie tamtej regionalnej wojny działania na wodach Zatoki Perskiej trwały siedem lat. „Wojna tankowców” obejmowała niemal cały ten okres. Irańczycy starali się wtedy kontrolować ruch w cieśninie Ormuz, stawiając miny morskie; na jedną z nich wpadł zresztą amerykański okręt. Miało to miejsce w 1988 r. Czyli to, co dziś obserwujemy w Zatoce Perskiej, nie jest precedensem, choć obecnie Iran dużo skuteczniej ograniczył ruch statków uznanych za wrogie.

To Saddam Husajn rozpoczął niezwykle brutalną wojnę iracko-irańską. Jak Teheran zareagował na iracką agresję?

Władze irańskie, wówczas już rewolucyjne, przyjęły wojnę z Irakiem niemal jako błogosławieństwo. Społeczeństwo irańskie skupiło się na odpieraniu agresji, a nie na stawianiu oporu islamskiemu reżimowi. Teheran wykorzystał ten konflikt, żeby ugruntować swoją władzę i pozbyć się opozycji. Przykładem może być pierwszy prezydent Iranu Abolhassan Banisadr, którego usunięto ze stanowiska w 1981 r.

Jednym z powodów ataku Iraku była obawa przed „eksportem” rewolucji islamskiej. Co jeszcze odegrało tu rolę?

Husajn chciał też ugruntować swoją – dosyć świeżą – władzę, a podburzanie irackich szyitów przez rewolucyjny już wówczas Iran utrudniało mu to zadanie, jednocześnie tworząc zagrożenie dla stabilności jego państwa. Dyktator z Bagdadu był bardzo ambitnym przywódcą i widział siebie jako nowego Nasera – przywódcę całego świata arabskiego. Dlatego chciał unieszkodliwić największe zagrożenie dla tego świata – Iran, który nie

eprasa.pl 5ab27a795f

jest państwem arabskim. Inne państwa regionu też bały się ekspansjonistycznych aspiracji Teheranu, co dodatkowo motywowało Husajna do działania w charakterze samozwańczego obrońcy Arabów.

Co ciekawe, chociaż przed agresją Iraku dochodziło w pasie przygranicznym do ostrzałów, to jednak nowe władze w Teheranie były zaskoczone atakiem Husajna. I początkowo iracka ofensywa osiągnęła pewne sukcesy. Irakijczykom sprzyjało też to, że w Iranie panował rewolucyjny chaos. Po dwóch latach udało się Iranowi wypchnąć wojska Husajna ze swojego terytorium i od tego czasu walki toczyły się już głównie w Iraku. Konflikt ten w Iranie znany jest jako „Wymuszona Obrona" lub „Święta Wojna".

W tym konflikcie reżim irański na dużą skalę wykorzystywał dzieci, m.in. do „czyszczenia" pól minowych...

Istnieje bardzo dużo materiałów na temat wykorzystywania przez Iran dzieci żołnierzy. Teheran używał nastolatków często bez wiedzy ich rodziców, ale niektórzy fanatycy sami wysyłali swoje potomstwo na wojnę. Zainteresowanych odsyłam do dostępnego w Internecie filmu dokumentalnego BBC, w którym występują irańscy weterani. Brali oni udział w wojnie jako dzieci. Iran rządzony przez islamskich duchownych bardzo poważnie traktuje koncepcję męczeńskiej śmierci, poświęcenia się dla sprawy i „eksportu" rewolucji. Promowanie samobójczych ataków zostało następnie przeniesione do Libanu, gdzie powstał Hezbollah. Słynny atak na amerykańskie koszary w 1983 r. w Bejrucie był przeprowadzony właśnie przez samobójcę. To efekt promocji idei przez Iran.



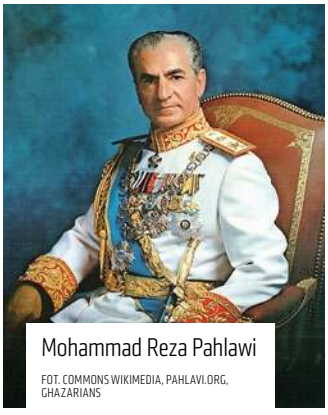
Amerykańskie okręty konwojują zbiornikowiec w Zatoce Perskiej, 1987 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Dlaczego po irackiej stronie frontu nie wykorzystywano w ten sposób dzieci?

Przede wszystkim dlatego, że Irak miał przewagę techniczną i nie musiał sięgać po tak desperackie metody. Związek Sowiecki przekazywał mu broń, ale Bagdadowi pomagały również państwa arabskie. Nie chodziło o sympatyzowanie z Saddamem Husajnem, ale o strach przed Iranem – państwem rewolucyjnym, ekspansjonistycznym, które groziło całemu regionowi rozlaniem rewolucji. Teheran wprost głosił hasło „wyzwolenia" muzułmanów poddawanych opresji przez pseudoislamskie rządy w regionie. Irańscy duchowni snuli wizje pojawienia się wszędzie w regionie rządów islamskich. Oficjalna retoryka mówiła o „poniesieniu sztandaru islamu na cztery krańce świata" i „wyzwoleniu" najpierw Iraku, a potem Jerozolimy.

Iran natomiast nie mógł liczyć na taką pomoc wojskową. Jego władze stwierdziły, że trzeba sięgnąć po radykalne metody, i stąd wzięło się wykorzystywanie „żywych fal". Wpisało się to idealnie w ówczesną rewolucyjną narrację o charakterze mocno religijnym.



Mohammad Reza Pahlawi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAHLAVI.ORG, GHAZARIANS

Szyici są pod tym względem bardziej radykalni od sunnitów?

Męczeństwo, cierpienie, poświęcenie dla idei jest bardzo mocno zakorzenione w szyizmie. Nowy rząd republiki islamskiej przedstawiał się jako realizator woli boskiej. Szyici z Iranu byli zatem nakłaniani nie tylko do fanatycznej obrony kraju, lecz także do realizacji boskiego projektu – wyzwolenia innych muzułmanów w regionie Zatoki Perskiej i wprowadzenia tam takich rządów jak w Iranie, a więc państwa rządzonego w imię Boga. Oczywiście mówiono też o walce ze złem – czyli z USA – i z jego pomocnikami, czyli przede wszystkim z Izraelem.

W Iraku ponad połowę mieszkańców stanowili szyici...

Ale państwem rządzili sunnici, którzy inaczej – mniej radykalnie – patrzą na męczeństwo. Husajn nie był muzułmańskim radykałem, lecz świeckim dyktatorem. Bliski Wschód jest bardzo skomplikowany pod kątem tożsamości. Gdy Irak atakował w 1980 r. Iran, Husajn liczył na to, że Arabowie mieszkający w irańskiej prowincji Chuzestan powitają jego wojska z kwiatami w rękach. Tak się jednak nie stało. I w drugą stronę było widać to samo. Gdy szyicka armia irańska weszła do Iraku, Teheran liczył na to, że szyiccy Irakijczycy przyłączą się do nich. Nic z tego jednak nie wyszło.

Kogo wtedy popierali Amerykanie?

Dla USA to był bardzo trudny okres. Przed wybuchem rewolucji w Iranie amerykańska polityka w regionie była powściągliwa. Był to wynik klęski w Wietnamie – Ameryka stwierdziła, że nie może być zaangażowana wszędzie. Waszyngton przyjął na Bliskim Wschodzie politykę dwóch filarów – pierwszym był proamerykański Iran pod rządami szacha Mohammada Rezy Pahlawiego, a drugim prozachodnia Arabia Saudyjska.

Gdy w 1979 r. wybuchła rewolucja islamska, pierwszy, ważniejszy filar upadł. Początkowo Amerykanie liczyli na to, że nowe władze w Teheranie może nie będą im wprost przychylne, ale nie będą wrogie. Gdy jednak w październiku 1979 r. doszło do ataku na ambasadę USA w Teheranie i gdy amerykańscy obywatele trafili do niewoli na 444 dni, te kalkulacje upadły. Amerykanie stanęli wtedy wobec otwarcie antyamerykańskiego Iranu. Ale reżim Husajna również był antyamerykański i blisko współpracował ze Związkiem Sowieckim. USA miały więc problem w Zatoce Perskiej.

Gdy między Irakiem i Iranem wybuchła wojna, Amerykanie uznali, że skoro walczą dwaj wrogowie Ameryki, to warto wspierać jedną i drugą stronę, żeby żadna z nich nie zyskała zdecydowanej przewagi. Była to strategia równoważenia, aczkolwiek asymetryczna, ponieważ gdy w 1982 r. Iran zaczął wygrywać, USA, które ogłosiły formalną neutralność w tej

eprasa.pl 5ab27a795f

wojnie, zaczęły skłaniać się w stronę Iraku. Wsparcie dla Iranu było krótkookresowe i mimo wszystko symboliczne, choć nie zmienia to faktu, że z perspektywy Amerykanów, a także państw arabskich, najlepszy scenariusz był taki, aby oba walczące państwa – ekspansjonistyczne, militarystyczne i mające chęć dominacji – wyszły z wojny jak najbardziej osłabione.

Jak wyglądało wspieranie Iranu, skoro atak na ambasadę właściwie zakończył relacje Waszyngtonu z Teheranem?

Tu było pełno paradoksów. Amerykanie wspierali Irak, który otrzymywał równolegle pomoc od Moskwy. O ile jednak Sowieci przekazywali Husajnowi broń, przede wszystkim czołgi i samoloty, o tyle Amerykanie dostarczali Husajnowi pomoc wywiadowczą, udzielali kredytów, znormalizowali relacje dyplomatyczne, zachęcali państwa arabskie do wsparcia finansowego czy też usunęli Irak z listy państw wspierających terroryzm. Natomiast gdy Irak zyskiwał zbyt dużą przewagę, Amerykanie zmniejszali pomoc, żeby tych dwóch „bokserów" walczyło ze sobą jak najdłużej. Henry Kissinger zwięźle podsumował wtedy amerykańską politykę wobec tej wojny: „Szkoda, że obie strony nie mogą przegrać".

A jak USA wspierały wtedy reżim ajatollahów? W sposób ograniczony, chociażby poprzez redukowanie wsparcia wywiadowczego dla Iraku. Pamiętajmy, że od 1979 r. obowiązywały amerykańskie sankcje nałożone na Iran, w tym zakaz eksportu broni. W USA wybuchła z tego powodu afera nazwana Iran-Contras. Amerykanie liczyli na to, że Iran pomoże uwolnić amerykańskich zakładników, których uprowadził w Libanie proirański Hezbollah. W zamian Teheran dostał od administracji Ronalda Reagana możliwość ograniczonego kupowania broni od USA przez pośredników, a pieniądze z tych operacji były przekazywane z kolei antykomunistycznej partyzantce Contras z Nikaragui. Do Iranu trafiły m.in. przeciwpancerne pociski TOW czy części do przeciwlotniczego systemu Hawk. Było to niezwykle ważne wsparcie dla Teheranu, który nie mógł znaleźć sposobu, by złamać iracki opór.

Co ciekawe, Amerykanie przymykali wtedy oko na to, że Husajn produkował broń chemiczną, która ostatecznie została użyta w trakcie wojny. To z kolei bardzo wzmocniło antyamerykańskie nastroje wśród Irańczyków.

Dlaczego irackie wojsko miało wtedy przewagę techniczną nad Iranem, skoro szach latami kupował zachodni, przede wszystkim amerykański, sprzęt wojskowy?

Jeszcze do lutego tego roku w irańskich siłach zbrojnych służyły amerykańskie samoloty F-4, F-5 i F-14, brytyjskie czołgi i okręty z czasów szacha. W czasie wojny broń zużywa się bardzo szybko, a przecież po rewolucji islamskiej z Iranu wyjechali amerykańscy doradcy wraz z całym niezbędnym „know-how". Iran stracił też oczywiście dostęp do części zamiennych i amunicji. Łańcuch utrzymania sprzętu w służbie bez Amerykanów upadł z dnia na dzień. Gdy Husajn rozpoczął wojnę, ten wielki kraj pogrążony był w wojnie domowej, armia była w chaosie – część oficerów uciekła za granicę, a część nowy reżim wtrącił do więzień. Dotyczyło to chociażby pilotów, których później rewolucyjne władze w Teheranie musiały szybko wypuścić, by móc wysłać ich na front. Irakowi było dużo łatwiej prowadzić działania wojenne, bo nie został odcięty od sprzętu wojskowego, który płynął szerokim strumieniem m.in. ze Związku Sowieckiego, ale nie tylko. Dostawcą była również chociażby Francja, co było problematyczne, bo potem francuskimi pociskami Husajn atakował tankowce na wodach Zatoki Perskiej

Kto wygrał wojnę iracko-irańską?

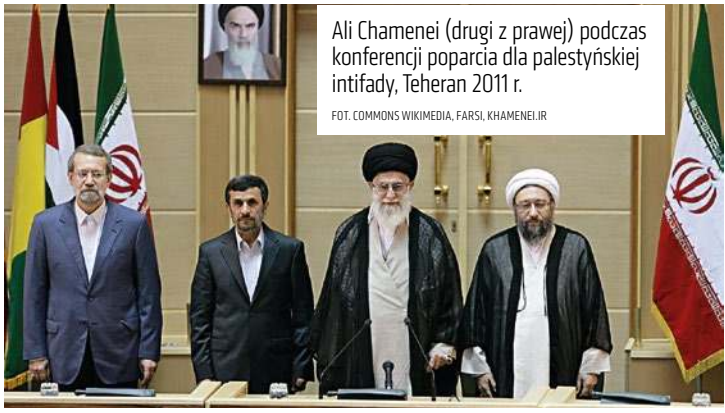
Tak naprawdę nikt jej nie wygrał, choć obie strony ogłosiły zwycięstwo. Reżim irański wygrał ją w tym sensie, że dzięki wojnie udało mu się skonsolidować władzę i przetrwać. Irak natomiast rozpoczął swój powolny upadek, ponieważ efektem wojny było wyczerpanie gospodarcze, co doprowadziło w 1990 r. do agresji na Kuwejt, rok później do międzynarodowej operacji wyzwolenia tego państwa, a w efekcie do sankcji i ostracyzmu. Reżim Husajna już nigdy się nie podniósł. Nie przeszkodziło to jednak Husajnowi wybudować w centrum Bagdadu pomnika na cześć zwycięstwa w wojnie z Iranem.

Czy brak zdecydowania ze strony Amerykanów w kluczowym momencie nie był śmiertelnym ciosem dla reżimu szacha, który zdecydował o tym, że Iran z sojusznika stał się zaprzysięgłym wrogiem USA?

Otwartym pytaniem pozostaje, w którą stronę poszedłby reżim szacha. I nie zapominajmy też, że w 1979 r. Mohammad Reza Pahlawi był już śmiertelnie chory na nowotwór, zostało mu już bardzo niewiele czasu, i to też było jedną z przyczyn sukcesu rewolucji. Zmarł on przecież na chłoniaka w 1980 r., w wieku zaledwie 60 lat. Upadek szacha to wypadkowa kilku czynników. Niewątpliwe dla Amerykanów przekształcenie tego kraju we wroga było jedną z największych klęsk, które USA odnotowały w XX w. Bez wątpienia była to największa porażka administracji Cartera, choć poprzednie administracje również miały tu swój wkład. Co ciekawe, na sam koniec Carter ostro krytykował szacha, co dało sporo „amunicji" przeciwnikom jego reżimu. Natomiast za upadek szacha odpowiada najbardziej on sam.

Szach latami był bardzo wygodny dla Amerykanów i Brytyjczyków. Na pewno był bardziej posłuszny od premiera Mohammada Mosaddegha, który został obalony w 1953 r. w wyniku zamachu stanu, w którym palce maczali Amerykanie i Brytyjczycy...

Do niedawna badacze zajmujący się tym tematem



Ali Chamenei (drugi z prawej) podczas konferencji poparcia dla palestyńskiej intifady, Teheran 2011 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FARSI, KHAMENEI.IR

eprasa.pl 5ab27a795f

uważali, że Amerykanie i Brytyjczycy odgrywali tu główną rolę, ale od niedawna mamy nową interpretację: zamach wynikał głównie z przyczyn wewnętrznych. Opozycja wobec premiera rosła w siłę, szczególnie wojsko mocno sprzeciwiało się jego rządom. Szach, który w sierpniu 1953 r. uciekł z Iranu, też miał w kraju sporo zwolenników, więc nie da się tamtych wydarzeń sprowadzić do hasła: Mosaddegh i naród kontra szach i popierające go mocarstwa. Iran był wówczas podzielony.

Gniew Zachodu ściągnęła na premiera przede wszystkim nacjonalizacja irańskich złóż ropy. Wcześniej były one formalnie irańskie, ale zarządzali nimi Brytyjczycy. Umowa z Londynem była bardzo niekorzystna dla Iranu. Reforma rolna, ograniczanie władzy monarchy – te posunięcia sprawiały, że rosły podejrzenia, czy Mossadegh nie miał przypadkiem związków z komunistami. A przecież Moskwa zawsze była dla Iranu problemem. Irańczycy, a także Brytyjczycy i Amerykanie doskonale pamiętali, że pod koniec drugiej wojny światowej Armia Sowiecka nie chciała wyjść z Iranu. Więc oczywiście Londyn i Waszyngton miały interes w tym, by Mosaddegh został usunięty.

Jeżeli chodzi o eksploatację ropy naftowej, to ewidentnie szach był wygodniejszy dla Zachodu.

Nie ma wątpliwości, że w trakcie drugiej wojny światowej szach był marionetką. W kolejnych dekadach budował powoli swoją pozycję, ale jego państwo było słabe, więc nie mógł sobie pozwolić na asertywność względem mocarstw. Albo mógł być zależny od USA, albo od ZSRS. Oczywiste było, że lepiej mieć bliskie relacje z Amerykanami,



ROBERT CZULDA
„IRAN 1925–2014. OD PAHLAWICH DO ROUHANIEGO"
PWN

którzy nie byli zainteresowani tworzeniem w Iranie baz wojskowych, niż stać się satelitą Moskwy. Związek Sowiecki po drugiej wojnie światowej na terenie Iranu utworzył własne republiki ludowe, coś na kształt tworów, które znamy teraz z Ukrainy. Dopiero amerykańska presja wymusiła na Stalinie, by je zlikwidował. Irańscy komuniści, wspierani przez Moskwę, wzywali do obalenia szacha i rewolucji proletariatu, podczas gdy Amerykanie nie mieli podobnych ambicji. Zdroworozsądkowa kalkulacja była więc oczywista.

Jednak w latach 70. nie sposób już nazwać szacha marionetką USA. Od początku tamtej dekady irański monarcha uniezależniał się coraz bardziej od Waszyngtonu. Już za rządów Geralda Forda (1974–1977) Amerykanie zwracali uwagę, że szach robi się asertywny i ignoruje punkt widzenia Amerykanów. Istniała obawa, że będzie działał wbrew amerykańskim interesom. Napięcia między Waszyngtonem a Teheranem rosły.

Za czasów administracji Forda Mohammad Reza Pahlavi nie chciał zmniejszyć ceny irańskiej ropy naftowej, podkreślając, że taka sytuacja jest korzystna dla jego państwa. Amerykanie byli coraz bardziej niezadowoleni z szacha, który w końcu zagroził nawet wstrzymaniem sprzedaży tego surowca na Zachód. Narastały różnice w kwestii dostaw broni, jej ceny, a także współpracy jądrowej. Szach w tym okresie absolutnie nie był marionetką. Każdego, kto tak uważa, zachęcam do dokładnej lektury archiwalnych dokumentów i tego, co w tajnych notatkach pisali Amerykanie.

W jakim stanie był Iran na początku jego rządów?

Iran był wtedy właściwie państwem średniowiecznym – większość jego mieszkańców była niepiśmienna. Nie było przemysłu, nowoczesnej infrastruktury. Taki był punkt wyjścia.

To ciekawe, bo przecież dziś w materiałach na temat Iranu podkreśla się, że to społeczeństwo jest świetnie wyedukowane.

Pierwszy szach, ojciec Mohammada Rezy Pahlaviego, wprowadzał powszechną edukację i ten program kontynuował jego syn, wysyłając studentów za granicę, tworząc specjalny korpus, który uczył ludzi czytać i pisać. W czasach drugiego szacha Iran wykonał olbrzymią pracę na rzecz unowocześnienia społeczeństwa. Był to tytaniczny wysiłek, ale brakowało infrastruktury, ekspertów i pieniędzy. To z kolei było efektem polityki poprzednich dekad, w tym faktycznej dezintegracji irańskiej państwowości na przełomie wieków XIX i XX.

Dopiero w latach 70. pojawiły się w irańskim budżecie naprawdę duże pieniądze. Z jednej strony szach był dyktatorem – w tej sprawie nie ma żadnych wątpliwości. Ale z drugiej strony władca Iranu bardzo chciał zmodernizować swoje państwo. To wynikało z jego osobistych ambicji – chciał być przywódcą potężnego kraju. Pęd za nowoczesnością wynikał też z przekonania, że ropa naftowa skończy się w Iranie w ciągu dwóch dekad.

Szach wyobrażał sobie miejsce Iranu gdzieś między dwoma blokami?

Tak, ale na pewno było mu bliżej – zarówno wojskowo, jak i gospodarczo – do Zachodu. Z powodów historycznych szach nie ufał Związkowi Sowieckiemu i widział w tym państwie duże zagrożenie. Niejednokrotnie przecież sowieckie samoloty naruszały irańską przestrzeń powietrzną – właśnie dlatego szach kupił odrzutowce F-14, które mogły dogonić maszyny ZSRS. Ponadto w Iranie działała partia komunistyczna, co wzmagało antysowieckie nastawienie szacha. Jednak mimo to w drugiej połowie lat 70. zaczął ocieplać relacje z Kremlem, wychodząc z założenia, że ryzyko wojny z potężnym sąsiadem z północy zmniejszy zbudowanie zależności gospodarczych. Efektem tego były zakupy sowieckiej broni.

Oriana Fallaci nie miała o nim dobrego zdania...

Tak, widziała w nim megalomana, ale to samo uważali na jego temat Amerykanie. Administracja Forda obawiała się, że w pewnym momencie kupowana przez szacha amerykańska broń może posłużyć Iranowi do przejęcia pól naftowych innych państw tego regionu. Waszyngtonowi bardzo nie podobały się wybijanie się szacha na suwerenność i jego coraz bardziej krytyczne słowa pod adresem Izraela.

Wynikałoby z tego, że ktokolwiek by rządził Iranem, prędzej czy później pojawią się tam duże ambicje regionalne.

Historycznie Persja kontrolowała znaczną część Bliskiego Wschodu.

eprasa.pl 5ab27a795f



Meczet Imama w Isfahanie z wizerunkami Chomejniego i Chameneiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HARA 1603

Ekspansja wpływów była – i wciąż jest – naturalną potrzebą Iranu, przynajmniej w odniesieniu do Zatoki Perskiej. Amerykanie do pewnego momentu godzili się na to, by Iran był regionalnym żandarmem. Wyrazem ambicji szacha było kupowanie samolotów i okrętów pozwalających prowadzić operacje daleko poza granicami Iranu. Było to dla straumatyzowanej wojną w Wietnamie Ameryki, pogrążonej w kryzysie gospodarczym, najlepsze rozwiązanie – prozachodni, umiarkowany i stabilny Iran jako regionalny strażnik bezpieczeństwa, ograniczający potęgę antyzachodniego Iraku, wyraźnie prosowieckich Indii i jako siła zatrzymująca Związek Sowiecki przed ekspansją na południe, tj. w stronę Zatoki Perskiej.

Wdrażając swoją „białą rewolucję", mającą unowocześnić państwo i społeczeństwo, szach chyba nie rozumiał do końca, że tak właściwie kręci w ten sposób na siebie bicz...

Ostatecznie okazało się, że ogłoszona w 1963 r. „biała rewolucja" przyspieszyła jego upadek. Coś, co dla nas jest oczywiste, jak choćby równość płci, dla Irańczyków było wtedy jednak zbyt radykalne. Modernizacja stała się dla szacha problemem. Natomiast to nie zmienia faktu, że „biała rewolucja" była bardzo ambitnym projektem modernizacji nie tylko gospodarki, lecz także społeczeństwa. Szach wyprzedził swoją epokę. Zresztą już jego ojciec starał się modernizować kraj, m.in. nie tylko budując infrastrukturę, jak kolej, lecz także zakazując noszenia tradycyjnych strojów i zakrywania włosów przez kobiety. Irańczycy mieli też nie afiszować się z wielbłądami i nie chwalić się produkcją dywanów perskich. Iran miał się kojarzyć z nowoczesnością. Drugi szach poszedł jeszcze dalej w przyznawaniu kobietom praw.

Powiedział pan, że równouprawnienie płci było wtedy dla Irańczyków zbyt radykalnym krokiem. Ale przecież chyba każdy widział zdjęcia skąpo ubranych Iranek chodzących po ulicach irańskich miast pod koniec rządów szacha.

To są prawdziwe obrazki, ale to tylko część, i to niewielka, prawdy o Iranie drugiej połowy XX w. W tamtych czasach to był w większości konserwatywny kraj i to się właściwie niewiele zmieniło do dziś.

Jak represyjny był reżim szacha?

To był system autorytarny, który opierał się na jednej osobie, w odróżnieniu od obecnej sytuacji, gdzie struktury irańskiej władzy są rozproszone. Istniał parlament, ale wszystkie najważniejsze decyzje podejmował jednoosobowo szach. Parlament był wtedy fasadowy. Szach przekonywał, że w tamtym momencie Irańczycy jeszcze nie dojrzeli do demokracji, ponieważ najpierw trzeba ich wyedukować i dopiero kiedy będą dojrzałymi obywatelami, zrozumieją, na czym polega demokracja. Stabilności systemu szacha strzegł niesławny SAWAK, policja polityczna, która bardzo brutalnie rozprawiała się z jego wrogami politycznymi.

Funkcjonariusze SAWAK byli szkoleni przez Amerykanów?

Tak, amerykańscy doradcy dbali o to, by SAWAK był skuteczny. Tylko że ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach.

Do obalenia szacha dążyła przedziwna „koalicja" – z jednej strony byli to prozachodni liberałowie, a z drugiej strony fundamentaliści islamscy.

Zgadza się. Obalenie szacha – mimo wszystko postępowego przywódcy – było możliwe w dużym stopniu dzięki sojuszowi islamistów i lewicy. Podobny mechanizm widzimy dziś choćby we Francji. Tamtejsi politycy lewicy powinni pamiętać lekcję z Iranu – w momencie przejęcia władzy przez islamistów lewicowcy są usuwani, bo sojusz z lewicą jest dla nich tylko narzędziem.

Paradoksalnie dużą rolę w obaleniu Mohammada Rezy Pahlawiego odegrali ludzie, których los poprawił się właśnie dzięki jego „białej rewolucji". Byli wśród nich studenci, którzy mogli wyjechać z Iranu na zachodnie uniwersytety dzięki szachowi. Ciekawym przypadkiem są liberalne kobiety, które protestowały przeciw rządom szacha, zakrywając włosy. A potem władzę przejął ajatollah Chomejni i kazał wszystkim kobietom zakrywać włosy...

Chomejni bardzo dobrze maskował swoje prawdziwe cele. Udało mu się przekonać liberalnie nastawionych ludzi, zarówno w Iranie jak i na Zachodzie, że jego celem jest zbudowanie prawdziwie demokratycznego państwa...

To był bardzo sprawny polityk. Kiedy jeszcze podczas pobytu we Francji dziennikarze pytali go, jak będą wyglądały w Iranie prawa kobiet, odpowiadał, że Iranki same będą wybierały swoją drogę życiową. Co ciekawe, pod koniec lat 70. Chomejni generalnie nie był traktowany jako polityk, tylko intelektualista. Amerykański wywiad stwierdził wtedy, że ten duchowny jest tak naprawdę niegroźnym staruszkiem.

Jak szybko okazało się, kim jest naprawdę?

Bardzo szybko. W ciągu kilku miesięcy po obaleniu szacha pojawił się rząd tymczasowy, z którego jednak szybko usunięto umiarkowanych polityków. Jak już wspomniałem, atak Iraku bardzo pomógł islamskim radykałom w Iranie, „przykrywając" proces przejmowania przez nich państwa. Nowa władza mogła w tym chaosie zlikwidować wielu swoich przeciwników. Iran w latach 80. był bardzo niebezpiecznym miejscem. Zaprowadzono terror, trybunały rewolucyjne zapełniały skazańcami dawne więzienia szacha, w których zmieniali się tylko naczelnicy, dokonywano też masowych rozstrzeliwań.

Irańczycy do dziś pamiętają ten straszny czas. Część zdaje sobie sprawę z ryzyka – nawet jeżeli udałoby się obalić republikę islamską, to wcale nie musi być lepiej. Znów może zapanować chaos i może być dużo gorzej niż teraz.

Tym bardziej że Irańczycy widzieli, co się działo w Iraku po amerykańskiej interwencji.

Dokładnie. Boją się też powtórki z Syrii, czyli bardzo krwawej wojny domowej. Nie sposób też powiedzieć, że rząd w Teheranie nie ma

eprasa.pl 5ab27a795f

poparcia. Nie mamy tu miarodajnych badań, ale na pewno milionom ludzi ta władza po prostu odpowiada.

Jeżeli Iran ma ponad 90 mln mieszkańców, to chyba śmiało możemy założyć, że reżim ajatollahów ma dziesiątki milionów zwolenników.

Zapewne tak. Są jeszcze ci, którzy chcą pewnych zmian w funkcjonowaniu reżimu, ale nie popierają zmiany systemu, co można porównać do hasła: „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie".

Na przełomie lat 80. i 90. w Iranie pojawiła się nadzieja – z punktu widzenia Zachodu – na zmianę. Najpierw prezydentem został Ali Akbar Haszemi Rafsandżani, a następnie na ten urząd wybrano Mohammada Chatamiego. Jakim cudem w islamistycznym reżimie wybory prezydenckie mogli wygrać umiarkowani kandydaci?

Iran nie jest Koreą Północną, gdzie jedynowładca decyduje o wszystkim. W Iranie władza jest w dużym stopniu rozproszona i istnieją tam różne frakcje. Po zakończeniu wyniszczającej wojny z Irakiem pojawiła się potrzeba wejścia na bardziej pragmatyczną drogę. Do tego doszła jeszcze śmierć Chomejniego, która zamykała pewną epokę. Ale z drugiej strony ten proces nie był tak jednoznaczny, bo pamiętajmy, że w tamtym okresie dochodziło też do ataków na cele izraelskie i do zabijania irańskich dysydentów żyjących za granicą.

Na fali tej „odwilży" Iran potępił ataki na WTC...

Ale chwilę później prezydent George W. Bush zapisał Iran do tzw. osi zła. I Teheran wrócił wtedy na „jastrzębią" drogę.

Amerykanie niepotrzebnie zaostrzyli wtedy relacje z Iranem?

Po 11 września 2001 r. Waszyngton wszędzie szukał terrorystów. Amerykańska administracja dała się ponieść neokonserwatywnej krucjacie. USA same wciągnęły Iran na listę głównych wrogów i w ten sposób Teheran poczuł się zagrożony. Tym bardziej że w tym samym roku Amerykanie pojawili się u granic Iranu – w Afganistanie.

Czyli wygrana w 2005 r. radykalnego Mahmuda Ahmadineżada była naturalną konsekwencją zaostrzenia kursu?

Tak. Iran zaczął się wtedy zachowywać bardzo prowokacyjnie, jeżeli chodzi o narrację, szczególnie pod adresem Izraela.

Wiele mówiło się ostatnio o fatwie wydanej przez następcę Chomejniego, która zabraniała posiadania przez Iran broni jądrowej. Niektórzy komentatorzy pokazywali to wręcz jako dowód dobrych intencji Teheranu. Czy takie podejście ma sens?

Mówimy o dokumencie Najwyższego Przywódcy, który interpretuje prawo islamskie. W Iranie jest to dokument zarówno religijny, jak i polityczny. Fatwa obowiązuje do momentu, aż... zostanie zmieniona. Można w niej widzieć narzędzie polityczne, które ma uśpić czujność świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor UŁ Robert Czulda
jest znawcą XX-wiecznej historii Iranu, wykładowcą Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, autorem książki „Iran 1925–2014. Od Pahlawich do Rouhaniego".

REKLAMA



eprasa.pl 5ab27a795f

Starożytność / Początki śmiertelnego wroga Rzymu



Pierre-Narcisse Guérin, „Eneasz i Dydona”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM LUWR

Chwała Kartaginy



Sławomir Koper

Badacze dziejów tego państwa stają przed podobnym problemem co historycy zajmujący się dziejami Etrusków. Najważniejsze i najszersze relacje pochodzą od wrogów Kartaginy, czyli Greków i Rzymian, którzy siłą rzeczy starali się obrzydzić swojego wielkiego rywala

Kartagina została założona przez Fenicjan z Tyru w ramach akcji kolonizacyjnej Morza Śródziemnego. Fenicjanie, podobnie jak nieco później Grecy, walcząc z przeludnieniem własnego terytorium, zakładali liczne kolonie na wybrzeżach, które miały charakter miejski i specjalizowały się w handlu z okoliczną ludnością. Podobnie jak w przypadku Hellenów kolonie fenickie stanowiły oddzielne organizacje państwowe, które jednak czasami zachowywały więzi z metropolią.

Fenicjanie słynęli z umiejętności handlowych i byli doskonałymi żeglarzami. Ich kolonie rozsiane były po zachodniej części basenu Morza Śródziemnego, ale semiccy żeglarze przekroczyli też Cieśninę Gibraltarską (Słupy Heraklesa). To właśnie Fenicjanie założyli dzisiejsze miasta Kadyks i Tanger.

Warto pamiętać, że cywilizacja zawdzięcza im trzy wyjątkowe wynalazki. Fenicjanie jako pierwsi zaczęli zakładać kolonie oddalone od rodzimych miast, co zostało następnie zaadoptowane przez Greków. Jako znakomici kupcy zaczęli używać monet, które wybijali jako pierwsi w dziejach. Ten wynalazek zastąpił wcześniejsze formy płatności oparte na wymianie czy kruszcach. I wreszcie jako pierwsi opracowali alfabet, przypisując brzmienie poszczególnych głosek literom. Alfabet fenicki liczył 22 znaki i stał się pierwowzorem alfabetu greckiego.

Dydona i Eneasz

Według tradycji Kartagina została założona w 814 r. p.n.e. przez kolonistów z Tyru. Powstała dzięki grupie uciekinierów z rodzinnego miasta, którym przewodziła Elissa zwana też Dydoną.

eprasa.pl 5ab27a795f

Była ona kapłanką boga Baala, ale musiała opuścić miasto, gdy jej brat, Pigmalion, władca Tyru, zamordował jej męża. Dydona zawładnęła bliżej nieokreślonym skarbem i z grupą przyjaciół oraz znajomych odpłynęła na zachód. Ostatecznie uciekinierzy trafili na ziemie dzisiejszej Tunezji, gdzie Dydona wynegocjowała z miejscowym plemieniem Berberów pozwolenie na budowę miasta na terenie ograniczonym rozmiarami... skóry wołu. Oczywiście był to podstęp, gdyż osadnicy pocięli skórę na wąskie paski i w ten sposób oznaczyli obszar swojej nowej ojczyzny.

Dydona została władczynią Kartaginy, ale nie miała szczęścia w życiu prywatnym, ponieważ niebawem do miasta przybyła grupa uciekinierów ze zniszczonej Troi pod przywództwem Eneasza, syna bogini Wenus i Anchizesa. Przystojny wygnaniec był wdowcem, szukał miejsca, gdzie mógłby wraz ze swoimi ludźmi rozpocząć nowe życie. Gdy jego okręty przybiły do brzegów, oczom przybyszów ukazał się niezwykły widok. Zobaczyli wznoszone od podstaw nowe, wielkie miasto. To mogła być ich nowa ojczyzna.

Wygnańcy z Tyru i Troi szybko przypadli sobie do gustu. Pozbawieni ojczyzny mogliby zlać się w jeden naród. Byłoby to tym łatwiejsze, gdyż wcześniej nigdy nie mieli ze sobą żadnych kontaktów i żadne urazy z przeszłości nie wchodziły w rachubę. Dodatkowym elementem mogącym ułatwić integrację obu ludów był fakt, że ich przywódcy byli stanu wolnego i mogli zawrzeć związek małżeński. Zresztą Dydona nie ukrywała, że Eneasz zrobił na niej duże wrażenie i chętnie by go widziała u swojego boku.

Pewnego dnia Eneasz i Dydona wybrali się wspólnie na łowy. W pewnej chwili przypadkiem (?) odłączyli się od reszty uczestników polowania. Niebawem rozpętała się burza, która zmusiła ich do znalezienia schronienia w pobliskiej jaskini. Tam, w świetle błyskawic, spełniła się miłość kochanków. Królowa była szczęśliwa. W czasie aktu miłosnego wydawało się jej, że błyskawice są płomieniami weselnych pochodni. Znów miała przy sobie mężczyznę, którego kochała i podziwiała. Czuła, że wypełni pustkę w sercu, która zapanowała po śmierci męża.

Inaczej jednak do sprawy podchodził Eneasz. Z jego strony było to działanie umysłem, a nie sercem. Sam nie angażował się uczuciowo, a raczej pozwalał się kochać i adorować. Jako rasowy mężczyzna bronił się przed miłością, starając się ukrywać odruchy serca nawet przed samym sobą. Królowa podobała mu się jako kobieta, pociągała go również jej osobowość. Był wdowcem, więc nic nie stało na przeszkodzie, by poślubić Dydonę, ale będąc dojrzałym mężczyzną, nie dał się ponieść uczuciu i wydarzenia w jaskini nie zakłóciły jego trzeźwego spojrzenia na świat. Zaspokoił pożądanie, przestał być kochankiem, a ponownie stał się przywódcą ludu bez ojczyzny. Może z czasem pokochałby Dydonę, ale z jego strony byłoby to uczucie bazujące na rozumie, a nie na emocjach.

Syn Wenus nie miał zresztą do tego specjalnej okazji. Niebawem bowiem otrzymał przesłanie od bogów: wybrzeże Afryki Północnej nie jest celem jego wędrówki. To założenie Rzymu, a nie Kartaginy miało być jego prawdziwym przeznaczeniem. Nie okazywał zresztą specjalnego żalu z powodu rozstania z kochanką, może tylko odrobina melancholii zakłóciła jego myśli. Jednak każde rozstanie zawiera w sobie coś ze smutku i w takich kategoriach należy potraktować zadumę Eneasza.



Moneta Abdashtarta I, króla Sydonu (lata 365–352 p.n.e.)

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, CNGCOINS.COM



Inaczej wyglądała sprawa z królową – Dydona nie mogła się pogodzić z myślą o utracie kolejnego mężczyzny, którego pokochała. Okręty Eneasza szykowały się do odpłynięcia, jego drużyna ładowała swój dobytek. Dydona obserwowała to z kamiennym spokojem, chociaż postanowiła, że nie przeżyje następnej nocy. Kiedy Trojańczycy wypłynęli w morze, królowa popełniła samobójstwo, przeklinając przed śmiercią niewiernego kochanka. Eneasz z pełnego morza obserwował słup dymu, jaki wzniósł się nad stosem pogrzebowym partnerki. Nie przypuszczał, że w ten sposób dał początek odwiecznej nienawiści Rzymu i Kartaginy.

Narodziny potęgi

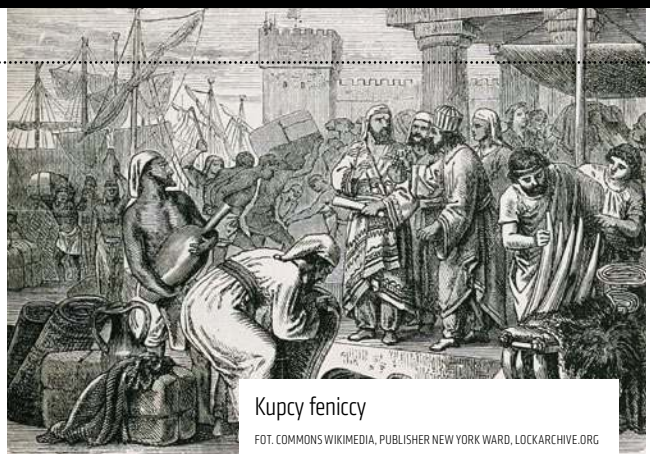
Tak naprawdę niewiele wiemy o pierwszych dwóch wiekach historii Kartaginy. To państwo dopiero w VII w. p.n.e. wkroczyło na widownię dziejów, co było związane z podbojem Fenicji przez Asyrię. Punijczycy (tak nazywali Kartagińczyków Rzymianie) podporządkowali sobie kolonie fenickie w zachodniej części Morza Śródziemnego i skolonizowali wybrzeża Sardynii i Sycylii. Spotkało się to ze zbrojną reakcją miast greckich, ale w 550 r. p.n.e. zachodnia część Sycylii została podbita przez Kartagińczyków.

Niebawem Grecy musieli ewakuować także Korsykę po klęsce w bitwie morskiej pod Alalią, zadanej im przez połączone floty kartagińską i etruską (ok. 540 r. p.n.e.). W 509 r. p.n.e. Kartagina zawarła sojusz z rosnącym w siłę Rzymem i oba państwa określiły swoje strefy wpływów.

Największymi rywalami afrykańskiego imperium byli wtedy Grecy z Sycylii. W 480 r. p.n.e. doszło do próby podboju najważniejszych miast helleńskich na wyspie, ale ekspedycja kartagińska poniosła klęskę w bitwie pod Himerą, którą zadał jej tyran Syrakuz, Gelon. Według legendy miało się to stać tego samego dnia, co triumf Ateńczyków nad Persami pod Salaminą.

Kolejna wojna wybuchła w 409 r. p.n.e., kiedy Kartagińczycy interweniowali w rozgrywki wewnętrzne w Segeście. Początkowo odnosili sukcesy, ale w kolejnych latach Dionizjos I, kolejny tyran Syrakuz, zatrzymał ich ofensywę. Władca grecki stoczył trzy wojny z Punijczykami i ostatecznie granica pomiędzy ich posiadłościami ustaliła się na rzece Halykos. Wschodnia część wyspy została podporządkowana Dionizjosowi, który niebawem rozpoczął ekspansję w tzw. Wielkiej Grecji (południowa część Półwyspu Apenińskiego).

eprasa.pl 5ab27a795f



Kupcy feniccy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PUBLISHER NEW YORK WARD, LOCKARCHIVE.ORG

Kolejne starcie grecko-punickie miało miejsce za czasów panowania w Syrakuzach tyrana Agatoklesa. W 312 r. p.n.e. ten władca zaatakował fenickie kolonie, ale rok później Kartagińczycy rozpoczęli oblężenie Syrakuz. Sytuacja stała się groźna, gdyż flota punicka zablokowała miasto od strony morza. Po kilku miesiącach Agatokles zdecydował się na próbę przełamania blokady i przeniesienia wojny na terytorium kartagińskie. Jego oddziały zasiliła miejscowa ludność i dzięki temu tyran rozbił siły kartagińskie, zajmując Utykę. Na szturm samej Kartaginy nie mógł sobie jednak pozwolić, chociaż jego armia została wzmocniona przez najemników z sąsiedniej Cyrenajki.

Dowodzący armią kartagińską Hamilkar zmuszony został do odesłania części armii do obrony własnego terytorium, ale Punijczycy dalej oblegali Syrakuzy. Z odsieczą dla miasta powrócił Agatokles, pozostawiając część sił w Afryce. Ostatecznie grecki wódz rozbił siły Hamilkara, ale przeniesienie ciężaru wojny na terytorium afrykańskie nie przyniosło sukcesu. Po siedmiu latach walk zawarto wreszcie pokój, przywracając stan posiadania sprzed konfliktu.

Kolejnym wrogiem Punijczyków stał się król Epiru, Pyrrus, który usiłował podbić Sycylię i Wielką Grecję. W trakcie walki z nim doszło do przymierza wojskowego Kartaginy z Rzymem, co ostatecznie zadecydowało o losach wojny. Pyrrus swoją polityką potrafił pogodzić państwa o tak sprzecznych interesach jak wzrastająca w siłę republika znad Tybru i imperium kartagińskie. Dlatego niebawem po pokonaniu Pyrrusa miało dojść do pierwszej wojny punickiej.

Cywilizacja kartagińska

Kartagińczycy byli znakomitymi żeglarzami i eksplorowali bardzo odległe terytoria. W V w. p.n.e. arystokrata imieniem Hannon wyruszył na czele potężnej floty za Cieśninę Gibraltarską (więcej piszemy o tym w tekście Jakuba Ostromęckiego na str. 38). Prawdopodobnie jego wyprawa miała charakter osadniczy i wraz z okrętami wojennymi płynęły także statki transportowe. Opis tej misji umieszczono w Kartaginie na tablicy z brązu, natomiast do naszych czasów zachował się tylko jej grecki przekład. Badacze do dzisiaj się spierają, gdzie tak właściwie dotarł Hannon. Rozbieżności są duże – niektórzy uważają, że flotylla Hannona dotarła aż do dzisiejszego Gabonu lub Kamerunu, ale nie brakuje też głosów wskazujących na Gwineę lub Sierra Leone. Bez wątpienia powrócił do rodzinnego kraju z bogatymi łupami, z których najważniejsza była kość słoniowa. Niektórzy twierdzą, że Punijczycy dotarli nawet do Ameryki, ale podobne sugestie można raczej włożyć pomiędzy bajki. Natomiast wyczyn Hannona był jedną z najbardziej śmiałych ekspedycji podjętych w czasach antycznych. I to bez względu na to, jak jej dowódca koloryzował swoją opowieść.

Jak wyglądał ustrój państwa, które było w stanie wystawić tak dużą flotę? Trudno jednoznacznie określić jego ewolucję. Początkowo rządzić tam mieli królowie, a potem zapanował model oligarchiczny. Na czele państwa stał kolegialny urząd nazywany Senatem lub Radą Starszych. Następnie pojawili się sufeci, czyli sędziowie. Wybierano dwóch sufetów, początkowo dożywotnio, a następnie na okres jednego roku. Trudno określić, czy mogli ubiegać się o ponowny wybór. Sufeci posiadali nie tylko władzę wykonawczą, lecz także sądowniczą i prawodawczą.

W okresie rozkwitu cywilizacji kartagińskiej nieco niżej od sufetów w hierarchii władzy stała instytucja ustawodawcza, którą można było przyrównać do rzymskiego Senatu. Nie była ona jednak jednorodna, ponieważ dzieliła się na dwa organy, spośród których mniej liczny posiadał większe uprawnienia (można to porównać do gabinetu rządowego). Natomiast o uprawnieniach pozostałej części zgromadzenia nie wiemy nic pewnego. Być może pełniła ona funkcje prawodawcze, podczas gdy gabinet spełniał rolę wykonawczą. Ten dość zawiły podział wynikał z chęci zabezpieczenia państwa przed próbami przejęcia władzy przez ambitne jednostki.

Istniało też Zgromadzenie Ludowe, ale nie wiadomo, jakie były jego uprawnienia. Prawdopodobnie opiniowało decyzje Senatu, ale trudno określić, czy jego zdanie było wiążące.

Sufeci przewodzili Zgromadzaniu Ludowemu oraz Senatowi, ale nie dowodzili armią. Ten aspekt istotnie odróżniał ich od rzymskich konsulów. Wojskami, złożonymi głównie z najemników, zarządzali zawodowi wojskowi wywodzący się z miejscowych rodów oligarchicznych. Prawdopodobnie zbliżony ustrój panował w innych fenickich koloniach w zachodniej części Morza Śródziemnego.

W dziejach Kartaginy pojawiło się kilka rodów, które decydowały o losach państwa. Nic natomiast nie wiadomo o podziale stanowym, jaki panował w tej republice. U Punijczyków można było znaleźć odpowiednik senatorów, ale trudno wskazać grupę zbliżoną do rzymskich ekwitów. Nie wspominając już o podziale na patrycjat i plebejuszy. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że w afrykańskim imperium rządził pieniądz, jak przystało na państwo założone i rządzone przez kupców. Poszczególne rodziny posiadały wpływy dopóty, dopóki dysonowały odpowiednimi finansami.

Ciekawostką natomiast pozostaje fakt, że w Kartaginie nie wykształcił się stan kapłański. Tamtejsze bóstwa miały fenickie pochodzenie, czasami nawet składano ofiary z ludzi (Rzymianom też się to zdarzało), ale był to bodaj jedyny organizm państwowy, gdzie nie było zawodowych kapłanów; ofiary składali osobiście urzędnicy i dowódcy wojskowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Church A.J., ***„Historia Kartaginy”;*** *Hammond N.G.L.*, ***„Dzieje Grecji”;*** *Kęciek K.*, ***„Dzieje Kartagińczyków. Historia nie zawsze ortodoksyjna”.***

eprasa.pl 5ab27a795f

SUMUS
WYDAWNICTWO





Książki Andrzeja Solaka

www.sumuswydawnictwo.pl



Wywiad / Z Andrzejem Krajewskim, historykiem, autorem książki „Ropa. Krew cywilizacji”

rozmawia Piotr Włoczyk

Naftowy kataklizm

FOT. ADOBE STOCK

– Po 1973 r. państwa arabskie bardzo szybko się nauczyły, że kontrolując zasoby naftowe, mają w swoich rękach olbrzymią władzę – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Jak wyglądał świat, w którym baryłka ropy kosztowała niecałe 3 dol.?

ANDRZEJ KRAJEWSKI: Dziś wydaje się to nierealne, ale faktycznie były takie czasy. Paliwo było tańsze niż woda mineralna. Przede wszystkim ludzie na Zachodzie nie żyli oszczędnie. Silniki samochodów spalały dwa–trzy razy więcej paliwa niż dziś i nie było to nic nadzwyczajnego. Samochody były przy tym dużo większe i cięższe. Życie kierowców i miłośników motoryzacji było wtedy beztroskie.

Kiedy Zachód poczuł, że ma naftowy „nóż” na gardle?

Wraz z wybuchem wojny Jom Kippur, czyli po ataku Syrii i Egiptu, wspieranych przez inne państwa arabskie, na Izrael. Ta antyizraelska koalicja dobrze przygotowała się do uderzenia na swojego głównego wroga. Izrael był kompletnie zaskoczony i znalazł się wtedy na krawędzi zagłady. Udało mu się przetrwać jedynie dzięki pomocy Stanów Zjednoczonych, które wysyłały swojemu sojusznikowi duże dostawy broni i udzieliły mu wsparcia logistycznego.

Dla świata arabskiego był to moment przełomowy, ponieważ powszechne było wówczas wśród tych państw przekonanie, że tym razem uda się w końcu zniszczyć znienawidzone państwo żydowskie. Ale gdy interwencja amerykańska udaremniła ten plan, Arabowie postanowili się zbuntować.

Do tego momentu państwa arabskie nie czuły swojej siły, choć przecież dysponowały głównymi światowymi złożami ropy naftowej. Wrogość wobec Izraela sprawiła, że te kraje postanowiły zareagować bardzo gwałtownie na odrzucenie przez Amerykanów żądania odcięcia wsparcia dla rządu Goldy Meir; ogłosiły wprowadzenie embarga na dostawy ropy naftowej do USA i wszystkich innych państw wspierających Izrael. Spowodowało to ogromne tąpnięcie na rynku ropy naftowej. Odczuły to natychmiast nawet państwa, które trzymały się z dala od konfliktu na Bliskim Wschodzie, ponieważ cena ropy urosła gwałtownie z poziomu ok. 3 dol. do 20–30 dol. Gdy cokolwiek z dnia na dzień drożeje dziesięciokrotnie, jest to szokiem dla konsumenta. A cóż dopiero powiedzieć, gdy chodzi o kluczowe paliwo, tak samo niezbędne posiadaczom samochodów, jak całej gospodarce?

Ale to nie był koniec problemów mocarstw zachodnich.

Gdy kraje arabskie zobaczyły swoją siłę i przekonały się, że mogą wpływać na politykę światową, poszły o krok dalej. Do tej pory wszystkie złoża znajdujące się na ich terytoriach były kontrolowane przez firmy zachodnie. Oczywiście koncerny płaciły krajom arabskim za możliwość eksploatacji tych zasobów, ale były to stosunkowo niewielkie pieniądze. Jednak to się właśnie zmieniało – złoża były nacjonalizowane.

Państwa OPEC złapały wtedy USA na wykroku. Waszyngtonem wstrząsała właśnie afera Watergate, przez co Nixon był zagrożony impeachmentem. W związku z tym USA nie miały wtedy tak właściwie prezydenta, a całą polityką zagraniczną zarządzał Henry Kissinger. Amerykanom pozostały wówczas dwa wyjścia: albo iść na wojnę ze światem

eprasa.pl 5ab27a795f



Król Fajsal ibn Abd al-Aziz Al Su'ud (na pierwszym planie) podczas otwarcia College of Petroleum and Minerals, 1974 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

arabskim, by odbić złoża ropy naftowej, albo spróbować jakoś się z Arabami ułożyć. A pamiętajmy, że dosłownie przed chwilą Ameryka nie zdołała wygrać wojny w Wietnamie i musiała się stamtąd wycofać. Zatem Kissinger wybrał szukanie kompromisu i próbę odbudowy przyjaznych relacji ze światem arabskim na zasadzie: robimy wspólne interesy, które przynoszą zyski obu stronom.

Szczególnie Saudowie zyskali wtedy na sile.

Korzystając z okazji, państwa arabskie stworzyły własne koncerny naftowe i zaczęły czerpać z ich działalności olbrzymie zyski. I to wtedy Aramco stało się fundamentem bogactwa Arabii Saudyjskiej.

Państwa OPEC – nie tylko zresztą arabskie – zorientowały się w tym czasie, że nie opłaca się im utrzymywać wydobycia ropy naftowej na zbyt wysokim poziomie. Kontrolowanie produkcji i dbanie o to, by paliwa nie było zbyt wiele na rynku, sprawiały, że zarabiałyby więcej, a jednocześnie złoża nie wyczerpałyby się szybko. A dla tych państw ropa naftowa to główne źródło dochodów, więc w przypadku wyczerpania złóż groził im powrót do nędzy z początków XX w. Przypomnę tylko, że w tamtym okresie, po raporcie Klubu Rzymskiego, powszechnie wierzono, że najważniejsze światowe złoża ropy naftowej wyczerpią się niedługo po roku 1990.

Ile było w tamtym kryzysie zwykłych ludzkich emocji? Gdy okazało się, że Izrael obronił się i przechodzi do ofensywy, przedstawiciele państw arabskich przylecieli do Waszyngtonu i bardzo chcieli się spotkać z prezydentem USA, ale przybity aferą Watergate Nixon nie chciał ich widzieć...

Pyta pan, czy gdyby Nixon okazał im wtedy szacunek i porozmawiał z nimi, to czy udałoby się załagodzić napięcia i nie doszłoby do pierwszego kryzysu naftowego? Przedstawicielom państw arabskich zależało przede wszystkim na tym, żeby USA przestały wspierać Izrael, na co Waszyngton absolutnie nie chciał się zgodzić. Arabowie najpierw chcieli zniszczyć państwo żydowskie, ale skoro ten plan nie miał szans na realizację, to przynajmniej nie chcieli dopuścić do jego nadmiernego wzmocnienia.

Na pewno jednak wyjątkowo pogardliwa reakcja Amerykanów „zdopingowała" władze krajów arabskich do radykalnej odpowiedzi. Trzeba pamiętać, że w tamtym świecie honor był czymś bardzo istotnym.

Jak opisuje pan w swojej książce, wściekły saudyjski król Fajsal, po afroncie ze strony Amerykanów, stwierdził, że trzeba nie tylko objąć USA embargiem, lecz także ograniczyć wydobycie o 10 proc. Jednak następnego dnia zmienił zdanie i postanowił zmniejszyć je o 20 proc.

W tym wszystkim było trochę emocji, ale ta konfrontacja trwała tylko kilka miesięcy i w końcu obie strony wróciły do współpracy. Kraje arabskie mogły oczywiście szantażować świat, ale jednak musiały sprzedawać surowiec. Początek 1974 r. to już czas negocjowania, znoszenia embarga. Wszystko powoli wracało do normy. Po czym kraje arabskie odkryły, że nowe, olbrzymie dochody muszą gdzieś inwestować. Ponieważ bankowość była na Bliskim Wschodzie mało rozwinięta, a dodatkowo fizycznie nie było jak zainwestować na pustyni tak gigantycznych pieniędzy, państwa arabskie zaczęły je lokować na Zachodzie, głównie w USA. Nagle Amerykanie stwierdzili, że przejęcie przez Arabów kontroli nad ich ropą naftową nie jest tak do końca złe, bo te pieniądze w ogromnej mierze wracają do USA, napędzając gospodarkę, szczególnie branżę dóbr luksusowych. A poza tym wszystkie transakcje na rynku naftowym przeprowadzano w dolarach. To umacniało jego rolę jako światowej waluty, dając amerykańskiemu Bankowi Rezerw Federalnych gigantyczne możliwości.

W momencie wybuchu kryzysu naftowego OPEC działała już 13 lat. Dlaczego przez cały ten czas ta potężna dziś organizacja była niemal niezauważalna?

Ponieważ OPEC nie miała odwagi. Producenci ropy naftowej zorganizowali się, ale nie wykazywali determinacji do narzucania swoich warunkach. Decydowanie o zmniejszaniu wydobyciu wymaga przecież kontrolowania złóż i koncernów, które produkują surowiec. Tymczasem aż do 1973 r. państwa OPEC nie posiadały takiej kontroli.

Poza tym pamiętajmy, że te państwa miały krótką historię. Arabia Saudyjska istniała dopiero pół wieku, inne kraje arabskie były w podobnej sytuacji.



Stacja benzynowa w stanie Oregon, nieczynna z braku dostaw paliwa, 1973 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINSTRATION, DAVID FALCONER

eprasa.pl 5ab27a795f

Tamtejsze społeczeństwa tak właściwie dopiero co wyszły ze średniowiecza, wkraczając w nowoczesność. Te państwa czuły się jeszcze niepewnie, ale po 1973 r. bardzo szybko się nauczyły, że kontrolując zasoby naftowe, mają w swoich rękach olbrzymią władzę.



Karykatura przedstawiająca Henry'ego Kissingera podczas kryzysu naftowego

FOT. HTI.SOU.EDU, WASHINGTON STAR

Jak świat reagował na kryzys?

Bardzo różnie. Europejczycy byli pod względem psychicznym lepiej przygotowani do nowych realiów niż Amerykanie. Żyło jeszcze przecież pokolenie pamiętające drugą wojnę światową i racjonowanie paliw.

Rządy miały przeróżne pomysły, np. pojawił się zakaz jazdy autem w niedzielę...

... albo też ograniczano prędkość na autostradach. W USA kryzys wywołał prawdziwy szok. Amerykanie nie zaznali w czasie wojen takich niedogodności jak Europejczycy. Paliwo było tam zawsze bardzo tanie i auta spalające 20–30 litrów na 100 km nie były problemem.

Wraz z kryzysem naftowym doszło do istnej rewolucji na amerykańskim rynku motoryzacyjnym. W końcu Japończykom udało się wedrzeć do USA ze swoimi małymi autami z oszczędnymi silnikami.

I to było pierwsze tąpnięcie w amerykańskim sektorze motoryzacyjnym.

Popyt na kolosy na kołach „made in USA" dramatycznie spadł i tamtejsza branża motoryzacyjna musiała się przystosować, tworząc bardziej ekonomiczne modele. Jednak już nigdy amerykański przemysł samochodowy nie odzyskał swojej przedkryzysowej potęgi.

Państwa musiały szukać innych źródeł energii. Świetnie wyszło to Francuzom, którzy akcentowali chęć zachowania dystansu zarówno wobec Waszyngtonu, jak i Moskwy. Francja postawiła na budowę elektrowni jądrowych. W ramach tzw. planu Messmera (ówczesnego premiera Francji) zbudowano 56 reaktorów jądrowych. To, co wtedy stworzono we francuskiej energetyce w ciągu dekady, działa do dziś i jest jednym z największych atutów Paryża. Nigdzie indziej na świecie nie zrealizowanego tak ambitnego planu – we Francji 80 proc. energii elektrycznej pochodzi z atomu i najpewniej te siłownie jądrowe będą działały jeszcze co najmniej 50 lat.

Dlaczego Stany Zjednoczone nie postawiły wtedy równie mocno na energetykę jądrową?

Amerykanie budowali nowe reaktory, ale w pewnym momencie uznali, że jest to jednak bardzo problematyczne. Pierwsza generacja reaktorów jądrowych generowała bardzo dużo odpadów radioaktywnych, a poza tym Amerykanie dysponowali tanim węglem i mieli własne złoża gazu. Gdy w 1979 r. doszło do awarii w elektrowni jądrowej Three Mile Island, rząd amerykański – wobec paniki w społeczeństwie – stwierdził, że kontynuowanie takich inwestycji nie ma sensu. W takich okolicznościach właściwie zakończył się amerykański program budowy elektrowni jądrowych. Przez kolejne pół wieku oddano do użytku dosłownie pojedyncze reaktory.

Dlaczego właściwie w Amerykę tak bardzo uderzył kryzys naftowy, skoro kojarzymy ten kraj z ogromnym boomem naftowym ery Rockefellera, a dziś Ameryka „stoi" przecież łupkami roponośnymi?

Amerykanie na początku lat 70. XX w. osiągnęli tzw. peak oil, czyli moment, gdy wydobycie spada, ponieważ wyczerpują się złoża. USA były na początku XX w. pierwszym krajem, gdzie wielkie pola naftowe były eksploatowane na masową skalę. Nigdzie indziej na świecie nie wyczerpano tak maksymalnie, wręcz do „ostatniej kropli", złóż ropy naftowej. Wraz z wybuchem kryzysu naftowego Amerykanie nie byli więc w stanie zwiększyć swojego wydobycia, choć zapotrzebowanie na ten surowiec cały czas wzrastało. Po wyjściu z szoku USA weszły bardzo mocno na Bliski Wschód, dogadały się z Saudami i otworzyły tam swoje bazy wojskowe. Saudowie stali się, obok Izraela, głównym bliskowschodnim sojusznikiem Ameryki. Powodem tego stała się też rewolucja w Iranie w 1979 r. – obalenie szacha i przejęcie władzy przez wściekle antyamerykańskiego przywódcę religijnego Ruhollaha Chomejniego.

USA bardzo interesowały się bliskowschodnią ropą aż do początków XXI w., kiedy w Ameryce rozpoczęła się „rewolucja" łupkowa. Nowe technologie pozwoliły pozyskiwać ten surowiec z łupków bitumicznych, położonych dużo głębiej niż konwencjonalne złoża. W latach 70. wiedziano o łupkach, ale nie istniały jeszcze technologie umożliwiające wydobywanie z nich ropy. Dopiero od końca pierwszej dekady XXI w. widzimy w USA wzrost wydobycia ropy naftowej i gazu. Okazało się, że złoża łupkowe są tak bogate, iż Ameryka stała największym światowym producentem „czarnego złota".

Tylko że cena ropy naftowej musi utrzymywać się na odpowiednio wysokim poziomie, by wydobywanie surowca z takich złóż było opłacalne. Przy cenach sprzed 1973 r. szczelinowanie nie miałoby żadnego sensu.

Arabia Saudyjska jest tu największym szczęściarzem. Jej złoża są tak łatwe w eksploatacji, że już przy cenie na poziomie 5 dol. za baryłkę pojawia się zysk. Tymczasem stosowanie technologii szczelinowania opłaca się dopiero od ok. 40–50 dol.

eprasa.pl 5ab27a795f



ANDRZEJ KRAJEWSKI
„ROPA. KREW CYWILIZACJI"
MANDO

Pierwszy kryzys naftowy został zażegnany w ciągu kilku miesięcy, ale szybko pojawiło się zjawisko, które po raz pierwszy wystąpiło na świecie na dużą skalę: stagflacja.

Czyli coś, czego być może jeszcze doświadczymy, jeżeli kryzys związany z obecną wojną w Iranie będzie się przedłużał... Do 1973 r. ekonomiści wiedzieli, że w obliczu załamania gospodarczego inflacja siłą rzeczy nie może być wysoka – wraz ze spadkiem dochodów ludzie konsumują mniej, więc ceny nie rosną. Tymczasem kryzys naftowy zakwestionował te założenia: inflacja była bardzo wysoka – dochodziła do poziomu 20 proc. – a towarzyszyły jej recesja i wysokie bezrobocie. Wszystko z powodu drastycznego skoku cen paliw. Przez kilka lat nie było pomysłu, jak wyjść ze stagflacji.

Co się okazało receptą na ten problem?

Neoliberalne reformy Margaret Thatcher i Ronalda Reagana, czyli maksymalne uproszczenie działalności gospodarczej, prywatyzowanie wszystkiego, co się dało, i zdanie się na wolny rynek w połączeniu z rygorystyczną polityką budżetową i fiskalną.

Pokonanie stagflacji zapoczątkowało wielką karierę neoliberalizmu i globalizacji. To wtedy stworzono podstawy globalnych powiązań. Do pewnego momentu ten model dobrze działał, aż pojawiły się inne problemy strukturalne i znów trzeba było szukać nowych rozwiązań.

Przy czym nie tylko świat zachodni został ciężko dotknięty przez zaburzenia spowodowane przez pierwszy kryzys, m.in. Polska gierkowska dostała ekonomicznym „rykoszetem". Jak wyglądał ten mechanizm? Kraje uboższe brały kredyty dolarowe przed kryzysem naftowym. Były one bardzo nisko oprocentowane, ale po kryzysie stopa procentowa skoczyła z 3–4 proc. do 20 proc. Oznaczało to falę bankructw biedniejszych państw. Długi, które zaciągnął Gierek, nagle urosły z poziomu 5–6 mld dol. do 20 mld i PRL nie był w stanie spłacać odsetek. W tym samym czasie podobnych problemów doświadczyły m.in. Meksyk czy Brazylia.

W 1979 r. świat zachodni dostał kolejny cios wyprowadzony z Zatoki Perskiej.

Wraz z rewolucją w Iranie doszło do drugiego kryzysu naftowego. Wcześniej kraj szacha dostarczał na rynek porównywalne ilości „czarnego złota" co Arabia Saudyjska, ale nagle ten surowiec przestał docierać na Zachód.



Kolejka do stacji benzynowej w stanie Maryland, 1979 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Gdy USA straciły dostęp do irańskiej ropy, Jimmy Carter zachęcał obywateli do obniżania zimą temperatury w domu i założył na dachu Białego Domu panele fotowoltaiczne.

A potem Ronald Reagan je zdjął, stwierdzając, że są niewydajne. Reagan postanowił tak kontrolować Bliski Wschód, żeby ten region był funkcjonalny – żeby nikt nie blokował cieśniny Ormuz. I to wystarczyło, by USA wróciły na ścieżkę wzrostu gospodarczego.

Co ciekawe, szybko okazało się, że kryzys z 1979 r. był tak naprawdę efektem paniki, a nie realnego braku ropy.

Ludzka psychika ma ogromne znaczenie dla działania rynku. Po kryzysie zrobiono analizy, z których wynikało, że na rynku było wystarczająco dużo surowca i wzrost cen nie był tak naprawdę uzasadniony. Ale państwa i firmy skupowały ropę naftową, by ją magazynować na przyszłość, co podbijało cenę baryłki. I to samo dzieje się przy okazji obecnego kryzysu – firmy handlujące paliwem i rządy robią zapasy, co potęguje wzrost cen. Przy czym surowiec przechowywany jest nie tylko w naziemnych magazynach, lecz także na pokładach tankowców, od których dosłownie roi się na morzach i oceanach. Jednak trudno dziwić się takiemu zachowaniu. Gdy strach rośnie, wówczas każdy kraj stara się zadbać przede wszystkim o własne bezpieczeństwo energetyczne. I to za wszelką cenę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Krajewski jest historykiem i publicystą specjalizującym się w sprawach gospodarczych, autorem książki „Ropa. Krew cywilizacji", opisującej dzieje wykorzystywania tego surowca przez ludzkość.

eprasa.pl 5ab27a795f



Jakub Ostromęcki

Morzem i lądem / Zapomniane odkrycia

Rzymscy legioniści w Chinach

To w starożytności narodził się handel światowy oplatający swoimi nićmi tereny od rzymskiej Brytanii do Chin. Było to możliwe dzięki śmiałkom, o których dziś już mało kto pamięta

Morze Śródziemne w pierwszym tysiącleciu p.n.e. było już doskonale znane Grekom i Fenicjanom, a do czasów narodzin Chrystusa stało się właściwie wewnętrznym rzymskim jeziorem. Gdy mówimy więc o „wielkich odkryciach starożytności", to przede mamy na myśli rejsy Greków i Fenicjan daleko wykraczające poza to morze. Z naszej perspektywy na miano „wielkich" odkryć zasługują zatem penetracja północnego Atlantyku, próby opłynięcia Afryki czy odnalezienie drogi z Egiptu do Indii i Chin.

Wyprawy Greków i Fenicjan na Atlantyk i Ocean Indyjski poza jednym przypadkiem nie służyły wielkiej akcji osadniczej. Nie towarzyszyła im też frustracja zdeklasowanych wojowniczych elit, która pchała w XV w. Portugalczyków i Hiszpanów na dalekie morza. W starożytności nie żeglowano ku nieznanym ziemiom, aby ochrzcić tubylców. Motywy eksploracji oceanów były przeważnie handlowe. Do zimnej Brytanii kupcy pływali zatem po cynę, a do wybrzeży Afryki po złoto. Dla Rzymu z kolei arcyważny stał się katalog towarów, który słynny archeolog Mortimer Wheeler określił wielką piątką: bursztyn, kość słoniową, kadzidło, pieprz i jedwab. To przeważnie z tych surowców korzystały elity.

Najsłynniejszym, na poły legendarnym wyczynem antycznych żeglarzy było oczywiście opłynięcie Afryki przez Fenicjan na zalecenie faraona Necho II, co miało miejsce na przełomie wieków VII i VI p.n.e. Motywem tej wyprawy, obok handlu, była geopolityka. Egipt utracił bowiem wpływy na Bliskim Wschodzie i zaczął szukać złota, kadzidła i cynamonu gdzie indziej, wykorzystując znane od dawna kontakty z Puntem, czyli krainą leżącą gdzieś w dzisiejszej Erytrei lub Somalii.

Z punktu widzenia ówczesnej wiedzy geograficznej nie musiała być to wyprawa karkołomna. Uważano wtedy, że Afryka jest dużo mniejsza niż w rzeczywistości i tuż za wspomnianym Puntem jej wybrzeże skręca mocno na zachód. Najmocniej za realnością tej wyprawy przemawia to, co Herodot uznał za nieprawdopodobne – opływając Afrykę ze wschodu na zachód, Fenicjanie mieli słońce po prawej ręce. Podejrzane jest jednak to, że wyczyn ten przeszedł w ówczesnym świecie niemal bez echa, a kształt Afryki na mapach niemal się nie zmienił. Według Raimunda Schulza, autora monografii poświęconej antycznym odkrywcom i geografom, fenicka ekspedycja nie opłynęła Afryki, lecz wylądowała gdzieś na jej wschodnim wybrzeżu, po czym penetrowała kontynent pieszo, a wypłyniecie z powrotem na Morze Śródziemne od strony Atlantyku miało być nadinterpretacją tłumaczy lub nawiązywać do późniejszych wypraw Kartagińczyków.

Niemy handel

Skały Gibraltaru stanowiły przez setki lat wrota, poza które wyprawiali się tylko najodważniejsi żeglarze. Grecy zwali je słupami Heraklesa, a Kartagińczycy Słupami Melkarta. Żeglarzem, który zapuścił się za nie najdalej na południe, był Hannon, żyjący na przełomie wieków VI i V p.n.e.

Jego wyprawa była akcją kolonizacyjną na wielką skalę – flota przewozić miała bowiem 30 tys. kobiet i mężczyzn! Dla porównania: w czasie wielkiej wędrówki ludów na Rzym napierały plemiona liczące po kilkadziesiąt tysięcy dusz. Część badaczy twierdzi jednak, że kolonizatorów było nie 30 tys., lecz 3 tys., a różnica wynika z niedbałego tłumaczenia przez Greków tekstu kartagińskiego, co zdarzało się nader często. Eksploracja niezbadanych dotychczas ziem miała wzmocnić Kartaginę przed walną rozprawą z Hellenami.

Wyprawa przebiegała zgodnie z planem. Na atlantyckim wybrzeżu Afryki,

eprasa.pl 5ab27a795f



Hannon, żeglarz i odkrywca. Grafika z XIX w.
FOT. PHAS/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES

zna terenie dzisiejszego Maroka, powstało wiele kartagińskich kolonii. Nawiązano poprawne stosunki z miejscowymi berberyjskimi koczownikami zwanymi wtedy Liksytami, którzy będą wnet służyć Kartagińczykom za tłumaczy.

Już bez kobiet i dzieci Hannon wraz wojownikami ruszył ku dzikiemu południu. Ta część ekspedycji nie służyła kolonizacji, lecz poszukiwaniu złota. Spenetrowano wtedy m.in. rzekę Senegal, gdzie uwagę Kartagińczyków zwróciły hipopotamy i krokodyle. Miejscowe plemiona, czyli Etiopowie i troglodyci „biegający szybciej od koni", zachowywały się bardzo różnie. Nad Senegalem na próbujących lądować Kartagińczyków posypał się grad kamieni, a z lasów dobiegało złowrogie dudnienie bębnów i świst piszczałek. Sawanna płonęła, co Kartagińczycy wzięli za demoniczne jęzory ognia, ale to po prostu prymitywni myśliwi ułatwiali sobie polowanie. Berberyjscy tłumacze radzili przybyszom jak najszybciej uciekać.

Analizując inne wyprawy Kartagińczyków do zachodniej Afryki, Schulz stwierdza jednak, że już za czasów Hannona stosunki z tubylcami mogły ułożyć się bardziej pokojowo. Jak to wyglądało w praktyce? Kartagińczycy kładli na plażach swoje towary, wzniecali ogień i oddalali się na pewną odległość. Potem pojawiali się miejscowi, oglądali towary i dla odmiany kładli na plaży złoto lub kość słoniową. Tak zrodził się niemy handel między wybrzeżem zachodniej Afryki a Morzem Śródziemnym.

Horror na Macauley

Wyprawa miała finał w stylu wyczynów konkwistadorów. Rzecz działa się na wyspie zwanej dziś Macauley u wybrzeży Sierra Leone. Hannon zanotował: „Druga wyspa była pełna dzikich ludzi, wśród których najwięcej było kobiet z owłosionym ciałem. Nasi tłumacze nazywali ich Gorylami. Urządziliśmy polowanie na mężczyzn, ale nie zdołaliśmy schwytać żadnego, gdyż wszyscy umknęli na strome skały i obsypali nas kamieniami. Schwytaliśmy natomiast trzy kobiety, które broniły się, gryząc i drapiąc tych, którzy je złapali. Zabiliśmy je i obdarliśmy ze skór, które zawieźliśmy do Kartaginy". Dla dzisiejszego człowieka bezsensowne zabijanie i skórowanie małp są wystarczająco odrażające, ale Kartagińczycy byli przekonani, że mają do czynienia z ludźmi.

Większość badaczy twierdzi, że wyprawa zawróciła właśnie tutaj. Inni jednak, na podstawie opisu wulkanu nazwanego przez Hannona „Rydwanem Bogów", dopuszczają myśl, że najdalszym punktem był Kamerun. Dopiero wtedy Hannon miał zawrócić rozczarowany, widząc, że wybrzeże Afryki zamiast biec wprost na wschód do Morza Erytrejskiego (dziś Arabskiego), skręca mocno na południe. Jak jednak miał stamtąd wrócić? Przecież żegluga na północ wzdłuż odkrytego właśnie brzegu Afryki oznacza podróż wbrew prądom i wiatrom. Schulz za innymi badaczami twierdzi, że Fenicjanie dali radę płynąć pod wiatr, wykorzystując jedynie prostokątny żagiel, choć nie były to manewry tak sprawne jak w przypadku karawel Krzysztofa Kolumba czy Vasco da Gamy. Autor twierdzi też, że w miejscach, gdzie prąd lub wiatr nie sprzyjały żegludze, statki rozmontowywano i z pomocą lokalnych kacyków transportowano lądem przez afrykańskie szlaki karawanowe.



Statek fenicki FOT. DOMENA PUBLICZNA

Relację z podróży uwieczniono na tablicach w świątyni Baal Hammona, tego samego boga, któremu okazjonalnie składano w ofierze dzieci. Wiedza o wyprawie nie zrobiła jednak na Rzymianach, zdobywcach Kartaginy, wielkiego wrażenia. Nie byli oni zainteresowani eksploracją afrykańskich wybrzeży Atlantyku, kontentując się podbojem świata śródziemnomorskiego. Nie wiadomo też, co się stało w następnych stuleciach z kartagińskimi osadnikami nad Atlantykiem. Prawdopodobnie ulegli berberyzacji.

Do czasu rzymskiego podboju Ocean Atlantycki należał niepodzielnie do Kartagińczyków (z wyjątkiem lat 322–285 p.n.e., gdy walczyli oni z greckimi Syrakuzami). Było to prawdziwe okno strategiczne dla żeglarzy z greckiej Massalii (dziś Marsylia). Mieszkał tam astronom i żeglarz Pyteasz, fachowiec na tyle biegły, że potrafił określić szerokość geograficzną swojego miasta-państwa, myląc się tylko o kilka minut w stosunku do dzisiejszych pomiarów. Był to pierwszy żeglarz z regionu śródziemnomorskiego, który odkrył Brytanię. Dzięki temu cyna wydobywana w Kornwalii mogła trafiać na południe bez konieczności transportu przez terytoria wszystkich galijskich plemion.

Pyteasz fascynował się „szlachetnym dzikusem" w bardzo podobny sposób jak Europejczycy tysiące lat później. O Brytach pisał: „Są oni prości w obejściu i dalecy od przebiegłości i niegodziwości nowoczesnego człowieka. Ich pożywienie jest tanie i dalekie od luksusu, który rodzi się z bogactwa". W Brytanii dowiedział się o tajemniczym lądzie na północy zwanym Thule, który zawieszony jest w oparach między morzem a niebem. Była to Islandia lub Norwegia, a opary były po prostu nadmorskimi mgłami.

eprasa.pl 5ab27a795f



Mapa wybrzeży Afryki, spenetrowanych przez wyprawę Hannona FOT. DOMENA PUBLICZNA

Brytania i Thule pojawiły się następnie na rzymskich mapach.

Ku Indiom

Grecka penetracja Oceanu Indyjskiego ruszyła wraz z powstaniem Imperium Perskiego. Brzmi to dziwnie, ponieważ Persów mamy wszak za arcywrogów greckiego świata. Jednak przez dziesiątki lat poprzedzających Maraton i Termopile helleńskim miastom w wieloetnicznym imperium wiodło się całkiem znośnie. Jednym z Greków służących ochoczo Królowi Królów był Skylaks, który na rozkaz swojego władcy spenetrował wybrzeża od Indusu do Morza Czerwonego. Był to pierwszy grecki (choć koncesjonowany) rejs po Ocenie Indyjskim.

Długo nikt nie szedł w ślady Skylaksa. Kilkaset lat później Nearch na polecenie Aleksandra Wielkiego zbadał jeszcze raz szlak morski od ujścia Indusu do Eufratu. Lądując raz po raz dla zdobycia lub zrabowania zapasów na wybrzeżach dzisiejszego Pakistanu i Iranu, zauważył, jak nędzną egzystencję wiedli tamtejsi mieszkańcy, nieznający rolnictwa czy pasterstwa, budujący chaty z rybich i żółwich kości i skorup. Grek wzorem innych odkrywców ubarwiał swoje relacje, dodając wrogom nieludzkich cech: „Jeńcy mieli owłosione nie tylko głowy, ale i resztę ciała, paznokcie były jak szpony dzikich zwierząt". Nearch – jak twierdził – zdjął zły urok z wyspy zwanej dziś Astola, gdzie statki miały w tajemniczy sposób znikać, przepływając spokojnie wokół niej.

W ten sposób przetarta została droga z delty Indusu na zachód. Dalej głowiono się jednak nad tym, jak trafić do Indii, wypływając nie z Zatoki Perskiej, ale z Egiptu. Okazja ku temu nadarzyła się pod koniec II w. p.n.e. Na brzegu Zatoki Sueskiej znaleziono rozbitka, który nie mówił w żadnym ze zrozumiałych języków. Nauczono go więc podstaw greki i po kilku miesiącach obcy mógł się już komunikować. Twierdził, że przybył z Indii, a wszyscy jego kompani zginęli na morzu. Król Ptolemeusz VIII Euergetes wpadł wtedy na pomysł, że wykorzysta ocalonego, który będzie służył za przewodnika grecko-egipskiej wyprawy do Indii, dowodzonej przez Eudoksosa z Kyzikos. Śmiałek ten do Indii docierał aż dwa razy, a za drugim razem monsun zepchnął go na południe aż od Etiopii.

Za cesarza Augusta z portów nad Morzem Czerwonym wypływało ku Indiom rocznie już 120 statków (obsadzonych przez Greków, bo Rzymianie byli marnymi żeglarzami i stronili od dalekich podróży). Wciąż pływano jednak wzdłuż brzegów Arabii i państwa Partów, co było czasochłonne i niebezpieczne, bo jedni i drudzy nie lubili, jak rezygnowano z ich pośrednictwa w handlu wschodnimi luksusami. Z pomocą przyszedł Grek Hippalos. Był on pierwszym europejskim żeglarzem, który dogłębnie poznał specyfikę monsunów. Wiedział też, że Indie tworzą wielki półwysep wcinający się daleko na południe, i zapoczątkował erę żeglugi w poprzek Morza Arabskiego, bez konieczności zbliżania się do arabskich i partyjskich brzegów. W miastach imperium można było wtedy zobaczyć posłów i kupców z Indii, a Rzymian – czy raczej Greków „z rzymskim paszportem" – na całym zachodnim wybrzeżu trójkątnego subkontynentu. Większość towarów między Indiami a rzymskim Egiptem wciąż przewozili jednak Arabowie i Partowie (dorzucając oczywiście swoje marże).

Po odkryciu Indii Grecy szybko dowiedzieli się o rozległym morzu leżącym dalej na wschód. Dziś akwen ten zwiemy Zatoką Bengalską. Pierwszym, który odwiedził jej wody, był Aleksandros. Pod koniec I w. n.e. dotarł on do portu zwanego Zaba, czyli albo do dzisiejszego Singapuru, albo Kantonu. Byłby to zatem pierwszy żeglarz z Europy, który dopłynął do chińskiej strefy wpływów. W jego ślady poszło jeszcze kilku greckich kupców, którzy chcąc wywrzeć lepsze wrażenie na chińskich władzach, zmyślili, że są posłami cesarza Marka Aureliusza, a karkołomna podróż morzem wynikała z obawy przed Partami. Była to – delikatnie mówiąc – półprawda, ponieważ samotnych kupców Partowie



Pyteasz z Massalii kupujący bursztyn FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INVALUABLE.COM

przepuszczali, ale wyjawienie tego faktu zniszczyłoby legendę greckich podróżników. Nie wiemy jednak, czy cesarz taką misję w ogóle wysłał. Ostatnim poświadczonym Rzymianinem odwiedzającym chiński dwór cesarski drogą morską był niejaki Leon, który przypłynął tu w roku 226 n.e.

Lądem do Chin

Wyprawy te nie przyniosły jednak bezpośrednich skutków, poza być może osobistym wzbogaceniem się samych podróżników. Handel z Państwem Środka odbywał się bowiem w większości lądem. Wynikało to z faktu, że Azję Środkową najeżdżało raz po raz chińskie wojsko, biorąc w ryzy żyjących tu niebezpiecznych koczowników. Ekspansję militarną wykorzystywali kupcy; morze nie stanowiło wtedy dla Chin aż takiej wartości strategicznej jak środkowoazjatyckie stepy i kotliny górskie.

Starożytną Persję i stepy zamieszkane przez ludy indoirańskie i tureckie oddzielają od Chin niekończące się pasma wysokich gór: Hindukusz, Karakorum, Pamir, Ałtaj, Tienszan. Na przestrzeni tysięcy kilometrów tylko kilka przełęczy nadaje się do przejścia dla podróżników jadących na grzbietach osłów, mułów czy wielbłądów, nie mówiąc już o oddziałach wojska ciągnącego tabory. Patrząc od północy, są to przełęcze Torugart w Tienszan, Irkeshtam między tymi górami a Pamirem, Kulma w Pamirze Wschodnim, Wachdżir i kilka przełęczy w okolicy Khunjerab na styku Hindukuszu i Karakorum. Marco Polo, choć żył 1200 lat po omawianych tu eskapadach, wychowywał się w tym samym klimacie co antyczni Grecy i odczuwał bardzo dotkliwie ostre rozrzedzone powietrze, a kompletny brak zwierząt na tych surowych przełęczach go przygnębiał. Marsz lądem z Partii do Chin był koszmarem. Na tak długim dystansie doświadczano zarówno 40-stopniowych upałów, jak i mrozów. Oazy i źródła wody były rzadkim widokiem, więc kupcy czy podróżnicy nieraz przymierali z głodu i pragnienia.

Drogi, o których mowa, to oczywiście część wielkiej sieci handlowej zwanej jedwabnym szlakiem. Ceniony materiał wędrował z Chin do świata śródziemnomorskiego różnymi trasami i przez różnych pośredników. Przy czym jedwabny szlak nie był jednokierunkowy i ze świata śródziemnomorskiego ku Chinom jechały kryształy, cyna, koral, wino i przede wszystkim złoto. Ze stepów zaś transportowano konie.



Aleksander Wielki podczas wyprawy morskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANDRE CASTAIGNE

W 53 r. p.n.e. Rzymianie przegrali z Partami bitwę pod Carrhae. Zwycięzcy pognali jeńców ku wschodnim rubieżom swojego państwa aż do dzisiejszego Turkmenistanu. Żeby nie gnuśnieli, wciągnięto ich do wojska. W jakiś sposób jednak Rzymianie dostali się na służbę do sąsiadujących z Partami koczowników Siung-nu, przodków Hunów. Koczownicy zostali rychło pokonani przez Chiny, a Rzymian osadzono w prowincji Gansu w Chinach. Ci prawdziwi pechowcy zaliczający klęskę za klęską stali się najprawdopodobniej pierwszymi Europejczykami, którzy przebyli (inna sprawa, że przymusowo) lądową drogę do Chin.



Moneta cesarza Konstantyna II znaleziona w Chinach FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UPLOADALT

Rzymskie bogactwo

W 97 r. n.e. do Partów przybył chiński poseł Kan Jing. Jego misja pokazuje, jak niepełna była wzajemna wiedza geograficzna. Rezydujący nad Eufratem Jing zaczął wypytywać Partów o to, jak można się dostać do Cesarstwa Rzymskiego. Biorąc pod uwagę drogę, którą już miał za sobą, jego cel był niemal za rogiem. O tym jednak Chińczyk nie wiedział. Sprytni Partowie, bojąc się nawiązania bliższych stosunków między Rzymem a Chinami, zaczęli wskazywać palcem na Zatokę Perską i straszyć wielomiesięczną podróżą morską wokół Arabii do Egiptu. Jing zrezygnował.

O tym, że w Mezopotamii kręcił się „człowiek od jedwabiu", dowiedział się jednak niejaki Maes Titianus, jak możemy się domyślać – Grek. W 120 r. n.e. wysłał swoich agentów na środkowoazjatyckie szlaki. Jedna z ekip przekroczyła przełęcz Kulma lub Wachdżir, idąc tą samą drogą, którą przemierzył za tysiąc lat Marco Polo. Grecy zeszli z niej najpierw ku kotlinie Tashkurgan, a potem ku Kotlinie Kaszgarskiej, gdzie napotkali „Kamienną Wieżę", najprawdopodobniej jedną z chińskich fortec granicznych. Agenci Titianusa dotarli być może nawet do samego Luoyang w głębi kraju. Do Rzymu wracali stamtąd rok, przywożąc wieść, że jedwab produkowany jest przez poddawane męczarniom larwy.

Dlaczego większość z wymienionych odkryć nie została skapitalizowana? Bogactwo generowane przez Rzym było tak ogromne, że elity państwa były gotowe płacić krocie za egzotyczne towary, zamiast wysłać flotę i zdobyć je siłą. Dalekie odkrycia pozostały zatem ekstrawaganckim wyczynem garstki śmiałków. W VIII w. połączenia bizantyjskich spadkobierców Rzymu z Chinami przecięli na długie wieki Arabowie. Skutecznie odcięli przy okazji od Afryki królestwa chrześcijańskie na Półwyspie Iberyjskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



Żołnierze Waffen-SS na froncie wschodnim, 1941 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FOTOGRAFIA KOLORYZOWANA/JOHANNES DORN

Wywiad / Z dr. Tomaszem E. Bieleckim, autorem książki „Polacy w Waffen-SS”

rozmawia Piotr Włoczyk

Polacy w armii Himmlera

– Wydaje mi się, że niektórzy z nich widzieli straszne rzeczy. W powojennych zeznaniach widać, jak czasem skracają historię swojej służby, wypowiadają się bardzo ogólnie, unikając szczegółów dotyczących miejsca i czasu – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Polacy w Wehrmachcie to temat, z którym zdążyliśmy się już oswoić. Ale Polacy w Waffen-SS?!

DR TOMASZ E. BIELECKI: Ten temat obrósł wieloma mitami. Jeden z polskich historyków zapytał mnie kiedyś po konferencji: „Naprawdę w Waffen-SS nie wszyscy byli ochotnikami? Tam rzeczywiście trafiali też ludzie z poboru?”. Tak, faktycznie tak było – do Waffen-SS można było też trafić z poboru. Przychodził młody człowiek na komisję wojskową i dopiero potem dowiadywał się, gdzie zostanie przydzielony. Z zeznań niektórych byłych żołnierzy tej formacji wynika, że dowiadywali się, iż trafili do Waffen-SS, dopiero na miejscu, w jednostce, gdy przybyli na wezwanie.

Ilu mogło ich być?

W książce przeprowadzam czytelnika przez proces ostrożnego szacowania. Wyszła mi liczba 1806 Polaków z Pomorza, którzy służyli w Waffen-SS. Ale to tylko szacunki. Żeby doprecyzować tę liczbę w jedną lub w drugą stronę, potrzeba jeszcze dokładnych badań.

Jak dużą formacją była Waffen-SS i jak wyglądały w niej proporcje narodowościowe?

W czasie wojny przez szeregi tej armii Himmlera przewinęło się blisko milion ludzi. Niemców było w tej formacji 400 tys., volksdeutschów ponad 300 tys., a ok. 200 tys. stanowili żołnierze zaliczani w narodowosocjalistycznej nomenklaturze do tzw. obcoplemieńców. Waffen-SS powstała na przełomie lat 1939 i 1940 i szybko stanęła wobec problemu uzupełnienia stanów osobowych, bo Wehrmacht nie za bardzo chciał się dzielić rekrutem.

Jak poważny był ten problem?

Ostatnio przyglądałem się operacjom nad rzeką Wołchow, gdzie walczyła Dywizja Policyjna SS. Niemcy mieli tam olbrzymie problemy już na początku 1942 r. Sowieci podjęli wtedy na całym froncie serię kontruderzeń. Aż nie chce się wierzyć, jak Niemcy „łatali” wtedy oddziały, by mogły wykonywać swoje zadanie. Wyciągali po kompanii, batalionie z innych dywizji i pułków, a straty były tak wielkie, że liczebność poszczególnych oddziałów dramatycznie spadła. W tamtym okresie niemiecki batalion powinien liczyć ok. 600 ludzi. A wiele batalionów piechoty miało 300, 200, a nawet poniżej 100 żołnierzy! Ta sytuacja pokazuje, jak desperacko Niemcy potrzebowali uzupełnień.

Waffen-SS – w mojej książce proponuję nazwę „Zbrojna SS” – musiała udowodnić, że tworzenie następnych dywizji ma sens. Chodziło o to, by pokazać, że jeżeli Hitler wyznaczy nawet najtrudniejsze zadanie, to ci żołnierze Himmlera wykonają rozkaz z entuzjazmem. Ale taki fanatyzm oznaczał, że jednostki Waffen-SS, np. 1. Dywizja Pancerna SS „Leibstandarte SS Adolf Hitler” czy 2. Dywizja Pancerna SS „Das Reich”, ponosiły gigantyczne straty.

eprasa.pl 5ab27a795f

Czyli najbardziej elitarne dywizje tej armii Himmlera.

Tak. Niesamowicie wyglądają straty innej elitarnej jednostki, 3. Dywizji Zmotoryzowanej SS „Totenkopf", gdy latem 1942 r. schodziła z frontu. To był obraz nędzy i rozpaczy. Walki w kotle na Wyżynie Wałdajskiej zaczynało 15–16 tys. esesmanów, a na własnych nogach wyszło z niej 3 tys. ludzi i praktycznie każdy z nich był ranny. Natomiast 6 tys. ciężej rannych ewakuowano samolotami. W trakcie tej krwawej bitwy „Totenkopf" utrzymywała najtrudniejsze odcinki. Nawiasem mówiąc, nie brak opinii, że niemieckie dowództwo zdecydowało się na trwanie w Stalingradzie, ponieważ wcześniej na Wyżynie Wałdajskiej udało się zorganizować dosyć efektywny most powietrzny.

I nie dość, że trzeba było odbudowywać stare, wykrwawione na froncie wschodnim dywizje Waffen-SS, to jeszcze Himmler chciał budować nowe. W książce przytaczam korespondencję Wilhelma Keitela z Himmlerem z 1943 r., w której ten pierwszy skarżył się, że Waffen-SS pobrała cztery razy więcej rekruta, niż wynikało to z rozdzielnika. Waffen-SS demolowała więc plany Wehrmachtu, jeżeli chodzi o uzupełnienia.

Po wojnie Keitel w swoich wspomnieniach – napisanych jeszcze przed procesem norymberskim – stwierdził, że Waffen-SS była w czasie wojny jedną wielką „pompą ssącą", która wyciągała rekruta, również z terenów wcielonych. Natomiast poza włączaniem w swoje szeregi „świeżych" rekrutów Waffen-SS mogła od później jesieni 1943 r. liczyć na tzw. zrzuty Hermanna.

Czyli?

Chodziło o przenoszenie ludzi z jednostek Luftwaffe do Waffen-SS, gdy niemieckie lotnictwo ponosiło straty niemożliwe do odrobienia. Na podobnej zasadzie do Waffen-SS trafiali też marynarze z Kriegsmarine.

Skupmy się na ludziach, którzy pojawiają się na kartach pańskiej książki.

W mojej książce opisałem 36 przypadków Polaków z Pomorza, którzy służyli w Waffen-SS. Tylko że w niektórych przypadkach bardzo niewiele można powiedzieć, bo w aktach z przesłuchań

Po wojnie Keitel w swoich wspomnieniach – napisanych jeszcze przed procesem norymberskim – stwierdził, że **Waffen-SS była w czasie wojny jedną wielką „pompą ssącą"**

przeprowadzonych po wojnie przez Milicję czy Urząd Bezpieczeństwa mamy jedynie szczątkowe informacje: dany człowiek służył w Waffen-SS i tyle. Nic więcej nie ma w teczce. Oczywiście tych przypadków było na Pomorzu więcej. Wynika to z zachowanych dokumentów.

Jak konkretnie wyglądała „ścieżka", która prowadziła młodego Polaka do Waffen-SS?

W większości przypadków było to bardzo zbliżone do Wehrmachtu. Po osiągnięciu odpowiedniego wieku, najczęściej tuż przed ukończeniem 18. roku życia, byli oni powoływani do RAD, czyli Służby Pracy Rzeszy. Wykonywali różne uciążliwe prace, jak choćby budowa umocnień polowych czy kopanie rowów melioracyjnych. Po przeszkoleniu w RAD ci młodzi ludzie mieli już przedsmak wojska; dryl, musztra i obcowanie z bronią



Albert Forster FOT. NAC

nie były im obce. Po powrocie do domu dostawali pisma – część była wzywana na komisje prowadzące uzupełnienia dla oddziałów SS.

Wszystko dlatego, że – w przypadku Polaków mieszkających na ziemiach wcielonych do III Rzeszy – rodziny tych młodych mężczyzn podpisały volkslistę (DVL).

A czasem to oni sami podpisywali volkslistę. Grupy 1., 2. i 3. DVL podlegały poborowi. Ale znamy też przypadki, że 4. grupę również powoływano! Mało tego, jak pokazuje prof. Ryszard Kaczmarek, na Śląsku powołano do Wehrmachtu wielu mężczyzn bez żadnej kategorii volkslisty. I dopiero później – w latach 1942–1943 – okazywało się, że dany żołnierz nie jest na volksliście.

Co się stało z niemieckim „ordnungiem"?

O jakim „ordnungu" możemy mówić, jeżeli przez szeregi armii niemieckiej przeszło ponad 18 mln ludzi? Zdarzały się takie sytuacje, że ci żołnierze dostawali w końcu 4. grupę DVL i gdy zostawali kalekami, to mieli problem z otrzymaniem renty.

Jeżeli ktokolwiek miałby się oburzyć, że Polacy z Pomorza podpisywali volkslistę, to wyjaśnijmy różnicę między sytuacją na ziemiach wcielonych do Rzeszy a Generalnym Gubernatorstwem.

W październiku 1939 r. niemieckie władze zatwierdziły dekret o inkorporacji zachodnich ziem II RP. I właśnie o tych terenach rozmawiamy. Niemcy od razu zasiali tam terror. Była w tym zbrodnicza logika – uderzono w Polaków najbardziej zaangażowanych w działalność na rzecz niepodległego państwa, którzy mogli szkodzić inkorporacji. Na Pomorzu rozpoczęła się wtedy tzw. krwawa jesień, gdy mordowano przedstawicieli tej najbardziej aktywnej tkanki polskiej.

Trzeba tu zrozumieć jedną rzecz – mieszkańcy tych ziem byli wcześniej obywatelami II Rzeszy. Pamiętali więc państwo niemieckie za kajzera, w którym panował porządek prawny. I nagle zderzyli się w 1939 r. z nazistowskim „nowym ładem", czyli z czymś, co było nie do pomyślenia na początku XX w. Owszem, Polacy byli w II Rzeszy niemczeni, ale było to robione na podstawie konkretnych ustaw. Nikt wtedy nie wyciągał Polaków z domów i nie rozstrzeliwał

eprasa.pl 5ab27a795f

ich po lasach. A tak właśnie się działo jesienią 1939 r.

Niemcy wyrzucali też wtedy do GG Polaków, którzy przybyli na Pomorze w okresie międzywojennym. Gdynia była tu pierwszą ofiarą – żyło tu największe skupisko ludzi, którzy po 1918 r. przyjechali z innych polskich terenów, m.in. mój dziadek był w tej grupie.

Po „krwawej jesieni" fala terroru nieco opada, ale volkslista pojawia się dopiero na początku 1941 r. Przez te półtora roku Polacy mieszkający na ziemiach II RP włączonych do III Rzeszy mieli niejasny status. Byli „podopiecznymi" państwa niemieckiego, ale nie byli jego obywatelami. I widzieli już, do czego jest zdolna III Rzesza.

Jak Polacy z Pomorza zareagowali na pojawienie się volkslisty?

Nie garnęli się masowo do podpisywania. Jednak w lutym 1942 r. gauleiter Albert Forster wydał odezwę, która jasno stawiała sprawę: kto się nie podpisze, ten zostanie w przyszłości uznany za wroga narodu niemieckiego. I wtedy już wielu ustawiło się w kolejkach do podpisywania DVL.

Czegoś takiego w GG nie było.

W GG wpisanie się na volkslistę było jednak najczęściej przejawem koniunkturalizmu. Natomiast na terenach

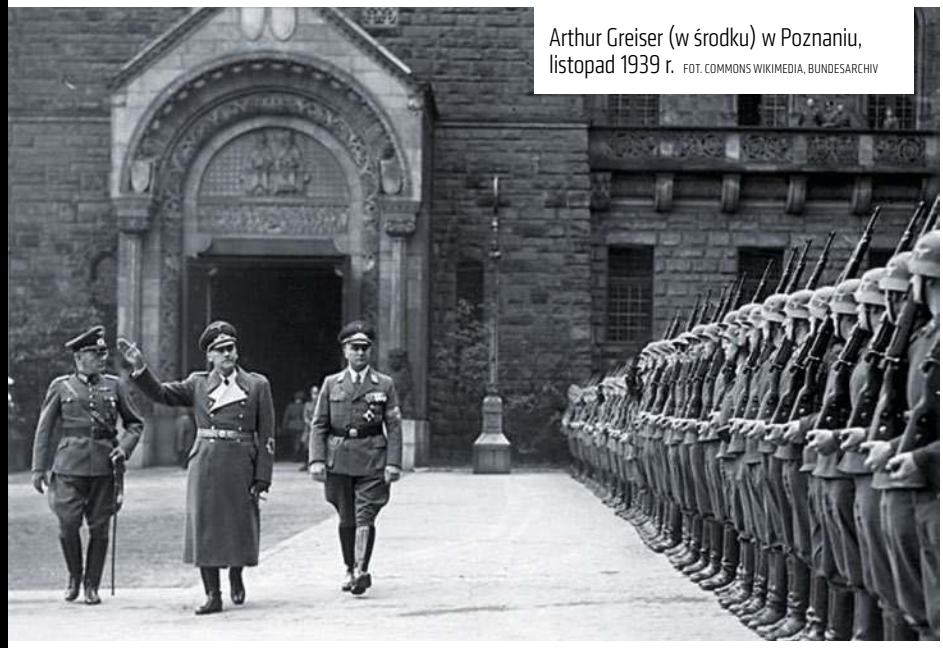


TOMASZ EUGENIUSZ BIELECKI
„POLACY W WAFFEN-SS. POLSKIE POMORZE"
POMOST

wcielonych do III Rzeszy chodziło raczej o strach przed śmiercią, głodem, wypędzeniem. Były to zazwyczaj wielodzietne rodziny, gdzie rodzice musieli myśleć o przyszłości potomstwa. Trzeba było jakoś żyć, a nie każdy chciał być wywieziony. I nie zapominajmy też o zaleceniach władz polskich w Londynie, które brzmiały w skrócie: nie pchać się na DVL, ale jeżeli nie będzie innego wyboru, to trudno – trzeba podpisać.

A dodatkowo trzy obszary inkorporowane do III Rzeszy – Pomorze, Kraj Warty i Śląsk – różniły się między sobą, jeżeli chodzi o stosunek lokalnych władz do mieszkańców pochodzenia polskiego.

W Gdańsku rządził Albert Forster, który chciał wpisywać na DVL jak najwięcej ludzi, również pod przymusem. Forster nie chciał u siebie volksdeutschów przesiedleńców z innych części Europy. Wolał, żeby mieszkający na podległym mu terenie ludzie, którzy kiedyś byli obywatelami Niemiec, zostali zgermanizowani. To nie był dogmatyk, tylko pragmatyk.



Arthur Greiser (w środku) w Poznaniu, listopad 1939 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Arthur Greiser z kolei nie za bardzo chciał widzieć Polaków na DVL – był niemieckim szowinistą. Ale to się z czasem zmieniło i w końcu nawet on musiał się z Polakami „przeprosić". Realia wojny wymusiły na nim sięgnięcie po „zasób" polski i Greiser wymyślił w pewnym momencie Związek Polaków Dobrze Pracujących. Jego członkowie mieli te same kartki i przydziały co volksdeutsche 3. grupy. Chodziło oczywiście o zachęcenie Polaków do wydajnej pracy.

Faktem jest, że podpisanie DVL oznaczało też, że łatwiej było żyć.

Generalnie tak, ale 3. grupa była swego rodzaju oszustwem. Niemieckie hasło propagandowe głosiło: „Te same prawa, te same obowiązki". W rzeczywistości jednak obowiązki faktyczne były te same, co w przypadku Niemców, np. konieczność służenia w siłach zbrojnych, natomiast prawa nie były już takie same, co widać było po kartkach na żywność. Grupy 1. i 2. miały znacznie lepsze zaopatrzenie niż 3. grupa.

Czyli zdecydowana większość Polaków, którzy trafili z Pomorza do Waffen-SS, została tam wcielona pod przymusem?

Tak. Lwia część tamtejszych Polaków trafiała w szeregi Waffen-SS z poboru. Choć znalazłem jeden ciekawy przypadek z Chełmna nad Wisłą, gdzie mężczyzna skazany na śmierć ochotniczo wstąpił do Waffen-SS w zamian za darowanie kary. Czy zdarzały się przypadki, że Polacy szli na ochotnika do Waffen-SS? Możemy zakładać, że dochodziło do takich jednostkowych zdarzeń. Trzeba rozumieć, że niemiecka machina wojenna mogła robić wrażenie na młodym chłopaku z prowincji, szczególnie gdy Niemcy odnosili jeszcze zwycięstwa. Poza tym potężna propaganda robiła swoje i młody człowiek żyjący na terenach, gdzie nie wolno mu było mówić po polsku, mógł nasiąknąć do pewnego stopnia niemieckim punktem widzenia. Dobrym przykładem jest tu cytowany w mojej książce list chłopaka, który w ramach „zrzutów Hermanna" trafił wiosną 1944 r. do 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking". Z jednej strony pisze do rodziny o tym, że „nasi" uderzyli na „Ruska", a w następnym liście opowiada o wielkich reklamach zachęcających do wstępowania do niemieckich

eprasa.pl 5ab27a795f



Żołnierze 3. Dywizji Pancernej SS „Totenkopf" na froncie wschodnim, 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

sił zbrojnych i opatruje to komentarzem: „Teraz to Polaków znają, a tak to Polaków nie znali".

Niemcy rozrzucali Polaków po oddziałach Waffen-SS?

Oczywiście. Starali się nie dopuścić do sytuacji, by w jednej kompanii było ich więcej niż kilku. A obok nich służyło kilku volksdeutschów z innych części Europy.

Berlin nigdy nie planował stworzenia polskiej jednostki Waffen-SS.

Powodem był najwyraźniej brak odpowiedniej atmosfery. Jeżeli spojrzymy na proces tworzenia ukraińskiej, estońskiej czy łotewskiej jednostki Waffen-SS, to zobaczymy, że istniały na tamtych terenach miejscowe administracje, a część elit politycznych przyjęła orientację na Berlin. Trudno się temu dziwić, skoro te małe liczebnie narody znalazły się między sowieckim młotem a niemieckim kowadłem. A jaki to mogło mieć sens w przypadku Polaków? Nie było przecież polskich czynników politycznych zorientowanych na III Rzeszę, i to pomimo niemieckich zachęt. Zresztą Niemcy zdawali sobie sprawę, jaki stosunek ma do nich większość Polaków.

Być może niektórzy nasi czytelnicy zastanawiają się, czy wobec wcielenia do zbrodniczej organizacji, którą była Waffen-SS, polscy żołnierze nie mogli po prostu jakoś uciec z frontu?

To nie było takie łatwe. Po pierwsze dlatego, że na miejscu zostawały ich rodziny w charakterze zakładników. A po drugie dlatego, że właściwie jedyną możliwą „ucieczką" było dostanie się do niewoli.



Czapka polowa żołnierza Waffen-SS

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KRIGSMUSEET, KOPENHAGA

Szczególnie na froncie wschodnim to nie był dobry pomysł...

Poddanie się żołnierza Waffen-SS Sowietom raczej nie dawało rękojmi długiego życia... Inaczej było z Wehrmachtem, szczególnie na froncie zachodnim, ale tu nie było reguły. Słyszałem opowieści, jak to Niemcy z Wehrmachtu starali się poddawać raczej w większych grupach. Zawsze trudniej rozstrzelać stu ludzi niż dwóch–trzech. A poza tym anglosascy żołnierze siłą rzeczy niezbyt pozytywnie reagowali na widok poddających się wrogów z Waffen-SS, choć na pewno szanse na przeżycie były tu większe niż na froncie wschodnim.

Waffen-SS popełniała straszne zbrodnie. Możemy się tylko zastanawiać, co ci polscy żołnierze widzieli...

Wydaje mi się, że niektórzy z nich widzieli straszne rzeczy. W powojennych zeznaniach widać, jak czasem skracają historię swojej służby, wypowiadają się bardzo ogólnie, unikając szczegółów dotyczących miejsca i czasu. Najbardziej rzucającym się w oczy przypadkiem jest chłopak, który twierdził, że służył w 21. Pułku Przeciwlotniczym SS. Tylko że takiej jednostki... nigdy nie było. Natomiast niektóre informacje, m.in. o miejscu jego szkolenia, wskazują na to, że służył w dywizji „Das Reich". A służył w niej w okresie, kiedy ta jednostka maszerowała w kierunku Normandii. Prawdopodobnie ten człowiek próbował się „zapisać" do nieistniejącej jednostki, bo wiedział, że mało kto w powiatowym UB będzie w stanie to sprawdzić, a podanie prawdziwych informacji wydawało mu się zbyt ryzykowne. Wygląda na to, że służył on w artylerii przeciwlotniczej „Das Reich", a akurat ci żołnierze nie brali udziału w zbrodniach dokonanych we Francji przez tę jednostkę.

Po wojnie Waffen-SS została uznana za formację zbrodniczą. Jak w takim razie potoczyły się losy jej polskich żołnierzy?

Część z nich nie wróciła do kraju i pozostała albo Niemczech, albo w innych państwach zachodnich. Natomiast ci, którzy wrócili do kraju, musieli przejść proces weryfikacji.

Pierwszym krokiem było wyjaśnienie okoliczności podpisania DVL. Druga kwestia to automatyczne ściganie za służbę w Waffen-SS, czego podstawą był tzw. dekret sierpniowy PKWN. Do 1947 r., czyli do orzeczenia Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, wyglądało to różnie. Często sądy orzekały, że Waffen-SS była jak każde inne wojsko, i nie karały podsądnego. Ale zdarzało się też, że sędziowie orzekali przepadek mienia i wsadzali takiego mężczyznę na trzy–pięć lat do więzienia, gdzie musiał on siedzieć z prawdziwymi niemieckimi zbrodniarzami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Tomasz Eugeniusz Bielecki jest historykiem, autorem książki „Polacy w Waffen-SS. Polskie Pomorze".

eprasa.pl 5ab27a795f



Tomasz Dąbal (w kapeluszu), członek Międzynarodówki Chłopskiej, Kijów, 1925 r. FOT. COMMONS WIKIPEDIA, GAZETA „GLOBUS"

Lata 30. XX w. / Wyrok na polskość

Kaźń Polaków z sowieckiej Białorusi



Mikołaj Iwanow

Najpierw władze sowieckie zachęcały tamtejszych Polaków do budowania swojej autonomii i kultywowania własnej kultury. Kilka lat później Stalin zrobił woltę i NKWD przystąpiło do bezlitosnego tępienia Polaków

W okresie międzywojennym było to prawdopodobnie najgęściej zaludnione przez Polaków miejsce w Europie, a może i na świecie (oczywiście poza terytorium II RP). Odsetek Polaków sięgał na terenie sowieckiej Białorusi (BSRS) niemal 10 proc. ogółu ludności tej teoretycznie niezależnej republiki, tworzącej od

eprasa.pl 5ab27a795f


Gwiazda Młodzieży

Dwutygodnik młodzieży robotniczej

Organ Tym. Biur. Płnoc. K. C. K. S. M.

Mińsk, dnia 1 maja 1924 r.

Rok II. Nr. 9 (27)

Niech żyje 1-szy MAJA — przegląd bojowych sił proletarjatu.

Lenin a 1-szy Maja

Dzień 1 Maja.

Polskojęzyczna gazeta wydawana w Mińsku

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

1922 r. federacyjny Związek Sowiecki. Według tamtejszej konstytucji każdy mieszkaniec posługujący się językiem polskim miał prawo używać go w kontaktach z władzami, nie mówiąc już o życiu prywatnym. Co więcej, w tej republice sowieckiej rozpoczęto proces szerokiej repolonizacji miejscowych Polaków; spora część z nich zatraciła bowiem w okresie zaborów umiejętność posługiwania się mową ojczystą albo wręcz nigdy nie posługiwała się na co dzień polszczyzną.

W ramach tej bolszewickiej repolonizacji, będącej częścią tzw. leninowskiej polityki narodowościowej, w BSRS powstała szeroka sieć szkół polskich (w roku 1934 istniało ich aż 321). Rozwinięto też system tzw. likniepów, czyli centrów likwidacji analfabetyzmu, działających również w języku polskim. W połowie lat 30. w BSRS prężnie działała sieć instytucji kulturalnych, m.in. Polski Instytut Pedagogiczny w Mińsku, polski oddział Akademii Nauk BSRS, Polski Teatr Robotniczy w Mińsku, polski sąd rejonowy w Dzierżyńsku czy Polski Dom Dziecka w Homlu.

„Osobnicy niemoralni”

Temu unikatowemu rozwojowi polskich instytucji towarzyszyło założenie autonomii tam, gdzie Polacy mieszkali w zwartych skupiskach. W 1932 r. uroczyście otwarto Polski Rejon Narodowościowy im. Feliksa Dzierżyńskiego w obwodzie mińskim (tzw. Dzierżyńszczyzna).

Przyczyny tej unikatowej polityki partii komunistycznej były dość prozaiczne – władze sowieckie sądziły, że jest to najskuteczniejszy środek sowietyzacji ludności polskiej. W Moskwie uważano również, że podobna polityka może odegrać rolę czynnika destabilizującego wobec II Rzeczypospolitej.

Czas pokazał, że ten sposób sowietyzacji Polaków był mało skuteczny. Okazali się oni w większości wierni ostoi polskości na tzw. dalszych kresach, czyli Kościołowi katolickiemu, bardzo niechętnie reagowali na kolektywizację i inne posunięcia gospodarcze władz, ale – co wzbudzało największy alarm – nie wykazywali powszechnej wrogości wobec II RP. Gdy władze zrozumiały, że to droga donikąd, sięgnęły po represje.

Już w 1935 r. na podstawie rekomendacji Stalina z Białorusi w ramach tzw. oczyszczania pasa przygranicznego z „elementów niepewnych” do Kazachstanu i Syberii wysiedlono ok. 2 tys. rodzin, przeważnie z Dzierżyńszczyzny. Powoli, ale konsekwentnie kurczyła się polska autonomia. Jednym z przejawów nowej polityki było tworzenie mieszanych szkół polsko-białoruskich, w których język polski wykładano jako jeden z przedmiotów, a większość zajęć prowadzono w języku białoruskim.


Ijeronim Uborewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALL-PHOTO.RU

W roku 1935 działało 37 takich szkół. Zmniejszenie liczby polskich szkół spowodowało, że w roku 1936 jedynie 31 proc. polskich dzieci w wieku szkolnym miało możliwość uczęszczania do takich placówek.

Represje dotknęły też inne polskie instytucje. Teatr Polski BSRS został początkowo przeniesiono do Mińska, gdzie na siedzibę wyznaczono mu zamknięty Kościół św. Szymona i Heleny (potocznie nazywany „czerwonym”), następnie przekształcono go w Robotniczy Klub Polski, a pod koniec 1936 r. całkiem rozwiązano. Ostatni numer polskiej gazety „Orka”, „wielki sztandar polskiej autonomii socjalistycznej”, ukazał się w maju 1937 r. Nieco wcześniej bez rozgłosu zlikwidowano centralne komsomolskie pismo „Gwiazda Młodzieży”. Rejonowa gazeta „Szturmowiec Dzierżyńszczyzny” od początku 1937 r. ukazywała się już wyłącznie po białorusku.

31 czerwca 1937 r. zapadła decyzja Centralnego Komitetu Wykonawczego BSRS o rozwiązaniu Polskiego Rejonu Narodowościowego im. Feliksa Dzierżyńskiego. Nie przekształcono go jednak w rejon białoruski, lecz administracyjnie podzielono jego terytorium pomiędzy sąsiednie rejony białoruskie. Sam Dzierżyńsk przyłączono do rejonu mińskiego, a część byłych już polskich rad wiejskich włączono do rejonów zasławskiego i rudzieńskiego.

W skierowanym do Moskwy uzasadnieniu KC białoruskiej organizacji partyjnej dotyczącym rozwiązania polskiego rejonu czytamy:

„W byłym Rejonie Dzierżyńskim na przestrzeni lat kierownictwo zostało opanowane przez szpiegów i wrogów ludu, którzy po przeniknięciu do organizacji prowadzili działalność kontrrewolucyjną. Sekretarzami rejonowego komitetu partii byli Wilczek, Puszczyn, Dombrowski, Lubowcew. Zostali aresztowani, jako wrogowie ludu. Przewodniczący Komitetu Wykonawczego Wąsowski i Rudnicki także zostali aresztowani jako wrogowie ludu.

Lustracja osobowa organizacji partyjnej rejonu dowiodła szczególnego zapaskudzenia. Szpiedzy i wrogowie ludu na

eprasa.pl 5ab27a795f



Dom Ludowy w Kojdanowie (od 1932 r. Dzierżyńsk)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

przestrzeni wielu lat, aż do ostatniego momentu, osadzali w rejonie, w organizacjach rejonowych, w tym w szczególności w najważniejszych punktach (radach wiejskich, kołchozach i na stacji kolejowej Niegoriełoje), elementy szpiegowskie, osoby blisko związane poprzez stosunki rodzinne z zagranicą, pijaków i osobników niemoralnych oraz im podobnych, niezadowolonych z polityki rządu sowieckiego".

Apogeum terroru

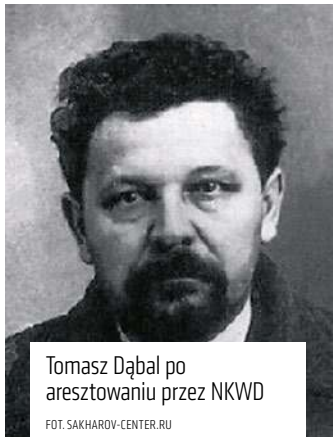
Represje antypolskie na Białorusi prowadzono na podstawie rozkazu NKWD nr 00485 z sierpnia 1937 r., dotyczącego realizowania tzw. operacji polskiej. Władze białoruskie wyjątkowo sprawnie odpowiedziały na rozkaz. Natychmiast rozpoczęto likwidację wciąż istniejących polskich instytucji narodowościowych. Niecałe dwa tygodnie po podpisaniu i wysłaniu tego rozkazu przez szefa NKWD Nikołaja Jeżowa Rada Komisarzy Ludowych BSRS przyjęła specjalną uchwałę „O likwidacji szkodnictwa w zakresie polonizacji ludności białoruskiej". Uchwała ta przewidywała całkowite zlikwidowanie szkolnictwa polskiego i masowe represje wobec ludności polskiej.

Według NKWD na Białorusi istniało „antysowieckie centrum", składające się m.in. z trockistowskiego podziemia, organizacji prawicowców (Bucharina) i Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), która „pośredniczyła w łączności tych wszystkich organizacji z Oddziałem II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i wywiadami innych państw faszystowskich".

Szefami mińskiego centrum POW rzekomo byli liderzy polskiej autonomii – Wąsowski i Kłys – mający bezpośredni kontakt z Tomaszem Dąbalem. Na czele tego „zjednoczonego spisku antysowieckiego" – jak pisał Jeżow w liście towarzyszącym rozkazowi nr 00485 – stali przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego Białorusi, jeden z założycieli BSRS Aleksander Czerwiakow oraz przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Nikołaj Gołodied.

Moment rozwiązania Dzierżyńszczyzny i inne antypolskie akcje władz białoruskich w przededniu rozpoczęcia „operacji polskiej" świadczą o tym, że rozkaz Jeżowa nr 00485 nie był czymś niespodziewanym w polityce państwa sowieckiego wobec polskiej mniejszości narodowej, lecz stanowił logiczną kontynuację coraz bardziej represyjnej antypolskiej polityki władz.

Latem i jesienią 1937 r. ta polityka osiągnęła swoje apogeum. Polacy stali się wrogiem numer jeden dla partii komunistycznej. W Mińsku i na prowincji



Tomasz Dąbal po aresztowaniu przez NKWD

FOT. SAKHAROV-CENTER.RU

rozpoczęło się prawdziwe polowanie na Polaków. W stolicy BSRS utworzono specjalną grupę operacyjną NKWD liczącą ok. 400 enkawudzistów, która sprawiała, że każdy obywatel żył w ciągłym przerażeniu, rozumiejąc, że w każdej chwili może być aresztowany i oskarżony – bez sądu i śledztwa – a następnie albo skazany na karę śmierci, albo uwięziony w obozie koncentracyjnym.

Białoruskie NKWD w trakcie realizacji „operacji polskiej" uchodziło w opinii centrali za swoistego przodownika akcji niszczenia „polskiej agentury". Jeżow na naradach w NKWD wyróżniał brutalną działalność białoruskiego NKWD jako przykład wzorowej pracy.

Bagna Uborewicza

Prześladowania Polaków na byłych północno-wschodnich „dalszych kresach" I RP były najbardziej intensywne w porównaniu z innymi regionami Związku Sowieckiego. Nie przypadkiem Jeżow w swym liście dołączonym do rozkazu nr 00485 wychwalał białoruskie NKWD.

Aby przekonać Stalina, że NKWD robi wszystko, co może, w celu oczyszczenia kraju z wrogów, Jeżow wyolbrzymiał zagrożenie ze strony tzw. polskiej piątej kolumny do rozmiarów wprost niewyobrażalnych. Stwierdzał, że prawie wszystkie gałęzie przemysłu na Białorusi były przeżarte przez szpiegów i dywersantów: transport, planowanie, energetyka, budownictwo, przemysł lekki i rolnictwo. Ale niektóre zarzuty Jeżowa wobec rzekomego polskiego centrum szpiegowskiego na Białorusi przerażają swoją prymitywnością i kompletnym brakiem poczucia realności.

Były poseł na Sejm II RP Tomasz Dąbal, uważany przez NKWD za szefa domniemanego POW, piastujący wysokie stanowisko wiceprezydenta Akademii Nauk Białorusi, został oskarżony m.in. o „zdradziecki plan osuszenia bagien poleskich w celu ułatwienia działań ofensywnych kawalerii polskiej w przyszłej wojnie polsko-sowieckiej". To absurdalne oskarżenie było związane z rzekomą dywersyjną działalnością niedawno rozstrzelanego marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i jego grupy. Według

eprasa.pl 5ab27a795f

śledczych NKWD kluczową rolę w spisku Tuchaczewskiego odgrywał Ijeronim Uborewicz, jeden z najwyżej usytuowanych Litwinów wśród generalicji Armii Czerwonej, dowódca Białoruskiego Okręgu Wojskowego. Uborewicz nie dożył do „operacji polskiej". Rozstrzelano go razem z Tuchaczewskim 12 czerwca 1937 r., ale NKWD nawet po śmierci uznał go za jednego z kierowników białoruskiego centrum POW, który razem z Dąbalem promował osuszenie bagien poleskich, tak aby pozbawić Armię Czerwoną „naturalnej osłony przed natarciem armii polskiej".

Bity okrutnie w więzieniu NKWD Dąbal potwierdził sfabrykowane zarzuty śledczych NKWD, również to, że spotykał się z Bolesławem Skarbkiem, rzekomym pierwszym kierownikiem POW w ZSRS, a po aresztowaniach na Ukrainie w latach 1933–1934 przejął po nim kierownictwo POW. Przyznał się również do tego, że otrzymywał od członków POW materiały wywiadowcze. Po odpowiedniej „obróbce" Dąbal miał je następnie przekazywać do Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Protokół przesłuchania Dąbala Jeżow wysłał Stalinowi, który na pierwszej stronie napisał: „Wyjaśnić: od kogo D. otrzymywał te materiały". Był to jasny znak dla NKWD: antypolskie represje trzeba przeprowadzić na wyjątkowo szeroką skalę.

Polscy truciciele

Jesienią 1937 r. „operacja polska" na Białorusi wchodzi na najwyższe „obroty". Prężnie działającą, liczną (44 osoby) i dobrze zakonspirowaną siatkę POW wykryto w Witebsku. Placówka ta, jeśli wierzyć śledczym z NKWD, posiadała własne laboratorium produkujące truciznę mającą posłużyć do przeprowadzenia aktów terrorystycznych. Ponadto rzekomo wykryto i częściowo skonfiskowano magazyny broni i materiałów wybuchowych. Działająca pod kierownictwem Antona Wróblewskiego, wykładowcy matematyki i radiotechniki w miejscowym gimnazjum, POW zdążyła ponoć dokonać w Witebsku licznych dywersji i podpaleń.

W Homlu sam Stalin zatwierdza propozycję białoruskiej partii przeprowadzenia pokazowego procesu w sprawie działalności lokalnej POW. Jej członkowie mieli na zlecenie swych mocodawców z Warszawy masowo zarażać ciężkimi chorobami dzieci w szkołach i przedszkolach.

W rejonie smolewickim dywersyjna grupa POW, jak pisze Jeżow w swym sprawozdaniu dla Biura Politycznego KC WKP(b), liczyła 18 osób. Jej trzon składał się z miejscowych weterynarzy, na czele z rejonowym kierownikiem służby weterynaryjnej, niejakim Pasmanikiem. Na jego polecenie lekarze szpiedzy zorganizowali w rejonie epidemie chorób zakaźnych wśród kołchozowego bydła rogatego.

Natomiast w Oświei, jeżeli wierzyć Jeżowowi, do miejscowej grupy POW należeli wojskowi ze służby ochrony granic. Do przewinień tej grupy Polaków poza standardowym szpiegostwem na rzecz II RP dopisano również pracę wywiadowczą dla III Rzeszy.

Śledczym NKWD udało się też wykryć placówkę POW w redakcji czołowej polskiej gazety Białorusi – „Orce". Rzekomy szef POW w redakcji przyznał się do członkostwa w tej organizacji od 1916 r. Oskarżył również o przynależność do placówki POW Kazimierza Bieńka, ludowego komisarza rolnictwa BSRS, pełniącego jednocześnie funkcję wiceprzewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego Białorusi. Był to najwyżej umocowany Polak w państwowych strukturach BSRS. Po aresztowaniu Bieniek stanowczo zaprzeczył jakimkolwiek związkom z POW. Jednak i jego złamały tortury. 28 lipca Jeżow wysłał Stalinowi protokół z przesłuchania Bieńka. Po zapoznaniu się z tekstem Stalin osobiście podkreślił znaczenie „wykrytego" przez NKWD spisku białoruskiej POW, która za swój najważniejszy cel uznawała stworzenie „niezależnej Republiki Białoruskiej pod polskim protektoratem". Do spisku, którym rzekomo kierował Bienek, dołączono wszystkich czołowych kierowników ówczesnej Białorusi: Aleksandra Czerwiakowa, Nikołaja Gołodieda, Wasilija Szarangowicza i innych.

Oskarżenie Kazimierza Bieńka o przynależność do „spisku" w celu stworzenia niepodległej Białorusi to absurd. Jednak właśnie absurd był zjawiskiem bardzo powszechnym w straszliwych latach wielkiego terroru. W czasie śledztwa Bieniek próbował skończyć ze sobą. Na swoje nieszczęście przeżył próbę samobójczą, ale nie pożył długo – rozstrzelano go 23 listopada 1937 r.

Odrodzone świątynie

„Operacja polska" na Białorusi powinna była się skończyć w ciągu trzech miesięcy. Jednak na prośbę kierownictwa NKWD Białorusi termin jej realizacji wielokrotnie przedłużano. Aktywność białoruskich czekistów w przeprowadzeniu „operacji polskiej" robi wrażenie. Jeżow w swym sprawozdaniu napisanym dla Stalina o pierwszym etapie operacji chwali białoruski NKWD. W ciągu pierwszych trzech tygodni aresztowano do 20 proc. wszystkich ofiar „operacji polskiej". Białoruś przodowała również w wyrokach śmierci. Na 19 991 ofiar „operacji polskiej" na Białorusi 17 772 skazano na śmierć, a jedynie 2219 otrzymało tzw. łagodne wyroki – 5 lub 10 lat lagru. Oznacza to, że prawie 90 proc. aresztowanych skazywano na śmierć.

Wydawało się, że polskość we wschodniej części dzisiejszej niepodległej Białorusi wykarczowano na zawsze, że po tak okrutnych represjach jej odrodzenie jest niemożliwe. A jednak. Wystarczy przyjrzeć się odrodzeniu się katolicyzmu, od zawsze na tych ziemiach symbolizującego polskość. Ostatni kościół zamknięto tu w czasach stalinowskich w roku 1937, a dziś świątynie katolickie są prawie wszędzie: w Mińsku (cztery kościoły), Homlu, Witebsku, Mohylewie, Bobrujsku, Borysowie i wielu, wielu innych miastach. Co ciekawe, jest ich znacznie więcej niż w okresie zaborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



Sagrada Família w 2009 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BERNARD GAGNON

Wieki XIX–XXI / Dzieło życia Antoniego Gaudíego

Biblia z kamienia



Anna Szczepańska

W lutym tego roku, po niemal półtora wieku od rozpoczęcia budowy, Sagrada Família osiągnęła swą docelową wysokość 172,5 m, stając się najwyższym kościołem świata. Jej najsłynniejszy twórca całkowicie oddał tej budowli ostatni rozdział swojego życia

Antoni Gaudí przez niemal 12 lat każdego ranka z okien swego małego mieszkania patrzył na pnące się mozolnie w górę mury barcelońskiej świątyni Sagrada Família. Mawiał, że jest to „może nie ostatnia zbudowana świątynia, lecz zapewne pierwsza z nowej generacji". Trudno się z tym nie zgodzić nawet dzisiaj, choć od czasu rozpoczęcia tej budowy minęło niemal półtora wieku.

Gaudí przejął nadzór nad projektem kościoła w 1883 r. Nieco ponad 30 lat później poświęcił się tylko jemu. Zamieszkał nawet na terenie budowy, aby na bieżąco doglądać wszystkich prac. Zginął potrącony przez tramwaj w 1926 r., w wieku 74 lat, lecz nawet gdyby dożył sędziwej starości, nie byłby w stanie doczekać końca budowy dzieła swojego życia. Gdy zginął, Sagrada Família była ukończona w zaledwie jednej czwartej.

Na rok 2026, 100 lat po śmierci Antoniego Gaudíego – człowieka, który nie tylko stworzył symbol Barcelony, lecz także sam się nim stał – zaplanowano ukończenie świątyni, przynajmniej w jej zasadniczej formie (prace wykończeniowe potrwają jeszcze jakiś czas, być może nawet do 2035 r.). W ostatnim czasie Sagrada Família zyskała kilka decydujących o jej ukończeniu elementów. Przede wszystkim dobiegła końca budowa najwyższej wieży – ku czci Jezusa Chrystusa – na której umieszczono 17-metrowy krzyż. Po 144 latach kościół zyskał tym samym swą docelową wysokość 172,5 m.

Dlaczego prace trwają tak długo? Powodem jest przede wszystkim fakt, że wszystkim kolejnym architektom przyświecał cel, aby budowa nie była finansowana przez państwo ani instytucje kościelne. Całość kosztów od początku pokrywają darowizny, a w ostatnim czasie również pieniądze pozyskane ze sprzedaży biletów wstępu. W ostatnich latach dochody z tego źródła stanowią

eprasa.pl 5ab27a795f

ponad 95 proc. przychodów bazyliki. Każdego roku Sagrada Família odwiedzana jest przez 4–4,8 mln wiernych i turystów.

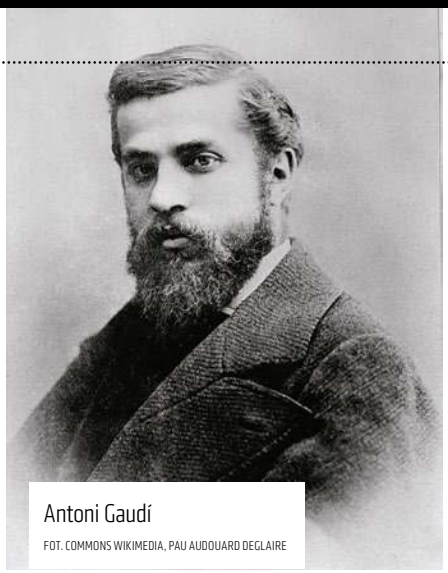
Świątynia ekspiacyjna

Templo Expiatorio de la Sagrada Família, czyli Świątynia Pokutna Świętej Rodziny, powstaje, by wynagrodzić Bogu ludzkie grzechy i odrzucanie Kościoła. Na pomysł zbudowania w Barcelonie takiej świątyni wpadł José María Bocabella, założyciel Stowarzyszenia Duchowego Czcicieli Świętego Józefa, podczas swojej wizyty w Rzymie i w Watykanie. Po powrocie do Hiszpanii zyskał dla swego pomysłu wielu zwolenników. W 1877 r. Francisco de Paula del Villar został wskazany jako architekt i stworzył projekt neogotyckiej budowli. Prace ruszyły 19 marca 1882 r., we wspomnienie św. Józefa.

Villar niezbyt długo zajmował się projektem Sagrada Família, w 1883 r. popadł w konflikt z innym architektem, Joanem Martorellem, który doradzał pomysłodawcy projektu, Josepowi Marii Bocabelli. Villar zrezygnował z dalszych prac. Przejęcie pałeczki zaproponowano Martorellowi, ale ten odmówił. Zarekomendował natomiast młodego, obiecującego architekta, który notabene współpracował wcześniej z Villarem.

Antoni Gaudí dokonał w projekcie prawdziwej rewolucji. Z pracy Villara pozostała tylko krypta. Cała reszta została od podstaw przeprojektowana. „Metoda Gaudíego opierała się na próbach i błędach, dlatego modele były dla niego bardzo ważne, nawet ważniejsze od planów. Zazwyczaj zakładał swój warsztat na miejscu budowy i eksperymentował z modelami w różnej skali, testując kształty i struktury, które później wykorzystywał w swoich projektach. To samo zrobił w Sagrada Família" – czytamy na stronie internetowej barcelońskiej bazyliki. Od niemal pierwszych chwil zarzucano Gaudíemu zbyt powolne tempo prac. Zwykł wówczas odpowiadać, że jego klientowi się nie spieszy...

W tym czasie Gaudí przyjmował liczne zlecenia. Pracował nad wieloma projektami na terenie Barcelony i w całej Katalonii, z którą był bardzo związany (po katalońsku mówił nawet w obecności króla Hiszpanii Alfonsa XIII, gdy ten odwiedził Sagrada Família). Aby zdążyć ze wszystkimi zadaniami, zaczął współpracować z innymi architektami, spośród których niektórzy zostali jego wiernymi uczniami, naśladując jego styl.



Antoni Gaudí

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAU AUDOUARD DEGLAIRE

W 1912 r. zmarła siostrzenica Gaudíego, ostatni bliski członek jego rodziny. Wcześniej architekt stracił matkę, rodzeństwo i ojca. Trzy lata później odeszli jego najlepsi przyjaciele. Gaudí rzekł wówczas: „Moi dobrzy przyjaciele nie żyją. Nie mam już rodziny, klientów, majątku, niczego. Teraz mogę całkowicie poświęcić się Kościołowi". Zrobił tak, jak powiedział. W 1915 r. zamieszkał na terenie budowy Sagrada Família. Projektował, tworzył modele i zbierał jałmużnę, aby móc dalej kontynuować prace nad swym opus magnum. Wcześniej zaprojektował i wzniósł szkołę dla dzieci robotników pracujących przy świątyni. Budynek istnieje do dziś (choć został przeniesiony) i znajduje się niedaleko kościoła.

7 czerwca 1926 r. Gaudí wpadł podczas spaceru pod tramwaj. Nie od razu udzielono mu pomocy, gdyż przechodnie myśleli, że to żebrak (pod koniec życia architekt nie dbał o swój wygląd, nosił długą brodę i stare ubrania). W końcu jacyś dobrzy ludzie zawieźli go taksówką do szpitala. Następnego dnia został rozpoznany. Jego stan był już jednak bardzo zły i nie dało się go uratować. Jego pogrzeb odbył się w Kaplicy Matki Boskiej z Góry Karmel w krypcie Sagrada Família. Architekt został pochowany na terenie świątyni, zgodnie ze swoim życzeniem. Na jego nagrobku znajduje się inskrypcja:

„Antonio Gaudí Cornet z Reus. W wieku 74 lat, człowiek o wzorowym życiu i niezwykły rzemieślnik, autor tego wspaniałego kościoła, zmarł pobożnie w Barcelonie 10 czerwca 1926 r. Odtąd prochy tak wielkiego człowieka oczekują na zmartwychwstanie. Niech spoczywa w pokoju".

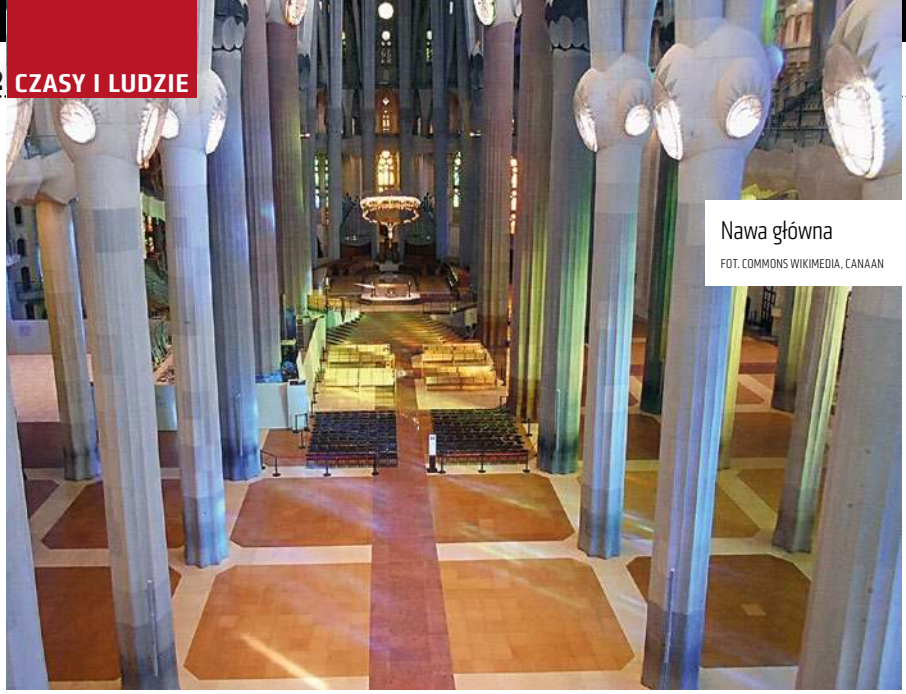
Gaudí w ostatnich latach życia w szczególny sposób poświęcił się Bogu, wyrażając swoje wielkie oddanie poprzez architekturę. 14 kwietnia 2025 r. został ogłoszony Czcigodnym Sługą Bożym przez papieża Franciszka, który



Sagrada Família. Sklepienie nawy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SBA73 FROM SABADELL, CATALUNYA

eprasa.pl 5ab27a795f



Nawa główna

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CANAAN

uznał heroiczność jego cnót. Proces beatyfikacyjny architekta został otwarty w archidiecezji barcelońskiej w 2003 r. i wciąż jest prowadzony.

W duchu mistrza

Po śmierci Antoniego Gaudíego nadzór nad całością prac przejął Domènec Sugrañes, z którym Gaudí współpracował od wielu lat. Sugrañes nadzorował budowę Sagrada Família do 1936 r., do czasu wybuchu wojny domowej w Hiszpanii. Konflikt zastopował realizację przedsięwzięcia na kilka lat, a ponadto spowodował znaczące szkody – walki, które toczyły się także w Barcelonie, nie oszczędziły placu budowy świątyni. Zdemolowano także pracownię Gaudíego, gdzie znajdowały się bezcenne makiety kościoła, które pozostawił główny architekt. Była to ogromna strata dla budowli i wielki problem dla kolejnych architektów, którzy musieli odtwarzać pomysły Gaudíego z fragmentów cudem ocalałych modeli oraz z zachowanych zdjęć, na których je uwieczniono. Gaudí miał w zwyczaju tworzenie modeli i preferował tę metodę pracy od rysowania szczegółowych planów swych projektów.

W latach 40. budowę kościoła wznowiono. Kolejnymi kierownikami projektu byli m.in.: Francesc Quintana, Isidre Puig Boada, Lluís Bonet, Francesc Cardoner i Jordi Bonet (syn Lluísa). Ten ostatni w latach 80. zaczął jako pierwszy stosować techniki komputerowe przy projektowaniu kościoła oraz wdrożył nowoczesne metody budowy, co przyspieszyło prace i pozwoliło lepiej zrealizować zamierzenia Gaudíego. Od 2012 r. szefem budowy jest uczeń Boneta, Jordi Faulí, który przy Sagrada Família pracuje już od 1990 r., czyli od studiów.

Budowa świątyni przyspieszyła dopiero 100 lat po jej rozpoczęciu. Było to możliwe dzięki komputerom oraz nowym metodom obróbki kamienia (obecnie stosuje się np. technologię projektowania wspomaganego komputerowo, co umożliwia kształtowanie kamienia za pomocą frezarki).

Po ukończeniu nawy głównej skupiono się na sklepieniach apsydy (wybudowanej jeszcze za czasów Gaudíego) i transeptu. Następnie zbudowano konstrukcję wsporczą najwyższej Wieży Jezusa Chrystusa, a także ostatecznie zamknięto główną fasadę nawą, która otrzymała nazwę (nadaną przez Gaudíego) Fasady Chwały. Prace szły płynnie i stosunkowo szybko względem poprzednich lat, lecz nawet mimo tego do 2010 r. wykonano dopiero połowę zaplanowanych robót. Kościół nadawał się już jednak do przyjęcia wiernych i odprawiania nabożeństw. 7 listopada 2010 r. Sagrada Família została konsekrowana przez papieża Benedykta XVI, który nadał jej status bazyliki mniejszej. W liturgii wzięło udział ponad 50 tys. wiernych, 100 biskupów i 300 księży. Od tego czasu w murach świątyni regularnie sprawowane są Msze Święte.

W październiku 2015 r. ogłoszono, że budowa ukończona jest niemal w trzech czwartych. Ostatnią fazą miało być wzniesienie sześciu wież i zwieńczenie ich rzeźbami symbolizującymi ewangelistów, wielką gwiazdą i ogromnym krzyżem. 29 listopada 2021 r. na Wieży Najświętszej Marii Panny zainstalowano 12-ramienną, podświetlaną kryształową gwiazdę. W tym samym roku ukończono wieże, które zwieńczone są figurami przedstawiającymi świętych ewangelistów. W lutym 2026 r. na szczycie Wieży Jezusa Chrystusa zamieszczono ogromny krzyż.

Wiele wskazuje na to, że główne prace zostaną ukończone w 100-lecie śmierci Antoniego Gaudíego, nawet wbrew różnym perturbacjom. W 2018 r. władze Barcelony uznały bowiem, że kościół… nie ma pozwolenia na budowę i zażądały uregulowania tej kwestii. Co prawda, Gaudí uzyskał pozwolenie w 1885 r., lecz działka, na której zaczęto budować kościół, nie leżała wtedy w granicach Barcelony. W wyniku ugody między miastem z fundacją Junta Constructora de la Sagrada Família zajmującą się budową świątyni ustalono, że fundacja wypłaci na rzecz Barcelony 36 mln euro zaległych opłat w ciągu kolejnych 10 lat (władze Barcelony zapowiedziały, że przeznaczą te pieniądze na poprawę infrastruktury wokół bazyliki). Prace wstrzymane zostały ponadto z powodu pandemii COVID-19. Na szczęście trudności zostały dość szybko pokonane i już w październiku 2020 r. roboty na nowo ruszyły.

Inna niż wszystkie

Sagrada Família została wzniesiona na planie krzyża. Kościół ma pięć naw. Sklepienie centralne ma wysokość 60 m, nawa główna – 45 m, a sklepienia boczne 30 m.

Oryginalny projekt Antoniego Gaudíego zakładał budowę 18 iglic poświęconych w kolejności: dwunastu apostołom, Matce Bożej, czterem ewangelistom i Chrystusowi. Centralną iglicę Jezusa Chrystusa miał zwieńczyć gigantyczny krzyż. Iglice ewangelistów zakończone są rzeźbami przedstawiającymi ich w sposób symboliczny. Są to: skrzydlaty byk (św. Łukasz), Anioł (św. Mateusz), orzeł (św. Jan) i skrzydlaty lew (św. Marek).

Gaudí traktował swoje dzieło jako „Biblię wykutą w kamieniu”, w której każdy detal architektoniczny niesie znaczenie teologiczne. W całym projek-

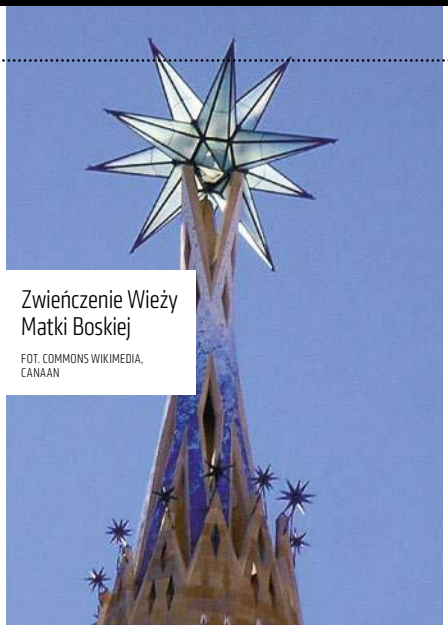
eprasa.pl 5ab27a795f

cie nieustannie inspirował się naturą. Kolumny, które podtrzymują sklepienia, rozszerzają się ku górze, przypominając pnie drzew, sklepienia – ich korony. Światło, które przenika przez witraże, daje poczucie obecności Boga. Kapitele kolumn zwieńczone są motywami roślinnymi (pierwotnie miały to być „zwykłe" kolumny korynckie). Gaudí od początku unikał w swym projekcie kątów prostych (to zresztą bardzo charakterystyczne dla jego dzieł). Wszystkie powierzchnie mają zaokrąglone kształty, tworząc hiperboloidy, paraboloidy, helikoidy, konoidy, które zresztą obserwował w naturze, np. w kształcie łodyg traw czy w muszlach.

Krypta, najstarsza część Sagrada Família, zaprojektowana jeszcze przez Francisca de Paula del Villara, została ukończona po jego odejściu, w 1891 r. Gaudí zachował ten projekt, podnosząc jedynie sklepienie dla lepszego oświetlenia. W środku wykonano centralną kaplicę z ołtarzem głównym oraz siedem mniejszych kaplic poświęconych Świętej Rodzinie.

Apsyda to druga najstarsza części bazyliki. Poświęcona została Najświętszej Maryi Pannie. Zajmuje ona wschodnią część budowli między fasadami Narodzenia Pańskiego i Męki Pańskiej. Otoczona jest przez krużganek, w którego centrum znajduje się kaplica Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Siedem kaplic w apsydzie poświęconych jest siedmiu radościom i boleściom św. Józefa. Na jej przyporach znajdują się figury świętych, założycieli zakonów: św. Klary, św. Benedykta i św. Franciszka z Asyżu.

Kościół posiada trzy wielkie fasady: Fasadę Narodzenia Pańskiego od wschodu, Fasadę Męki Pańskiej od zachodu i Fasadę Chwały od południa. Fasada Narodzenia Pańskiego została zbudowana przed 1935 r. i uważa się ją za element świątyni, gdzie widać największy wpływ Gaudíego. Jest ona najstarsza i, zgodnie z projektem Gaudíego, jest najbardziej bogato zdobiona. Wykonano na niej trzy portale: Portal Miłości poświęcony przyjściu na świat Jezusa Chrystusa, Portal Nadziei ku czci św. Józefa oraz Portal Wiary na cześć Matki Bożej.



Zwieńczenie Wieży Matki Boskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CANAAN

Fasady Męki Pańskiej oraz Chwały zostały zaprojektowane przez Gaudíego, który jednak nie miał szans doczekać ich ukończenia. Wiedział o tym, dlatego pozostawił swoje koncepcje, które realizowali jego następcy. Fasada Męki Pańskiej jest przeciwieństwem Fasady Narodzenia. Jej budowa zaczęła się w 1954 r. Wykonana została jedynie z surowego kamienia. Nie wszystkim taki pomysł się spodobał, lecz ostatecznie uznano, że surowość tej części świątyni odpowiada tematyce, sprzyjając zadumie nad tajemnicą Zbawienia. Ascetycznie wyglądające geometryczne rzeźby na fasadzie wykonał Josep Maria Subirachs. Na drzwiach Fasady Męki Pańskiej znajdują się fragmenty Pisma Świętego opisujące Mękę Jezusa.



Scena „Ecce Homo" na fasadzie

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, CANAAN

Fasada Chwały budowana jest od 2002 r. To największa z elewacji bazyliki, która stanie się głównym monumentalnym wejściem do świątyni. Przedstawione zostaną na niej droga człowieka do nieba, powstanie zmarłych, sąd ostateczny, wniebowzięcie oraz ostateczny triumf Jezusa nad światem. Fasadę Chwały mają ozdobić słowa „Credo", natomiast główne drzwi będą przedstawiały całą modlitwę „Ojcze Nasz" w języku katalońskim.

Za długie schody

Z budową ostatniej fasady wiąże się jednak pewien problem. W zamierzeniu Antoniego Gaudíego przed Fasadą Chwały powinny powstać prowadzące do świątyni wielkie schody o długości 60 m. Ich budowa wymagałoby jednak wyburzenia części okolicznych domów. Fundacja jest zdania, że jest to element konieczny, aby bazylika wyglądała tak, jak wymarzył to sobie Gaudí. Władze Barcelony deklarują współpracę w tym zakresie, proponując mieszkańcom przeniesienie się gdzie indziej, lecz nie brakuje także głosów, że tak duże schody są niepotrzebne, a poza tym nie ma żadnych dowodów na to, że Gaudí rzeczywiście tak wyobrażał sobie wejście do świątyni. Na ten moment nie widać rozwiązania tego problemu. Jeżeli ostatecznie doszłoby do budowy schodów, to nie powstaną one wcześniej niż w pierwszej połowie lat 30. XXI w.

Najważniejsze jest to, że Sagrada Família, tak jak zamierzał Gaudi, nie przewyższy wzgórza Montjuïc, mierzącego 173 m n.p.m. Architekt zawsze podkreślał, że świątynia, jako dzieło człowieka, nie może wznosić się ponad dzieło Boga.

Budowniczowie bazyliki mają nadzieję, że w 100. rocznicę śmierci Gaudíego do Barcelony przybędzie papież Leon XIV, do którego wystosowano już zaproszenie. Możliwe, że Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą w Sagrada Família w intencji twórcy świątyni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



Piotr Semka

Ta biografia to fascynująca opowieść o kapłanie bardzo szczególnego pokolenia wychowywanego do wielkości. Bez krwawego świadectwa tej generacji polski katolicyzm w okresie powojennym miałby nieporównywalnie mniejszy autorytet społeczny



OSTATNIE ZNANE ZDJĘCIE KS. HENRYKA HLEBOWICZA WYKONANE DO SOWIECKIEGO PASZPORTU. FOT. ZBIORY ADAMA HLEBOWICZA

1904–1941 / Z krzyżem przeciw totalitaryzmom

Święty bolszewik z Wilna

W dniu 13 czerwca 1999 r. Jan Paweł II podczas uroczystej Mszy św. w Warszawie beatyfikował 108 polskich męczenników zamordowanych podczas drugiej wojny światowej przez okupantów z powodu trwania przy wierze. W tej grupie znalazło się 3 biskupów, 51 kapłanów diecezjalnych, 26 zakonników, 3 kleryków, 7 braci zakonnych, 8 sióstr zakonnych i 9 osób świeckich. Oczywiste było, że coraz bardziej zbliżający się do kresu życia polski papież chciał wypełnić swoisty testament swojego pokolenia.

Ale ta zbiorowa beatyfikacja miała też swoje wady. W tak dużej grupie ludzi Kościoła „stopiły" się bowiem najróżniejsze, niekiedy niezwykle ciekawe życiorysy, które łączył jeden wspólny mianownik: krwawa śmierć.

W Polsce są tylko dwie parafie pod wezwaniem tych zbiorowych patronów – w Powierciu i w Malborku. A przecież wśród tych ofiar kaźni za wiarę są postacie, na temat których można napisać trzymające w napięciu arcydzieła. I właśnie dlatego Adam Hlebowicz podjął trud wyciągnięcia z tego tłumu męczenników jednego kapłana, który swym życiem symbolizował los polskich Kresów w czasach II RP i w pierwszych latach wojny. Postać ks. Henryka Hlebowicza

eprasa.pl 5ab27a795f



Ksiądz Henryk Hlebowicz podczas komunii w rodzinie Swianiewiczów

FOT. ZBIORY RODZINNE MARII SWIANIEWICZ-NAGIĘĆ

jest jakby żywcem wyjęta z okupacyjnych książek Józefa Mackiewicza.

Skąd się wziął zaskakujący tytuł pracy Adama Hlebowicza? „Święty bolszewik" przylgnął do młodego kapłana z kilku powodów. Po pierwsze, przybył do Polski z dalekiego rosyjskiego Orenburga dopiero w 1921 r., kiedy jego rodzina zdołała uzyskać zgodę władz sowieckich na wyjazd do ojczyzny. Po drugie, bardzo długo sam ks. Hlebowicz żartobliwie akceptował takie określenie z racji swej wrażliwości społecznej i przekonania, że jedyną odpowiedzią na propagandę komunistyczną, która sączyła się zza wschodniej granicy w okresie międzywojennym, jest dostrzeganie i rozwiązywanie problemu ludzkiej nędzy.

Tak komentował to sam bohater książki w liście z 17 stycznia 1929 r., pisanym w trakcie studiów w Rzymie do s. Katarzyny Steinberg ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Laskach pod Warszawą: „Rzadko kiedy piszę listy poważne i to jest często przyczyną, że mnie źle rozumieją i żart lub głupi dowcip biorą za prawdę. M.in. tak samo było z terminem »bolszewik«, »bolszewicki«, który się ze mną wiąże. Pochodzenie tego terminu jest takie: Po przyjeździe z Rosji ks. rektor z seminarium w Wilnie nazwał mnie bolszewikiem – dlatego, że stamtąd wróciłem [...]. Nie było wówczas mowy o jakimś kierunku duchowym lub jakimś poglądzie [...]. Powoli, już w Lublinie, gdy trochę głębiej zacząłem myśleć nad pewnymi rzeczami, gdy mnie nazywali bolszewikiem, robiłem z tego dowcip, chwaląc pewne dodatnie strony bolszewizmu. Robiłem to raczej dla żartu niż z przekonania".

Te żarty nabierają jednak bardziej znaczącego wymiaru, gdy analizując życie ks. Hlebowicza, widzimy, jak bardzo czerwona gwiazda z sierpem i młotem rzucała cień na północną część polskich kresów, tereny, na których kapłan spędził większość swojej posługi.



FOT. ZBIORY ADAMA HLEBOWICZA

Nad Uralem

Na pewno czytelnicy będą podejrzewali, że autor książki napisał biografię swego przodka. Nic bardziej mylnego. Jeśli bohater książki jest spokrewniony z jej autorem, to w bardzo odległy sposób. Tym, co zadecydowało o podjęciu tematu, jest nieprawdopodobnie ciekawa sylwetka kapłana, który własnym życiem poświadczył w czasie wojny ideały, o których głośno mówił przed 1939 r.

Przyszły kandydat na ołtarze urodził się 1 lipca 1904 r. w Grodnie w rodzinie urzędnika Franciszka Hlebowicza. W 1912 r. głowa rodziny odmówiła przyjęcia prawosławia, a przecież były to czasy, gdy do takiego kroku przymuszany był każdy urzędnik Imperium Rosyjskiego.

Ojciec dodatkowo podejrzewany był przez swoich zwierzchników o zaangażowanie w działalność niepodległościową. W związku z tym w 1912 r. Franciszek Hlebowicz otrzymał wydany przez gubernatora grodzieńskiego nakaz wyjazdu wraz z rodziną na trzy lata do Orenburga nad rzeką Ural. Wraz z ojcem w długą drogę wyruszyć miał ośmioletni już wówczas Henryk. Po przybyciu do tego dość zapuszczonego fragmentu cesarstwa rosyjskiego ojciec znalazł zatrudnienie w Chłopskim Banku Ziemskim. Nie była to wówczas zbyt duża metropolia. W 1910 r. Orenburg liczył sobie 135 tys. mieszkańców.

Polaków przed pierwszą wojną światową żyło tam stosunkowo niewielu – od 1 do 2 tys. Potem dotarła do Orenburga grupa uchodźców z Królestwa Polskiego, która spowodowała, że Polonia rozrosła się do 5,5 tys. osób. To, że Orenburg znajdował się na prowincji, nie oznaczało, że miał słabe szkoły. To właśnie tamtejsze placówki edukacyjne pomogły uformować intelekt młodego Henryka, który pozwolił mu po latach błyszczeć na studiach.

W 1916 r. Henryk Hlebowicz wstępuje do gimnazjalnej drużyny skautów. Więź z polskością pomagał mu utrzymać polski nauczyciel miejscowego gimnazjum Adolf Porfianowicz. Szkolną miłością była z kolei Rosjanka Kira Kormilcewa – warto zapamiętać to nazwisko, bo pośrednio przyczyni się ona do decydującego zwrotu w losach bohatera książki.

To stosunkowo małe, ale dość bogate kupieckie miasto było przedmiotem walk pomiędzy siłami rewolucji a oddziałami występującymi przeciwko władzy Lenina. W 1918 r. Orenburg kilkukrotnie przechodził z rąk do rąk. Wreszcie 22 stycznia 1919 r. bolszewicy zdobyli władzę nad miastem i już nigdy jej nie oddali. Przez niemal trzy długie lata rodzina Hlebowiczów musiała żyć pod władzą czerwonych komisarzy. Było to tym bardziej dotkliwe, że Hlebowiczowie od samego początku rewolucji chcieli wyjechać z Orenburga i wrócić do ojczyzny. Ta długa wyprawa stała się jednak możliwa dopiero po zawarciu traktatu ryskiego między Sowietami a odrodzoną Rzecząpospolitą. Między marcem a grudniem 1921 r. z Orenburga wyjechało do Polski aż 2320 osób. Rodzina Hlebowiczów wróciła do rodzinnego Grodna 22 sierpnia 1921 r.

Siedemnastoletni Henryk starał się o przyjęcie na Politechnikę Warszawską. Marzył o karierze inżyniera górnictwa. Ale – co zastanawiające – właśnie w okresie, gdy zaczął się przygotowywać do egzaminów na uczelnię, z Orenburga nadeszła tragiczna wiadomość – jego ukochana Kira zmarła na tyfus. Wszystko wskazuje na to, że Henryk próbował ściągnąć ją do Polski, ale to oczywiście tylko hipoteza. Faktem jest natomiast, że po otrzymaniu informacji o śmierci Rosjanki młody Henryk ku zdumieniu bliskich

eprasa.pl 5ab27a795f

ogłosił, że wybiera stan duchowny. Rodzice nie byli zachwyceni tą decyzją, ale ówczesne obyczaje zabraniały stawać na drodze młodego człowieka, który chciał służyć Bogu. Już we wrześniu 1921 r., czyli tuż po powrocie z Rosji, młody Henryk Hlebowicz złożył swoje papiery w seminarium duchownym w Wilnie.

„Ponad siły"

„Henryk musiał wiedzą i postawą religijną bardzo szybko przekonać do siebie wykładowców oraz przełożonych, skoro w końcu 1922 roku, po zaledwie rocznym pobycie w seminarium, znalazł się już na czwartym roku jako najmłodszy wśród kolegów" – pisze Adam Hlebowicz.

W gronie studentów, z którymi rozpoczynał naukę w wileńskim seminarium, będzie później wielu ofiarnych kapłanów i męczenników, m.in. ks. Bolesław Bazewicz zamordowany przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej w Nowych Święcianach, ks. Stanisław Bohatkiewicz, który będzie więziony przez NKWD w łagrach, powojenny przyszły biskup pomocniczy diecezji łomżyńskiej Aleksander Mościcki oraz dwaj kapłani, którzy pozostaną w granicach ZSRS po wojnie i będą posługiwać wiernym na terenie sowieckiej Białorusi – ks. Czesław Stein i ks. Kazimierz Walentynowicz.

Starszy o 11 lat ks. Walerian Meysztowicz, który uzyska potem w Rzymie godność kanonika Bazyliki św. Piotra i protonotariusza apostolskiego, tak wspominał znacznie młodszego od siebie ks. Hlebowicza: „Był niedużego wzrostu, szczupły, jasnowłosy, jasnooki, okrągłej twarzy, wysokiego czoła [...]. Był raczej słabego zdrowia, wątłej budowy, obawiano się stale o jego płuca; ogromna energia nie pozwalała mu na wypoczynek. Pracował zawsze z gorącym zapałem, nie zważając na zmęczenie, ze wszystkich sił i ponad siły, pracował z radością".

Po ukończeniu seminarium młody ksiądz podjął studia w Lublinie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Wydziale Teologii. Uzupełnieniem edukacji były kolejne studia w Rzymie, w dominikańskim Papieskim Instytucie Międzynarodowym Angelicum. Wszędzie tam zdobywał swoimi zdolnościami intelektualnymi szacunek i uznanie. Nic dziwnego, że po powrocie do Polski biskup wileński Romuald Jałbrzykowski skłonił ks. Hlebowicza do podjęcia pracy wykładowcy na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

I tutaj rozpoczęła się ogromna przygoda ks. Henryka z duszpasterstwem akademickim. Młody kapłan szybko zaczął wywierać wręcz magnetyczny wpływ na studentów. Odrodził środowisko młodzieżowych organizacji katolickich, gromadząc wokół siebie całą elitę młodych katolików z Wilna. Był najmłodszym profesorem USB, jedną z najciekawszych osobowości młodej generacji księży w II Rzeczypospolitej. Był nowoczesny, jeżeli chodzi o formy docierania do odbiorców Dobrej Nowiny.

„Kapelan komsomolców"

Jedną z najciekawszych propozycji rozgłośni Polskiego Radia w Wilnie były dyskusje nadawane na żywo z prywatnych mieszkań. Pewnego razu przeprowadzono rozmowę o bardzo drastycznym temacie – o samobójstwach. W dyskusji wzięli udział prof. Sergiusz Schilling-Siengalewicz, młody lewicujący społecznik i pisarz o wyraźnych już wówczas inklinacjach marksistowskich Stefan Jędrychowski oraz właśnie ks. Henryk Hlebowicz, jako reprezentant katolickiego spojrzenia na ten problem. Duchowny był zdecydowanym zwycięzcą tej debaty, skutecznie rozbijając demagogię Jędrychowskiego powtarzającego hasła o prawie człowieka do rozporządzania swoim życiem.

W kręgu oddziaływania ks. Hlebowicza będą późniejsi wybitni naukowcy, politycy i pisarze, m.in. prof. Irena Sławińska z KUL, polityk koła Znak Stanisław Stomma czy wreszcie pisarz Antoni Gołubiew.

Swoistą próbą charakteru była dla ks. Hlebowicza rozprawa sądowa z 1934 r., w której przed Temidą stanęła część jego młodych wychowanków ze Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie", którzy pod wpływem haseł o wrażliwości społecznej nawiązali współpracę ze środowiskami komunistycznymi.

Ten okres w życiu ks. Hlebowicza, gdy utrzymywał on kontakt m.in. z liderem owych katolickich postępowców Henrykiem Dembińskim, ściągnął na duchownego oskarżenia, że stał się „kapelanem" komsomolców. Gdy w końcu w 1937 r. doszło do procesu w sprawie działalności komunistycznej, na ławie oskarżonych znalazł się m.in. Dembiński. Ksiądz Hlebowicz zeznawał przed sądem, starając się znajdować słowa zrozumienia dla wrażliwości społecznej młodego człowieka. Kapłan, wyjaśniając motywy swojego uczestnictwa w procesie, pisał: „Ja nie bronię komunizmu, ja bronię człowieka, jego prawa do wolnej decyzji. A czy ktoś jest komunistą czy kanonikiem kapituły lub profesorem wydziału teologicznego, to nie moja rzecz [...]. Po wtóre bronię wartości, bo skoro młodzież ta opowiada się po stronie nawet komunizmu, czego jeszcze nie udowodniono ostatecznie – to widocznie w nas tkwi ku temu powód od komunizmu gorszy".

Być może cały ten incydent skłonił władze kościelne w Wilnie do odsunięcia księdza od pracy z młodzieżą akademicką i skierowania go do pracy diecezjalnej w Trokach koło Wilna. W ciągu ostatniego roku przed wojną stan zdrowia ks. Hlebowicza tak bardzo się pogorszył, że



Ksiądz Henryk Hlebowicz podczas dyskusji w studiu Polskiego Radia w Wilnie

FOT. ARCHIWUM SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA W LASKACH

eprasa.pl 5ab27a795f

postanowił on połączyć pracę nauczyciela religii z leczeniem. Tym sposobem przeniósł się do Rabki, gdzie uczył w pobliskiej prywatnej szkole św. Teresy z Lisieux.

W drodze na ofiarowanie

Wilno nie było miejscem, które w przypadku wojny mogłoby pozostać oazą spokoju. Czy ks. Hlebowicz przeczuwał, że nadchodzi kataklizm? Faktem jest, że 15 lipca 1939 r., tuż przed wybuchem wojny, sporządził w Grodnie testament na wypadek swojej śmierci: „Cała moja biblioteka ma być oddana do seminarium duchownego w Wilnie. Na moim pogrzebie żadnych przemówień ani w kościele, ani na cmentarzu nie życzę [...]. Grobu nie murować, ale zasypać ziemią. Trumna ma być z desek zwykłych niemalowana".

W pierwszych dniach września ks. Hlebowicz przybył do rodzinnego Grodna. Między 20 a 22 września mieszkańcy miasta bohatersko bronili się przed wkraczającą armią sowiecką. Brat księdza, Brunon, był jednym z ważniejszych dowódców ochotników walczących z najeźdźcami. Gdy nieliczni polscy obrońcy Grodna zaczęli się 21 września wycofywać z miasta, ks. Hlebowicz dołączył do żołnierzy, uważając, że musi być wsparciem duchowym dla zmęczonego wojska.

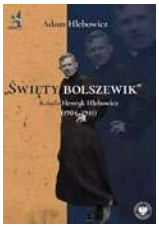
Następnie kapłan przeniósł się do Wilna, które znalazło się w obrębie państwa litewskiego. Szybko podjął decyzję o rozpoczęciu studiów medycznych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Jak pisał w liście skierowanym na ręce dziekana Wydziału Lekarskiego USB: „Jestem księdzem, przez sześć lat byłem zastępcą profesora na Wydziale Teologicznym USB. W obecnej sytuacji ogólnej, żeby móc łatwiej pełnić swoje powołanie, chciałbym mieć ukończoną medycynę".

Równocześnie ks. Hlebowicz włącza się w działania konspiracyjnej organizacji niepodległościowej Akcja Ludowa, która gromadzi elity polityczne Wilna zbliżone do przedwojennej PPS. Wiktor Trościanko, wileński konspirator, wspominał po latach, że pytał duchownego o sposoby patriotycznego oddziaływania na społeczeństwo Wilna. Przytacza swoją rozmowę z kapłanem: „Bywałem w mieszkaniu księdza Henryka. Schodzili się tam dawni przyjaciele z czasów studenckich.

(Ksiądz spytał): – Zechce pan teraz pójść do robotników z referatami?

(Odpowiedziałem:) – A ksiądz nie boi się mnie właśnie wysyłać?

– Nie, teraz tacy tam muszą pójść".



ADAM HLEBOWICZ
„»ŚWIĘTY BOLSZEWIK«. KSIĄDZ HENRYK HLEBOWICZ (1904–1941)"
IPN

Wileński kapłan nie gryzł się w język, wygłaszając odważne kazania w wileńskich kościołach. Krytykował w nich wywózki Polaków z Wilna przeprowadzane przez sowieckie władze. 15 czerwca 1941 r. w kazaniu w Kościele św. Jerzego mówił: „Takiego barbarzyństwa nie znają jeszcze dzieje ludzkości. Bo zrozumiałym byłoby, gdybym ja gnił w więzieniu, gdyby zabrano mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Ale na Boga, komu potrzebna jest samotna 70-letnia staruszka? Co złego może komuś zrobić? Co zawiniło roczne dziecię, jaką i komu wyrządziło krzywdę? Panie, odpuść im, bo naprawdę nie wiedzą, co czynią".

W niektórych swoich homiliach ks. Hlebowicz jawi się jako wielki poprzednik ks. Jerzego Popiełuszki. Tak brzmiał fragment kazania z 6 czerwca 1941 r.: „Musimy przeciw nienawiści walczyć miłością, ale miłość ta musi przeniknąć nas zupełnie, do głębi, do najskrytszej, do ostatniej komórki naszej duszy [...]. Musimy pamiętać, że niczego z naszych zadań nie wolno nam przenosić gdzieś w przyszłość – musimy je spełniać już teraz".

Mimo odważnych kazań ksiądz szczęśliwie dotrwał bez represji do ucieczki Sowietów z Wilna, których wygonił wkraczający Wehrmacht. W tamtym okresie ks. Hlebowicz postanowił wyruszyć z misją ponownej ewangelizacji do parafii, które trafiły po 1921 r. pod władanie sowieckiej Białorusi. Wierni, którzy wcześniej od wielu lat nie widzieli katolickiego kapłana, witali ks. Hlebowicza entuzjastycznie. Arcybiskup Jałbrzykowski polecił duchownemu odrodzenie trzech ośrodków parafialnych: Okołowa, Chotajewicz i Korzenia w okolicach Borysowa.

Szybko wzbudziło to niechęć białoruskiej policji pomocniczej, która działała pod auspicjami niemieckimi i była zdecydowanie wroga wobec powrotu polskich kapłanów. 6 listopada 1941 r. w mieszkaniu duchownego białoruska policja przeprowadziła rewizję. Następnego dnia ks. Hlebowicz został zatrzymany i przewieziony do aresztu w Borysowie. 9 listopada wywieziono go stamtąd w nieznanym kierunku.

Wszystko wskazuje, że został rozstrzelany przez niemiecką policję w lesie koło Borysowa. Nie sposób było ustalić, gdzie zakopano ciało męczennika.

Patron na trudne czasy

Okres dwudziestolecia międzywojennego, jak wynika z książki A. Hlebowicza, był czasem, kiedy radość z odzyskanej niepodległości mieszała się z przeczuciem, że pokolenie, które zachłysnęło się wolnością, czekać będzie kolejny wymagający egzamin z wierności wyznawanym zasadom. Bohater tej książki nie krył po wybuchu wojny, że spodziewa się śmierci i będzie traktować ją jako zadośćuczynienie za rozpanoszenie się zła, które symbolizowali hitlerowcy i komuniści.

Ksiądz Hlebowicz wychował całe pokolenie ludzi, którzy po wojnie tworzyli duchowe oblicze polskiego katolicyzmu. Zasługą książki Adama Hlebowicza jest doskonałe oddanie swoistej gorączki religijnej ówczesnego młodego pokolenia, którego ten kapłan był przewodnikiem. A był przecież pasterzem niewiele starszym od swoich „owieczek". To, jak ten prosty chłopak z Grodna wywierał tak hipnotyczny wpływ na młodzież, która trafiała pod jego skrzydła, na zawsze pozostanie już tajemnicą. Aldona Łabanowska-Pieciukiewicz, jedna ze studentek, wspominała po latach: „Dla środowiska akademickiego w Wilnie lat 30. ks. Hlebowicz był postacią epokową [...]. Jak to się stało, że mimo tak młodego wieku miał zrozumienie człowieka tak dojrzałe, a przy tym wielkoduszne?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



Robert H. Jackson, oskarżyciel z ramienia Stanów Zjednoczonych Ameryki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RAYMOND D'ADDARIO, VON-NUERNBERG-NACH-DEN-HAAG.DE

XX w. / Sąd nad przegranymi

Norymberska farsa



Arkadiusz Karbowiak

Winston Churchill przekonywał, że niemieckich zbrodniarzy trzeba najzwyczajniej rozstrzelać. Brytyjski przywódca doskonale bowiem rozumiał, że ich proces będzie kpiną z prawa

Wraz z końcem drugiej wojny światowej palącym tematem stało się wymierzenie sprawiedliwości sprawcom masowych zbrodni na jeńcach wojennych i ludności cywilnej. Państwem ponoszącym największą odpowiedzialność za takie czyny, szczególnie biorąc pod uwagę ich skalę, była III Rzesza. A ponieważ Niemcy wojnę przegrali, to na nich głównie skupiły się powojenne rozliczenia zainicjowane przez zwycięzców.

Jak się okazało, każde z mocarstw miało w tej materii własny pogląd. Departament Wojny USA w osobie sekretarza Henry'ego Stimsona optował za przeprowadzeniem procesów sądowych zbrodniarzy wojennych. Ku takiemu rozwiązaniu skłaniał się również sędzia Sądu Najwyższego USA i późniejszy norymberski prokurator Robert H. Jackson. Początkowo prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt był wobec tej koncepcji sceptyczny. Człowiekiem, który namawiał prezydenta do poparcia innej opcji, był mający żydowskie pochodzenie sekretarz skarbu USA Henry Morgenthau. Według niego odpowiedzialnych za zbrodnie czołowych dygnitarzy III Rzeszy należało najzwyczajniej pozbawić życia bez sądu.

Podobną opinię wyraził senator William Fulbright z Arkansas, stwierdzając, że nie istnieją przepisy prawne, które mogłyby znaleźć zastosowanie w przypadku procesu przywódców III Rzeszy. Dlatego, jak sugerował senator, niemieckich przywódców należało natychmiast stracić na mocy decyzji politycznej. Takie podejście miało poparcie społeczne. Według badań Instytutu Gallupa 67 proc. Amerykanów chciało, by Hermann Göring został stracony bez sądu. 45 proc. było zwolennikami podobnego potraktowania funkcjonariuszy gestapo i SA. Republikański senator Robert A. Taft z Ohio powiedział: „Sądzenie pokonanych przez zwycięzców nie może być bezstronne, niezależnie od tego, jak bardzo jest on obwarowany różnymi formami sprawiedliwości".

Lista Churchilla

Podobną opinię wyrażał Winston Churchill. Lider brytyjskich konserwatystów uważał, że należy opracować listę od 50 do 100 osób uznanych za zbrodniarzy wojennych. Tacy ludzie po ujęciu mieliby stanąć przed specjalną komisją, która po pozytywnej identyfikacji zatrzymanego miałaby w ciągu sześciu (!) godzin wydać decyzję o przeprowadzeniu egzekucji. Takie stanowisko byłego Pierwszego Lorda Admiralicji wynikało

eprasa.pl 5ab27a795f

z przekonania, że nie ma możliwości sądzenia niemieckich decydentów w oparciu o istniejące przepisy prawa międzynarodowego. Churchill najwyraźniej nie miał wątpliwości, że wszelkie konstrukty prawne powstałe po wojnie na użytek osądzenia i skazania nazistów stanowić będą de facto złamanie podstawowych reguł prawnych, jak „lex retro non agit" („prawo nie działa wstecz") czy „nullum crimen sine lege" („nie ma przestępstwa bez ustawy").

Biorąc to wszystko pod uwagę, brytyjski premier słusznie uznał, że zamiast niszczyć fundamenty i zasady prawa, lepszym rozwiązaniem będzie przeprowadzenie egzekucji nazistowskich liderów w oparciu o decyzję polityczną. Był on w tej sprawie na tyle przekonywujący, że zdołał nakłonić do poparcia swojego stanowiska prezydenta USA, co w efekcie doprowadziło do wysłania 17 września 1944 r. wspólnej depeszy do Józefa Stalina z propozycją realizacji takiego właśnie scenariusza.

Stalin jednak wystąpił z koncepcją przeprowadzenia procesu. Sowiecki przywódca uważał, mając zapewne przed oczami spektakl sądowy podobny do procesów moskiewskich z lat 30., że będzie go można wykorzystać propagandowo, nagłaśniając popełnione przez Niemców zbrodnie wojenne i dezawuując przy okazji całkowicie kierownictwo III Rzeszy.

Nieco inny, bardziej mesjanistyczny cel przyświecał przyszłemu amerykańskiemu głównemu prokuratorowi Robertowi H. Jacksonowi. Postrzegał on proces jako fundament nowego świata bez wojen i konfliktów. Ten idealistyczny – i kompletnie nierealistyczny – pogląd inspirował go i popychał w kierunku realizacji wyznaczonego celu nawet za cenę złamania dotychczas obowiązujących reguł prawnych.

Żądza odwetu

Roosevelt w styczniu 1945 r. zmienił zdanie w sprawie przeprowadzenia procesu i ostatecznie 8 sierpnia cztery główne mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej podpisały Kartę Londyńską. Dokument ten powoływał do życia Międzynarodowy Trybunał Wojskowy. Określono



Akta procesu norymberskiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHARLES W. ALEXANDER USHMM.ORG

w nim zasadnicze zarzuty, które miały stanowić podstawę aktu oskarżenia. Były to:

1) Zbrodnie przeciw pokojowi (planowanie, przygotowywanie i prowadzenie wojny napastniczej)

2) Zbrodnie wojenne (morderstwa na jeńcach i cywilach)

3) Zbrodnie przeciw ludzkości (prześladowania ze względów politycznych, rasowych lub religijnych).

W akcie oskarżenia jedynie art. 3, dotyczący złamania konwencji haskiej z 1907 r. i konwencji genewskiej z 1929 r., mógł znaleźć faktyczne zastosowanie podczas procesu (trzeba podkreślić, że chociaż obie konwencje nie zawierały przepisów karnych za ich złamanie, to odbywające się w Niemczech po pierwszej wojnie światowej postępowania karne przeciwko niemieckim wojskowym stanowiły precedensy jasno pokazujące możliwość pociągnięcia do odpowiedzialności karnej za ich naruszanie).

Na prośbę Amerykanów akt oskarżenia został poszerzony o zarzut dotyczący spisku przeciwko pokojowi, który miał na celu wywołanie wojny napastniczej; stał się on art. 1 oskarżenia. Nie ulega wątpliwości, że ani art. 1, ani art. 2 aktu oskarżenia (podobnie jak art. 4) nie mogły mieć zastosowania procesowego, ponieważ nie były one przestępstwami w czasie drugiej wojny światowej. Tak też postrzegali je francuscy prokuratorzy, sprzeciwiający się próbie kryminalizacji samego aktu wojny i pozbawienia przywódców państwowych prawa do podjęcia takiej decyzji. Francuzi podkreślali roztropnie w kontekście zarzutów kierowanych pod adresem strony niemieckiej za niedotrzymanie paktu Brianda-Kellogga, że była to decyzja mająca charakter polityczny i nie można tu mówić o odpowiedzialności karnej. Jednak wszystkie wątpliwości natury prawnej bladły wobec pragnienia odwetu, które było głośno artykułowane przez miliony ludzi. Politycy wzięli to pod uwagę.

Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze powołano z grona przedstawicieli czterech mocarstw. Jego przewodniczącym został Geoffrey Lawrence z Wielkiej Brytanii, a obok niego sędziami byli Francis Biddle (USA), Henri Donnedieu de Vabres (Francja) i Iona Nikitczenko (ZSRS). W toczącym się postępowaniu rozpoczętym 20 listopada 1945 r. na ławie oskarżonych zasiadły 22 osoby (Martin Bormann, był sądzony zaocznie, choć już nie żył – MTW nie wiedział o jego śmierci).

1 października 1946 r. MTW wydał wyroki. Aż 12 podsądnych (Göring, Ribbentrop, Keitel, Kaltenbrunner, Rosenberg, Frank, Frick, Streicher, Sauckel, Jodl, Seyss-Inquart i nieżyjący Bormann) zostało skazanych na karę śmierci. Trzech kolejnych (Raedera, Funka, Hessa) skazano na dożywotnie więzienie, dwóch (Speera i Schiracha) na 20 lat, von Neuratha na 15 lat, a Dönitza na 10 lat więzienia. Natomiast trzech nazistowskich dygnitarzy (von Papena, Schachta

eprasa.pl 5ab27a795f



Sala rozpraw w procesie norymberskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

i Fritzschego) uniewinniono. Wyroki śmierci wykonano 16 października 1946 r. w sali gimnastycznej znajdującej się przy więzieniu.

Werdykt trybunału wbrew pozorom nie wzbudził samych głosów aprobaty i entuzjazmu. 5 października 1946 r. wspomniany na początku senator Robert Taft wygłosił w Kenyon College w Ohio przemówienie, w którym potępił wyroki i zasugerował, że wygnanie – co spotkało m.in. Napoleona – byłoby lepszym rozwiązaniem. Następnie skrytykował procesy, które – jak stwierdził – „naruszają fundamentalną zasadę prawa amerykańskiego, zgodnie z którą nikt nie może być sądzony na podstawie ustawy ex post facto". Senator podkreślił wówczas, że proces norymberski stanowił odejście od ideałów amerykańskiej konstytucji. Wtórował mu w tej krytyce lewicowy liberał William O. Douglas, który był sędzią Sądu Najwyższego.

Aliancka hipokryzja

Innym problemem był fakt, że artykuły norymberskiego aktu oskarżenia były łamane przez mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej. Państwem, którego działania podpadały pod każdy artykuł oskarżenia, był przecież Związek Sowiecki. Na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow Kreml dokonał inwazji na Polskę, co – zgodnie z art. 2 aktu oskarżenia – stanowiło zbrodnię przeciwko pokojowi. Taki sam charakter miał atak na Finlandię 30 listopada 1939 r., a ponadto aneksja Litwy, Łotwy i Estonii (czerwiec 1940 r.) oraz przeprowadzone na przełomie czerwca i lipca 1940 r. siłowe włączenie do ZSRS Besarabii i Bukowiny Północnej. W sierpniu 1941 r. ZSRS wspólnie z Wielką Brytanią dokonał inwazji na Iran, co również było według norymberskich standardów przestępstwem. Za zbrodnie wojenne należy uznać kolejne sowieckie deportacje mieszkańców: Besarabii i Bukowiny Północnej (90 tys. wywiezionych), państw bałtyckich w latach 1941 i 1949 (128 tys. deportowanych), polskich Kresów Wschodnich (320 tys. wywiezionych), Czeczenii oraz Inguszetii (496 tys. wywiezionych) oraz Krymu (200 tys. deportowanych Tatarów).

Sowieci dokonywali również zbrodni na jeńcach wojennych. 29 grudnia 1941 r. 160 rannych żołnierzy Wehrmachtu zamordowano w szpitalu w Teodozji, 596 Niemców, Ukraińców, Rumunów i Węgrów zabito w lutym 1943 r. w miejscowości Griszino, natomiast 153 jeńców niemieckich zamordowano 1 lipca 1941 r. w pobliżu miejscowości Broniki. Na mocy decyzji sowieckiego Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 r. w Katyniu i w innych miejscach straceń zamordowano ok. 22 tys. Polaków, ale strona sowiecka w czasie procesu w Norymberdze próbowała zrzucić winę za zbrodnię katyńską na Niemców. Podczas ewakuacji więzień latem 1941 r. na okupowanych Kresach Wschodnich RP i w państwach bałtyckich Sowieci wymordowali ok. 15–20 tys. więźniów. Żołnierze Armii Czerwonej odpowiadali za masowe mordy na ludności cywilnej połączone z gwałtami, do których doszło w 1945 r. na Śląsku, w Prusach Wschodnich, na Pomorzu i na Węgrzech.

Nie tylko Sowieci dokonywali przestępstw określonych w norymberskim akcie oskarżenia. Wielu zbrodni przeciw pokojowi dopuścili się także alianci zachodni. Do planowania wojny napastniczej już w grudniu 1939 r. przystąpili Brytyjczycy, przygotowując się do lądowania w Norwegii (kryptonim R-4). Zajęcie portu w Narwiku miało odciąć transporty rudy żelaza ze Szwecji. I choć nie udało się przeprowadzić lądowania, to zrealizowano inną misję. Operacja „Wilfried" polegała na zaminowaniu 8 kwietnia 1940 r., tuż przed rozpoczęciem niemieckiej operacji „Weserübung", norweskich wód terytorialnych.

Jako agresję należy też ocenić zajęcie przez Wielką Brytanię 12 kwietnia 1940 r. Wysp Owczych, które należały do Królestwa Danii, a miesiąc później Islandii, połączonej unią personalną z Danią. Wielka Brytania brała udział w inwazji na Liban i Syrię, terytoria mandatowe znajdujące się pod jurysdykcją neutralnego Państwa Francuskiego. Podobne działania podejmowały USA, dokonując inwazji na terytorium Maroka Francuskiego w ramach operacji „Torch" w listopadzie 1942 r.

Również Amerykanie i Brytyjczycy dokonywali zbrodni wojennych. Przykładowo 14 lipca 1943 r. żołnierze US Army rozstrzelali w Biscari na Sycylii 73 jeńców włoskich i niemieckich, a 1 stycznia 1945 r. pod Chenogne w Belgii zamordowali 60 jeńców z 3. Dywizji Grenadierów Pancernych. Natomiast brytyjski okręt podwodny HMS „Torbay" w okolicach Krety ostrzelał unoszących się na morzu niemieckich rozbitków. Najpoważniejszych zbrodni dopuścili się jednak lotnicy z US Air Force i RAF, bombardując w ramach nalotów dywanowych Hamburg i Drez-

eprasa.pl 5ab27a795f

no. W tym pierwszym mieście zabito 38 tys. ludzi, a w drugim 25 tys. (w przypadku Drezna poza cywilami celem nalotu była kolejowa sieć komunikacyjna). Obie te zbrodnie miały złamać morale i wolę walki narodu niemieckiego.

Bez zmian

Po zakończeniu procesu norymberskiego pojawiły się głosy o jego niezwykle doniosłej roli. Kiedy jednak przyjrzymy się historii zimnowojennego i postzimnowojennego świata przez pryzmat norymberskiej penalizacji i kryminalizacji wojen, trudno uznać, że stał się on dzięki temu lepszy. W czerwcu 1950 r. inwazją Korei Północnej na Koreę Południową rozpoczęła się seria konfliktów międzypaństwowych, które zgodnie z art. 2 norymberskiego aktu oskarżenia stanowiły zbrodnie przeciwko pokojowi. Zaliczyć do nich można inwazję Izraela wraz z Francją i Wielką Brytanią na Egipt w 1956 r., atak Izraela na Egipt, Jordanię i Syrię w 1967 r., inwazję USA na Kambodżę w 1970 r., napaść wspomnianych krajów arabskich na Izrael w 1973 r., atak Iraku na Iran w 1980 r., Izraela na Liban w 1982 r., Argentyny na brytyjskie Falklandy w 1982 r., Iraku na Kuwejt, USA na Irak w 2003 r. czy wreszcie Rosji na Ukrainę w 2022 r. Naturalnie te przykłady to tylko część z wielu toczących się w owym czasie konfliktów.

Co istotne, żaden z przywódców wymienionych państw tzw. agresorów nie został postawiony przed sądem. Inna sprawa, że żaden z wymienionych krajów poza Irakiem (Saddam Husajn został skazany i stracony wyłącznie za zbrodnie dokonane na irackich szyitach w 1982 r.) nie znalazł się pod całkowitą okupacją. O ile przed obliczem Temidy stawali przywódcy polityczni i wojskowi krajów byłej Jugosławii, a także Rwandy, a więc państw słabych i niewielkich, o tyle liderzy światowych mocarstw czy wspieranych przez nie krajów sojuszniczych mogą cieszyć się immunitetem dającym gwarancję bezkarności.

Czynnikiem odgrywającym zasadniczą rolę w polityce jest bowiem siła, a nie sprawiedliwość. Kto ją posiada, może czuć się zwolniony z respektowania norm prawa międzynarodowego, co więcej – może uznać, że takie normy go nie obowiązują. Tak było w Norymberdze, gdzie na ławie oskarżonych zasiedli tylko pokonani (inna sprawa, że wielu podsądnych rzeczywiście popełniło zbrodnie), i tak jest również dzisiaj, kiedy przywódcy Izraela, Rosji czy USA atakujący wedle własnego uznania nie tylko cywili w Strefie Gazy, lecz także państwa takie jak Liban, Ukraina czy Iran, mogą spać spokojnie, ponieważ nikt ich nie będzie w stanie pociągnąć do odpowiedzialności. Ta zasada jest niezmienna – zwycięzców nikt nie będzie sądził, bo nie ma takiej fizycznej możliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Gemählich M., ***„Notre combat pour la paix: la France et le procès de Nuremberg (1945–1946)”***, *[w:] „Les Humanités environnementales: circulations et renouvellement des savoirs en France et en Allemagne”, 51-2/2019; Irving D.*, ***„Norymberga. Ostatnia bitwa”***; *Maser W.*, ***„Nuremberg: A Nation on Trial”.***

REKLAMA



eprasa.pl 5ab27a795f



FOT. ADOBE STOCK

XX w. / Między Monachium i sowieckim Wilnem

Ponad żelazną kurtyną



Adam Hlebowicz

Przez 20 lat Barbara Toporska i Idalia Żyłowska pisały do siebie listy. Z powodu cenzury w ich korespondencji polityka jest nieobecna, jednak listy mają niezwykle osobisty ton i są świadectwem duchowego porozumienia macochy z pasierbicą

Ta korespondencja właściwie nigdy nie powinna się zdarzyć. Formalnie nic bowiem nie łączyło tych dwóch kobiet. Starsza o 18 lat Barbara była żoną Józefa, którego nieślubną córką była młodsza Idalia. Po wojnie żyły po dwóch stronach żelaznej kurtyny – Barbara w zachodnioniemieckim Monachium, Idalia w sowieckim Wilnie.

Mąż jednej, a ojciec drugiej był zadeklarowanym antykomunistą, prezentującym otwarcie swoje stanowisko w licznych powieściach i w bogatej publicystyce. Jego twórczość była bezwzględnie zakazana w krajach bloku wschodniego. Jak wytłumaczyć fenomen długoletniej wymiany korespondencji pomiędzy Barbarą Toporską a Idalią Żyłowską, która właśnie została opublikowana przez londyńskie wydawnictwo Kontra?

Mackiewicz i Toporska poznali się w 1934 r. i związali się ze sobą na całe życie. Jej rola w powojennym emigracyjnym życiu tej pary jest nie do przecenienia. Była inspiratorką wielu działań pisarza, jego duchowym i materialnym wsparciem, a pod koniec życia obojga – opiekunką schorowanego autora „Kontry", niewahającą się poświęcić swojego zdrowia dla opieki nad nim.

Od samego początku, gdy się poznały w latach 30., coś szczególnego musiało połączyć Barbarę z Idalią – macochę z córką męża. Stąd też po śmierci w 1942 r. matki Żyłowskiej 31-letnia Toporska myślała o adopcji nastolatki. Nie zgodziła się na to Leonia Żyłowska, siostra zmarłej i w kolejnych latach jej opiekunka. Gdy mieszkająca w Warszawie Seweryna Orłosiowa, siostra braci Józefa i Stanisława Mackiewiczów, odszukała w Wilnie Idalię i zaczęła pisać do niej, włączyła do tej wymiany listów także Barbarę przebywającą na emigracji. Był rok 1965. Toporska i Żyłowska nie widziały się od 21 lat. Barbara napisała do Idalii: „Byłaś bolesnym, ale i ukochanym wyrzutem sumienia". A w innym miejscu: „Moje strachy, kiedy Cię szukałam, a nie wiedziałam, jaką osobę odszukam".

Mimo różnicy wieku, odmiennych doświadczeń powojennych dawna iskra wzajemnej życzliwości, otwartości na siebie zabłysła ponownie. Nawiązany kontakt będzie trwał do śmierci Barbary w czerwcu 1985 r. Gdy zaczęły do siebie pisać, Barbara miała 52 lata, Idalia 34. Żyły w krańcowo odmiennych światach. Łączyły je dawne wspólne wspomnienia, Józef Mackiewicz, lecz nade wszystko zbliżona duchowość, którą odczytujemy na kartach ich stosunkowo rzadkiej, ale

eprasa.pl 5ab27a795f

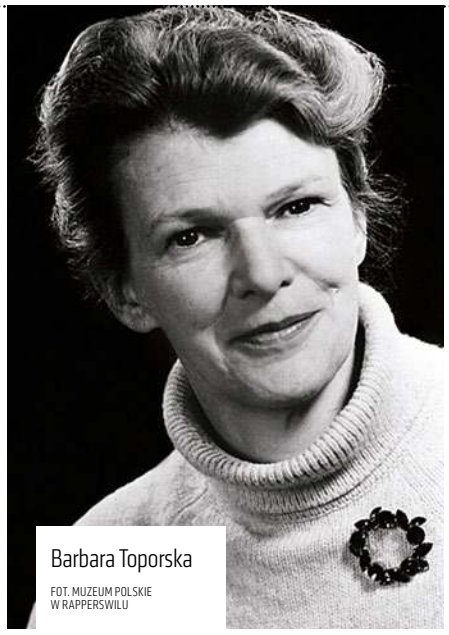
treściwej korespondencji. Żyłowska napisała 17 marca 1968 r.: „Mamy podobne odczucia różnych rzeczy: i ludzi, i zjawisk, i tego, co nabrzmiewając wewnątrz, nie chce się wydobyć na zewnątrz […]”.

Inne światy

Przeskok między światem kapitalistycznego Zachodu a siermiężnością znajdującego się pod sowiecką okupacją Wilna był przeogromny. Światem pośrednim był PRL, który Idalia, najpierw samotnie, a potem z adoptowanym synem Alvidasem, odwiedziła czterokrotnie w czasie prowadzenia korespondencji z Toporską, mieszkając głównie u rodziny ojca.

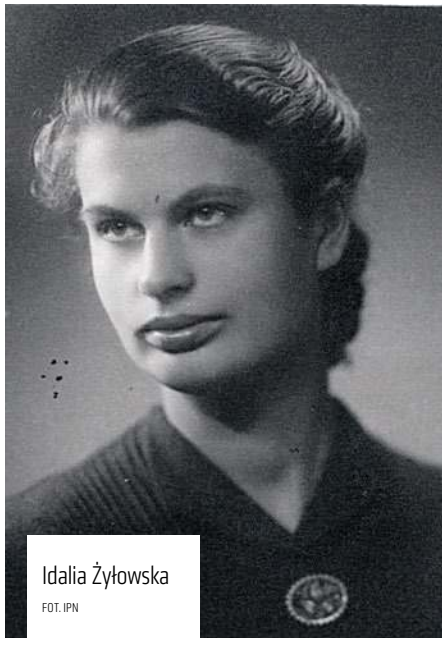
10 stycznia 1977 r. Toporska napisała: „Kartofle są tu droższe od pomarańcz”. Zabawny z dzisiejszego punktu widzenia jest fragment listu z 7 grudnia 1967 r., gdy Barbara, przygotowując swoje przyjęcie imieninowe, opisuje, czym jest pizza, pojęcie wtedy w Europie Wschodniej szerzej nieznane. „Jest drożdżowym plackiem, na który kraje się pomidory, gęsto różnego gatunku serów, pokrojonych drobno sardeli i szynki, i wszystko razem obsypane wonnymi przyprawkami, zapieka się”. Idalia odpisze: „Na ten placek pomidorowo-serowy oblizywałam się strasznie”. Kiedy Toporska opowiada o odwiedzanych przez siebie Rzymie, Londynie, Paryżu, Szwajcarii, Austrii, Idalia opisuje swoje wyjazdy na Krym, Zakarpacie, do Leningradu czy Moskwy.

Mackiewiczowie na emigracji (we Włoszech, w Anglii i Niemczech) żyli bardzo skromnie. W dużej mierze wynikało to z ich osobności, posiadania i bronienia własnych poglądów, a w związku z tym także niechęci do wchodzenia w jakiekolwiek układy emigracyjne. Pisarstwo Mackiewicza, wybitne literacko i ciekawe poznawczo, bezkompromisowe w wydawaniu opinii, czyniło go autentycznym wrogiem wpływowych postaci polskiej emigracji. Jednak mimo życia zazwyczaj w ubóstwie oboje starali się pomagać rodzinie za żelazną kurtyną. W opublikowanych listach odnajdziemy wiele fragmentów mówiących o tym, jak Barbara stara się znaleźć jak najlepsze sposoby, żeby przesłać Idalii pieniądze lub paczki. Wiemy, że regularną pomoc otrzymywała także druga córka Halina, a niekiedy także inni członkowie rodu Mackiewiczów. Barbara do Idalii: „Byłaś zawsze z dwóch córek krzywdzona materialnie, ale nie w sercu”. Oczywiście kilkadziesiąt dolarów czy marek oznaczało wówczas zupełnie inne możliwości nabywcze w krajach bloku wschodniego, tyle że samemu mając niewiele, z owego niewiele trzeba jeszcze było coś odkroić.



Barbara Toporska

FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU



Idalia Żyłowska

FOT. IPN

Listy krążące między tak różnymi światami były kontrolowane przez cenzurę. Toporska w liście do Wincenty Lozoraitis, kuzynki Józefa, mieszkającej w Rzymie, napisała 6 listopada 1979 r.: „Ja koresponduję z Idalią regularnie, acz niezbyt często, bo listy ze względu na cenzurę muszą być skąpe w realia”. Nie ma zatem w nich polityki, zbyt wielu szczegółów życia, zwłaszcza opisujących rzeczywistość w zsowietyzowanym Wilnie, jest za to o przyrodzie, rodzinie, samotności, umieraniu. To studium codzienności, walki z szarością dni, powtarzaniem czynności, w którym jednak odnajdujemy oryginalne myśli, pewien styl i filozofię życia. Idalia napisze: „Listy Pani są tą żywą wodą na pustyni, która odżywia ten mój świat wewnętrzny i dodaje siły do walki z najazdem codzienności”. Barbara: „Nie masz racji, że na miłość trzeba zasłużyć. Jest, tylko tak trudno ją okazać z tak daleka i z tak dawna”.

Z krwi i ducha bliska

Do końca nie wiemy, jaki był stosunek Mackiewicza do córki pochodzącej z jego związku z Wandą Żyłowską. O relacji ojciec – córka dowiadujemy się jedynie z bardzo lakonicznych i rzadkich wzmianek w listach Toporskiej. „Twój list […] Ojcu podobał się tak bardzo, że powiedział, że kilka sformułowań przywłaszczy od Ciebie, takie trafne” – pierwszy raz, 24 czerwca 1972 r., siedem lat od początku korespondencji, pojawia się taki zapis. Kilka lat później, 21 maja 1977 r., Toporska napisze: „Jakie to szczęście dla nas, że nam się podobasz, że jesteś nie tylko z krwi, ale i z ducha bliska, a ja – Barbara – mogę Cię całym sercem adoptować”. 26 maja 1978 r., pisząc o matce Idalii i skomplikowanych relacjach łączących ją z Józefem, stwierdziła: „On był i pozostał winny wobec Ciebie”.

Z korespondencji dowiadujemy się, że książki ojca były czytane przez Idalię w czasie kolejnych pobytów w Polsce u cioci Iny (Seweryny Orłosiowej) w Warszawie. Nie ma jednak o nich opinii. Podobnie powściągliwa jest Żyłowska w ocenie twórczości Toporskiej. „Nie mając nic do dania, ofiarowałam Ci dedykację na mojej pierwszej powieści” – napisała Barbara, nawiązując do książki „Siostry”, swego literackiego debiutu powieściowego.

eprasa.pl 5ab27a795f



Józef Mackiewicz i Barbara Toporska
FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU

Wspomniana siostra braci Mackiewiczów – Seweryna Orłosiowa – odegrała ważną rolę w nawiązaniu poszarpanych nici rodzinnych, a potem w goszczeniu Idalii w czasie jej pobytów w Polsce, w przekazywaniu jej środków pieniężnych i paczek od Mackiewiczów. Seweryna w listach do Barbary wielokrotnie podkreślała walory Idalii, która jest „najmniej walcząca i buńczuczna z moich bratanic".

Ważne słowa córki padają w związku z cierpieniem i odchodzeniem ojca. „Oby nasz kochany nie męczył się bardzo i był zrozumiany przez Boga" – napisała trzy tygodnie przed jego odejściem. A kiedy śmierć stała się faktem, dodała znamienne słowa: „[...] zawsze w podświadomości czułam się wątłą osiką rosnącą w cieniu dęba i teraz ten dąb ścieli".

Cierpienie i samotność

Gdy zaczynały wymianę listów, Barbara od dwóch lat cierpiała na chorobę nowotworową. Potem, przez kolejne 22 lata, z wielkim heroizmem znosiła kolejne jej nawroty, przerzuty, ustawiczne leczenie choroby, operacje. Idalia, młodsza o pokolenie, także była słabego zdrowia. Te cierpienia z pewnością je łączyły. Z trójki Barbara, Józef, Idalia najmłodsza spośród nich żyła najkrócej – w chwili śmierci w 1998 r. miała 67 lat.

Przebywając na kolejnej kuracji onkologicznej w uzdrowisku Bad Trissl w Alpach, Barbara nawiązała do „Czarodziejskiej Góry" Thomasa Manna, widząc podobieństwa tego miejsca do powieściowego sanatorium „Berghof" w Davos. „Tylko partnerów do rozmów takich jak Naphta i Settembrini tu nie spotkasz. I nie dlatego, że szpital jest dla kobiet i tylko z rakiem. Dlatego, że żyjemy w cywilizacji »masowej«. Ilość stwarza jakość, albo złą jakość. No! Najczęściej banalną jakość". W całej korespondencji Toporskiej i Żyłowskiej jest wiele z atmosfery najwybitniejszego dzieła niemieckiego prozaika. Wiele tu rozważań o Bogu, o śmierci, o odchodzeniu, o metafizyce. Barbara – „moja wiara nie jest konformistyczna". Idalia – „Bóg to tęsknota".

Innym łączącym je czynnikiem była samotność. Toporska oczywiście żyła z Mackiewiczem, byli dla siebie wyjątkową parą, jednak – jak to wielokrotnie przewija się w opublikowanej korespondencji – znajdowali się w Monachium w izolacji, którą częściowo sami sobie narzucili. Ona była bardziej towarzyska, on „Józef Ponury – Wielki Książę Litewski", jak go przedstawiono w czasie pierwszego spotkania z Barbarą, osobny, raczej odludek, niesprzyjający układom towarzyskim czy koteriom. Dla Barbary z pewnością pewnego rodzaju samotnością był brak własnego potomstwa. Stąd jej deklaracje, że „kochała dwie dziewczynki Halkę i Idalkę" i że „zawsze o nich myślę jak o własnych". Halka, czyli Halina Mackiewicz, to córka Józefa z pierwszego małżeństwa, mieszkająca po wojnie w Warszawie. Do Idalii Barbara miała jednak stosunek wyjątkowy. „Idalkę chciała sobie przyłatać i przywłaszczyć, ledwo starczyło czasu na fastrygę, fastryga się wypruła. I takie moje macierzyństwo" – napisała. Ciekawe jest, jak się do siebie zwracały w korespondencji. Barbara pisała – Kochana Moja Idalko, Kochana Idaliuszka, Miłej Córeczce, Kochana Moja Daleka i Bliska. Idalia konsekwentnie używała formy: Kochana Pani Barbaro.

Idalia do grudnia 1968 r. mieszkała ze swoją ciocią Leonią i opiekowała się nią do jej śmierci. Po jej odejściu Idalia pisze do Barbary o swej „bezgranicznej samotności". Przełomem w jej życiu stała



Konspiracyjne kółko samokształceniowe w Wilnie (1952). Idalia Żyłowska w pierwszym rzędzie pierwsza z prawej
FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 5ab27a795f

się decyzja o adopcji sześcioletniego Alvidasa Vyšniauskasa, co miało miejsce w 1969 r. Litewski chłopiec był w domu dziecka, w którym przez cztery lata przebywała w młodości sama Idalia. Wychowanie i opieka nad synem diametralnie zmieniły jej życie. Z czasem, gdy chłopiec dorósł, podjął studia, wróciło uczucie samotności.

Nasi i obcy

Józefowi Mackiewiczowi obce były wszelkie nacjonalizmy, o czym wielokrotnie pisał. Podobnie myślała Barbara. Z tego powodu oboje doznawali różnych nieprzyjemności. Wydaje się, że podobne podejście do „naszych" i „obcych" miała Idalia. Nie akceptowała wyobcowania przyjeżdżających do powojennego Wilna rodaków z kraju, których interesowała wyłącznie przeszłość, dodatkowo krytykujących ją i miejscowych ludzi. „Wszystkich tych gości cechuje pewność siebie, że wszystko już wiedzą, o nic nie pytają, nic nie chcą zrozumieć, tylko wypowiadają różne orzeczenia o naszym życiu i dopiero od nich dowiaduję się, jaka jestem i jakie mam tu życie. Jacy są moi rodacy i ci nierodacy, którzy czasem są mymi przyjaciółmi, a czasem na złość zarozumialcom wprost wywyższam ich zalety". Kiedy przyjeżdżała do Warszawy, pisała:





Grób Idalii Żyłowskiej
FOT. ZBIORY AUTORA

„ Ach „Ach Polacy! Polacy! Gdy jestem w Wilnie, murem za Was stoję [...] [gdy jestem] w Polsce zaczynam ustawiać się za Litwinów". Być może to zadecydowało, że postanowiła adoptować litewskie dziecko. Choć nauczyła syna mówić i pisać po polsku, czytać polskie książki, wyjeżdżała z nim do Polski, to nigdy nie wywierała żadnej presji, aby stał się Polakiem. Wtórowała jej w tym Barbara, która pisała: „Chciałabym [...], żeby [Alvidas] [...] szanował swoją litewskość. Oby nie w sensie szowinizmu!".

*

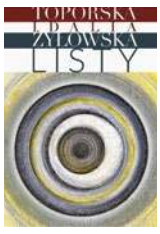
Nie ma tych listów nazbyt wiele jak na 20 lat korespondencji. Wynikało to bardziej z ograniczeń Idalii niż Barbary. „Listy do Pani piszę, tylko nieuwięzione na papierze". Najpewniej nie chciała wysyłać zdawkowych, standardowych sprawozdań z bieżącego życia, a chciała być partnerką dla Barbary, oryginalnej prozaiczki i poetki. Kiedy indziej Idalia zapisze: „O listy Pani nie naglę, choć jest to większe wydarzenie niż koncert, teatr lub dobry film", a dodać trzeba, że była stałą bywalczynią sal teatralnych i koncertowych. W jej niełatwym życiu, w realiach siermiężnego socjalizmu, dodawała: „Po otrzymaniu listu od Pani przez tydzień przynajmniej mam jakieś zaufanie do świata". Barbara nie była dłużna i nie było to bynajmniej tanie pochlebstwo. „Twoje listy odczytuję głośno, i to muszę zaraz, natychmiast, tak są oczekiwane".

Nie schlebiały sobie. Idalia: „Do nikogo nie piszę bez takiej cenzury wewnętrznej, jak do Pani". Barbara potrafiła z taktem wykazywać błędy Idalii. Niekiedy z tej różnicy zdań rodziła się interesująca polemika. Instynkt zawiódł raz Toporską, gdy pisała w ślad za Thomasem Malthusem i Paulem R. Ehrlichem o pladze przeludnienia, a panaceum na to miały być pigułki antykoncepcyjne. Barbara: „Na temat pigułek zwalczanych przez Kościół, a już zwłaszcza przez »naszego« polskiego papieża, uważam, że na to człowiek ma rozum, by zwalczać nie tylko plagi epidemii, ale także plagę przeludnienia, głodu i zapobiegać rodzeniu dzieci skazanych na kalectwo". Idalia krótko odpowiedziała: „Pigułka nie jest ratunkiem".

Talent literacki Idalii rozwijał się, co dostrzegali oboje Mackiewiczowie. Barbara stwierdziła: „Bardzo bym chciała [...], żebyś zaczęła pisać". Idalia: „Jakiś gen pisarski fermentuje pewnie i w moich komórkach, bo nieraz odczuwam pęd do układania historyjek". Obie potrafiły w lakoniczny sposób wyrazić swoje emocje lub trafnie, z talentem, opisać jakąś sytuację. Idalia: „Teraz śpieszę po zakupy, bo z domu nawet chleb i cukier się wyprowadził". Barbara: „Kiedyś do zasad dobrego wychowania należało niezwracanie na siebie uwagi. Ta skromność absolutna wyszła z mody".

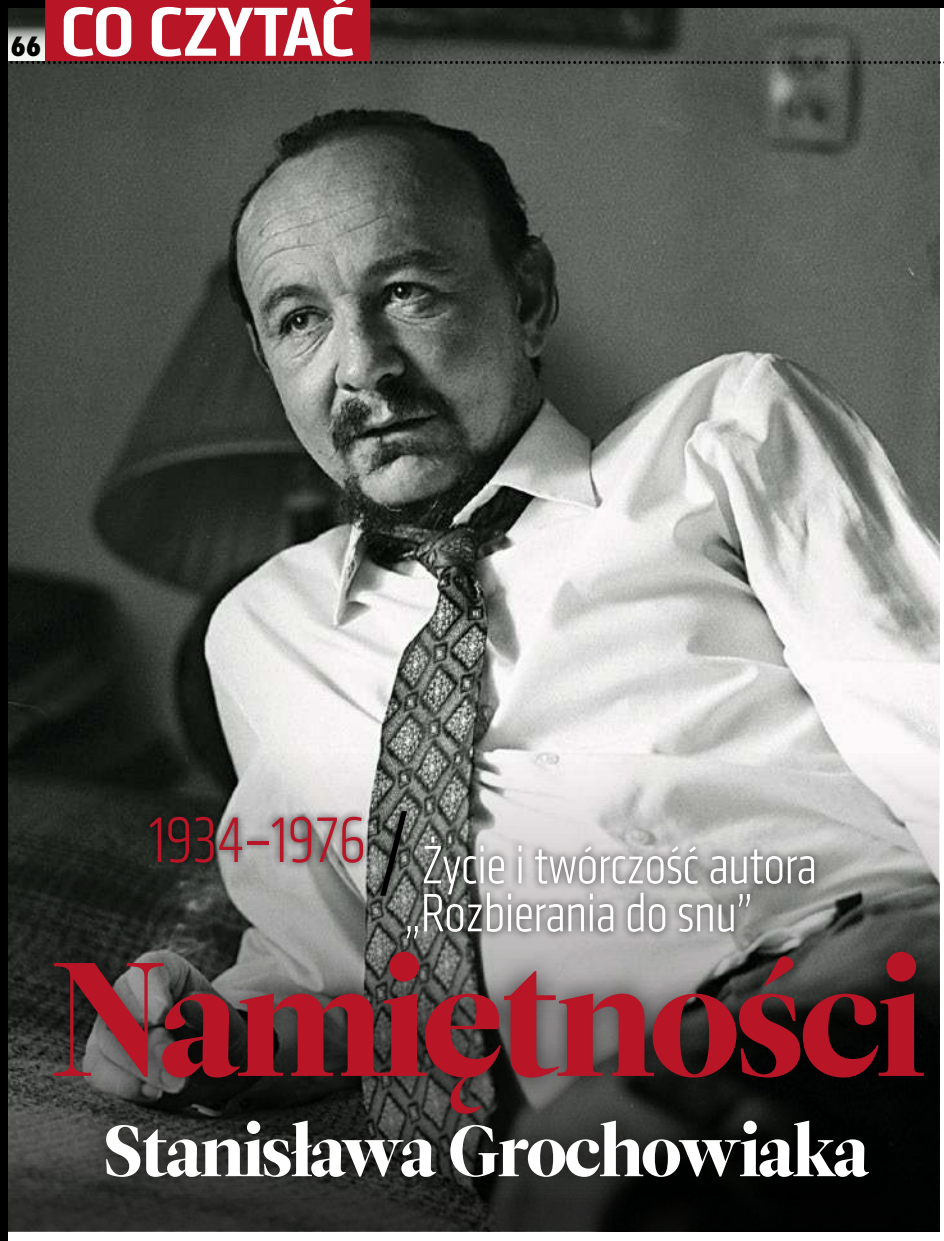
Dzięki wydawnictwu Kontra i Ninie Karsov, oddanej sprawie twórczości obojga Mackiewiczów, otrzymaliśmy publikację niezwykłą. Jest to bodaj najbardziej intymny i osobisty, przynajmniej z tych dotychczas opublikowanych, tom korespondencji Mackiewiczów. Dzięki Idalii Żyłowskiej zyskaliśmy unikalne epistolograficzne świadectwo życia wileńskiego inteligenta, polskiej nauczycielki, córki wybitnego pisarza, w powojennej sowieckiej stolicy Litwy. Oba te światy, tak odległe od siebie politycznie i geograficznie, połączyły się nie tylko z powodu więzów krwi, dawnej znajomości, lecz także dzięki dwóm niezwykłym kobietom, które tak wiele wspólnego miały ze sobą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



BARBARA TOPORSKA, IDALIA ŻYŁOWSKA
„LISTY"
KONTRA

eprasa.pl 5ab27a795f



1934–1976 / Życie i twórczość autora „Rozbierania do snu”

Namiętności Stanisława Grochowiaka

FOT. MARIAN SOKOŁOWSKI/CAF/PAP



Krzysztof Masłoń

W jego poezji znajdujemy echo tego, co w literaturze naszej najwartościowsze. On sam twierdził, że ani jeden jego utwór nie powstałby bez świadomości spadku po polskim baroku i romantyzmie

Niebawem, dokładnie 2 września, minie 40 lat od śmierci Stanisława Grochowiaka, jednego z najwybitniejszych poetów polskich drugiej połowy zeszłego wieku. W PRL zrobił zawrotną karierę, został usytuowany na absolutnym szczycie hierarchii literackiej, by następnie – jeszcze za życia – zostać z niego strącony. Już w latach 70. widać było, że – jak pisze Lidia Sadkowska-Mokkas w wydanej właśnie biografii poety „Menuet z Grochowiakiem” – jego „dorobek twórczy rośnie, ale renoma słabnie”.

Zaczęły mnożyć się ataki na niego, mające głównie podtekst polityczny, zarzucano mu bowiem nadmierny serwilizm wobec władzy, o czym pisać wprost w cenzurowanej prasie nie było można, za to ochoczo wypunktowywano rzekome słabości jego pisarstwa, tak jak to uczynił Julian Kornhauser w napisanym razem z Adamem Zagajewskim „Świecie nie przedstawionym” (1974), w którym wywodził, że „dla Grochowiaka wyznacznikiem literackości tekstu poetyckiego jest stopień jego stylizacji, klasyczność rygorów, operowanie utartymi motywami kulturowymi. Wiersz staje się zabawką. Horyzont ograniczony do podwórka”.

Po śmierci twórcy „Rozbierania do snu” przez dłuższy czas jeśli go wspominano, to zazwyczaj w kontekście jego alkoholizmu, będącego przyczyną przedwczesnej śmierci poety w wieku 42 lat. Wywołało to w końcu, w 1999 r., jak najbardziej uzasadniony protest rodziny Stanisława Grochowiaka: „Od lat już pisze się o Grochowiaku niemal wyłącznie w kontekście jego choroby alkoholowej i życia rodzinnego, zapominając, jakie są przyczyny, że znalazł się w encyklopediach, lekturach szkolnych, wreszcie na półkach księgarń i bibliotek […]. Panowie, wyjmijcie wreszcie Grochowiakowi kieliszek z dłoni, włóżcie mu w to miejsce pióro!”.

Bo i rzeczywiście wiersze z pierwszych tomów Grochowiaka robiły niebywałe wręcz kariery. Z „Ballady rycerskiej” choćby: „Modlitwa”, „Święty Szymon Słupnik”, „Verlaine”; z „Menueta z pogrzebaczem”: „Rozmowa o poezji”, „Franz Kafka”; z „Rozbierania do snu”: „Introdukcja”, „Czyści”. Potem niektóre utwory najzwyczajniej w świecie „przejadły się”, po części dzięki szkole – jak „Ikar” z tomu „Agresty” (1963) – czy też za sprawą dziennikarzy, którzy przy każdej okazji cytowali „Do S…” ze zbioru „Nie było lata” (1969). Ten ostatni wiersz brzmiał tak:

Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia;
Jest teraz w locie: dojrzałym, dokolnym,
Jakim kołują doświadczone orły.
Bunt się uskrzydla tak – jak udorzecznia.
Bo wpierw to było jakby piaskiem w oczy,
Turniejem chłopców na słonecznej plaży;
A teraz ciężki; teraz więcej waży.
Bunt się uskrzydla tak – jak w kamień toczy.
I pomyśl: czułość, ta świetlista kula,
Teraz dopiero w mym pobliżu płonie,

eprasa.pl 5ab27a795f

Luzując szczęki, łagodząc me dłonie.
Bunt się uskrzydla tak – jak się uczula.

„Kołtun z Leszna"

Socrealizm właściwie nie dotknął tego poety, co najwyżej doszukać się możemy go jedynie w debiucie prozatorskim Grochowiaka – „Plebanii z magnoliami" (1956). W najważniejszej dla niego poezji było zupełnie inaczej, dominowały w niej – wyliczał Marek Nowakowski – „erotyka, przemijanie, rozkład, śmierć. Reminiscencje ze staropolskiej kultury, tradycji, bogactwa kultury. Mieszał swój alembik niby alchemik. Tym żywiła się jego wena. Po ubóstwie poezji poprzedniego okresu, tych okropnych wierszydłach sławiących budowy socjalizmu, kołchozy, towarzyszy ze służby bezpieczeństwa, chorążego pokoju i wiekuistą przyjaźń z Krajem Rad – to był ożywczy strumień. Dzwoniło jeszcze w uszach tamto słowotwórstwo: Słońce świeci, cynk z żelazem, razem… Po takiej bzdurze wiersze Białoszewskiego, Grochowiaka, Herberta odradzały język poezji i powodowały gorące dyskusje".

I pomyśleć, że dla takiego np. Roberta Stillera wiersze Grochowiaka raziły nieporadnością i z satysfakcją wyliczał prawdziwe i urojone błędy, które w nich wynalazł. Ale tu chodziło o coś więcej niż tylko o język użyty w poezji. Artur Sandauer wskazał w tym miejscu palcem na „Płacz Żyda", utwór z pierwszego tomu poety, „Ballady rycerskiej" (1956).

Wpływowy krytyk tak streścić raczył ten wiersz: „Autor ukazuje, jak to ów Żyd, grzebiąc córkę, boleje głównie nad tym, że »ząbek miała szczerozłoty«, przy okazji zaś chce »geszeft uczynić z ziemią«. Do tego miłego handelku Rachel – matka przypuszczalnie – dodaje swoje »po czemu«. »Psu ustąpię z drogi« – »Ludziom ręce będę lizał« – »Wszy otoczę służebnością« – oto jak charakteryzuje siebie ów Żyd. Powstaje pytanie, czy ktokolwiek byłby zachwycony podobną charakterystyką narodu własnego". O zachwycie nie może być mowy, ale trzeba było być głuchym jak pień (a i pełnym złej woli), by nie spostrzec tego, że wiersz ten – jak pisał Kazimierz Wyka – „pełen prawdziwie ludzkiego współczucia, oparty [został] o utajoną strukturę monologu Żyda w złej i śmiesznej polszczyźnie wygłoszonego, polszczyźnie i zwrotach, które były argumentem zoologicznym antysemitów. Właśnie ten kontrast czyni ujęcie istotnie nowym i dla Grochowiaka bardzo typowym, prawdziwie własnym".

Cóż, zawsze jednak znajdą się ci, którzy wiedzą lepiej. I tak sławne stało się zdanie Bogdana Wojdowskiego o Grochowiaku: „Poeta, owszem, pierwszej klasy, ale duszyczka małego endeka, typowego kołtuna z Leszna".

Ten „kołtun" w wieku 26 lat miał już pięć wydanych książek i był redaktorem naczelnym najciekawszego pisma literackiego, za które uchodziła wtedy „Współczesność". Nigdy nie wstąpił do PZPR, nie zgłosił akcesu do partii, a Putramentowi, który go do tego namawiał, odmówił. Zapewne nie był uczulony na czerwony kolor, ale już jego żona, Madzia (Anna Magdalena Hermannówna, którą poślubił w 1954 r.), jak najbardziej. I jest wielce prawdopodobne, że – jak pisze autorka „Menueta z Grochowiakiem" – w odpowiedniej chwili powiedziałaby mu: „Albo ja, albo partia".

Złocona strzała

W poezji Grochowiaka znajdujemy echo tego, co w literaturze naszej najwartościowsze. On sam twierdził, że ani jeden jego utwór nie powstałby bez świadomości spadku po polskim baroku i romantyzmie. „Stoję tu – pisał – na zupełnie innym gruncie aniżeli przedstawiciele tzw. awangardy, którzy po dziedzinach narodowej tradycji poruszają się z chłodną elegancją osób odwiedzających cmentarze".

U niego elegancka była jedynie konstrukcja utworu, bo poza nią wszystko w poezji tej kipiało, wrzało, zapowiadało erupcję. Przy tym – pisał Piotr Kuncewicz – „był poetą synkretycznym i syntetycznym, najbardziej chyba olśniewającym".

Jan Z. Brudnicki wspominał: „W czasach studenckich czytaliśmy Grochowiaka z wypiekami na twarzy. Wprawdzie jako poeta autor »Ballady rycerskiej« trafiał do ówczesnej młodzieży głębiej, jednak proza jego też robiła wrażenie nowości. Właśnie w wypadku bodaj tylko Hłaski i Grochowiaka (dopiero później jeszcze Stachury) czuliśmy, że zabrzmiał w literaturze jakiś świeży ton, iż został naruszony dotychczasowy kanon języka i proporcje formy. Może nieznacznie, ale jednak".

Był też ważną postacią środowiskową. Joli Nowakowskiej, żonie Marka, „szczególnie zapadł w pamięci i utrwalił się czas spędzony w Klubie Dziennikarza przy Foksal, kiedy Grochowiak recytował »Rozmowę liryczną« Gałczyńskiego. Recytował pięknie. Kiedy przychodził, wiele osób, widząc go na sali, zmieniało rewiry, przyłączając się do stolikowego grona".

Mam też swoje osobiste wspomnienie związane z poetą. Poznałem go jakoś w okolicach swojej matury, gdy w Winiarni Hopfera, gdzie go spotykałem i dopuszczany bywałem na koniec biesiadnego stołu, rządził i dzielił. To już był ten późniejszy Hopfer, przeniesiony na drugą stronę Krakowskiego Przedmieścia z zaułku koło Dziekanki, wypasiony, bo z miejscami do siedzenia, podczas gdy w starym Hopferze, u Pani Stasi, piło się na stojąco raczej, gdyż nieliczne siedziska okupowane były na okrągło przez stałych bywalców lokalu z Hamiltonem na czele. Grochowiaka pamiętam i stamtąd, tyle że wtedy przyglądałem Mu się tylko nabożnie. To był przecież autor „Rozbierania do snu"!

Kiedy zatem dostąpiłem zaszczytu spijania wina w towarzystwie Jego i licznych Jego akolitów, byłem przeszczęśliwy i nabożnie wsłuchiwałem się w – bądźmy sprawiedliwi – nieco bełkotliwe dysputy o, dajmy na to, kropce Przybosia. O tym, że z tego, czego nie ma, sens ma tylko Lechoniowa Beatrycze, jeszcze nie wiedziałem. Ale jakże dumny byłem, gdy zaczepiony żartem przez Grochowiaka poleceniem: „Opowiedz ptaka" dokończyłem strofę wiersza „Po ciemku": „– Dobrze. Opowiadam: / Ta strzała była na końcu złocona, / Złotnik ją strugał do perfidnych zadań… / Niosąc ją z nieba, cieniutko się kona". Zdałem egzamin, z czym nie miałem najmniejszych trudności, bo znałem na pamięć chyba wszystkie publikowane wiersze twórcy „Agrestów".

I jakoś mi nie przeszkadzało, że to, co pisał w latach 70. i o czym opowiadał przy winie, nie umywało się do liryków z pierwszych jego tomów; że zaplątał się w jakieś tasiemcowe wiersze, napuszone, retoryczne. Nie wiem też, jak to było możliwe, ale nie zapaliło mi się światełko ostrzegawcze przy lekturze poematu

eprasa.pl 5ab27a795f

o Salvadorze Allendem. Może dlatego, że wszyscy mieliśmy wtedy zajoba na punkcie Ameryki Południowej, zaczytywaliśmy się „Grą w klasy" Cortázara i „Miastem i psy" Llosy, właśnie wychodziło pierwsze tłumaczenie „Stu lat samotności" Márqueza, a na wyświetlany niedaleko Hopfera w Kinie Kultura brazylijski film „Macunaima" bilety trzeba było kupować bladym świtem. „Allende" Grochowiaka też się jakoś tłumaczył, choć pewnie nie powinien.

„W kółko to samo"

W ostatnim okresie coraz częściej pokazywał się w telewizji. Krzysztof Mętrak tłumaczył to tak, że „chciał się przed odejściem wszystkim nam jeszcze raz, choćby w sztucznym cokolwiek świetle, uobecnić". Ale to miano mu za złe. Pracował ponad swoje coraz skromniejsze siły, spieszył się. W Czytelniku wydaje „Bilard", w PIW „Haiku", przygotowuje „Ahaswera", poemat, z którym w końcu nie da sobie rady.

W sezonie 1974/1975 staje się jednym z najczęściej granych autorów teatralnych. Częściej od niego wystawiany bywają tylko Fredro, Mrożek, Żeromski i Gombrowicz. Bryll i Różewicz są daleko za nim. Zekranizowani przez Ryszarda Bera zostają jego „Chłopcy", a Janusz Zaorski realizuje „Partitę na instrument drewniany". A na scenę pisze jeszcze „Lęki poranne". Profesor Kwiatkowska, psychiatra, na łamach „Tygodnika Powszechnego" stwierdzi, że nie czytała nigdy lepszego studium o alkoholizmie.

Temat poznał aż za dobrze. W końcu pisał o nim jeszcze w młodości, w wierszu, którego nie włączył do swoich tomików:

W tym biednym kraju, gdzie pije się wódę,
Wódę i wódę – i w kółko to samo,
Gdzie koniec z końcem powiązać jest trudniej
Niż napisać wiersz –
Gdzie ludzie wątpią o sensie miłości.
O wszystkich pierwszych zasadach istnienia,
Gdzie kaktus zdobi książkę, bladą miłość,
Kwaśny ogórek, każde święta w kraju
Tym biednym trudno, bardzo trudno trąbić
Dlatego wnoszę protest przeciw trąbom
Pułkowym, gminnym i nawet prywatnym.

Trudno mu było pozbyć się etykiet, którymi go swego czasu obklejono. Tak właśnie uczynił z niego turpistę Julian



Stefan Rydel i Małgorzata Lorentowicz w sztuce „Szachy" Stanisława Grochowiaka FOT. EDWARD HARTWIG/NAC

Przyboś. Do końca nikt wprawdzie nie widział, czym jest ów turpizm, ale krytycy nie bardzo potrafili sobie poradzić bez niego, analizując twórczość Grochowiaka. Wytykano mu więc, oczywiście niezdrową, fascynację śmiercią, obsesję starości, wreszcie kult brzydoty. Jakby nie chcieli zrozumieć tych prostych słów:

Nie cały minę Choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w oście
I przeświadczenie że śledź bywa w poście
Zarówno piękny jak pod jesień owoc.

Ale najpiękniej pisał autor „Rozbierania do snu" o miłości. Jan Błoński w „Zmianie warty" stwierdził dobitnie: „Stanisław Grochowiak to najbardziej erotyczny poeta w całej miłosnej liryce. Mało u kogo trafia się równie żarliwa namiętność, to znaczy przekonania, że w miłości tkwi klucz życia, że niczego ważniejszego w prywatnym losie nie ma i nie będzie". Jego erotyków uczono się na pamięć. Mam też nadzieję, że zapamiętana została „Modigliani", piosenka (bo i piosenki Grochowiak pisał) śpiewana do muzyki Romualda Żylińskiego na opolskim festiwalu w 1974 r. przez Renatę Kretównę:

Ukoi błękit
Modigliani go wniósł
W cieniste wnęki
Czyichś oczu i ust
W załomy światła
Na porannej pościeli
W podmuch wietrznej niedzieli
Scałowanej z twych ust
Wstydliwość róży
Modigliani ją brał
Z dziewczęcych ramion
Z alabastru ich ciał
Z wysokich dzwonnic
Przebudzonej miłości
Z mowy deszczu i roślin
Modigliani ją znał.

W dębowej kasecie

W 4. numerze „Współczesności" z 1959 r. opublikował Grochowiak głośny, uznany niemal za manifest, artykuł pod chwytliwym tytułem „Karabela zostanie na strychu". Odebrany został jako zanegowanie tyrtejskich tradycji literatury polskiej, zdezawuowanie bezsensownych – zdaniem autora – pseudoromantycznych wzlotów. No cóż, być może przemówił przez Grochowiaka Wielkopolanin, mający takie, a nie inne doświadczenia historyczne, ale jest też faktem, co wytknął publicyście Jan Zbigniew Słojewski (Hamilton), że karabela „to broń paradna, ozdobna, często dekoracyjna, a nie bojowa i, jako żywo, nigdy nią nikt nie potrząsał".

A z Wielkopolską związany był tak mocno, jak to tylko jest możliwe. Stanisław Kryska pisał, że „za Krakowem nie przepadał, ze sceptycyzmem odnosił się do tezy, że kultura polska najbujniej rozkwitała na kresach wschodnich – jest to teza z brutalnym podtekstem politycznym – do samej Warszawy miał stosunek ambiwalentny [...], potrafił z przekąsem rzucać, że jedyne, co Warszawiacy wymyślili w sferze języka, to okropne zdrobnienia używane na każdą okazję, jak te kelnerskie »wódeczka, śledziki, masełko, pieczywko...«". No tak, był z Wielkopolski. Z Leszna, z którym na dobrą sprawę nie pożegna się nigdy. I tylko napisze:

I wracasz. I nie ma
Twojego miasteczka,
Przesunięte dalej.
Zmieniły się domy,
Skurczyły, zmalały,
Na dachach wyrosły
Cierniste krzyżyki,
Chrystusy miłosne
Oszukane w słodycz.
I szukasz i chodzisz,
I szukasz dla siebie
Domostwa małego,
Gdzie legniesz poważny
W dębowej kasecie,
A na drzwiach przybiją
Blaszkę z porcelany
R.I.P.

Gdyby ktoś nie wiedział, wyjaśnię: R.I.P. – requiescat in pace (niech spoczywa w pokoju). Spoczął jednak na warszawskich Powązkach, na Cmentarzu Wojskowym (wtedy Komunalnym). Pogrzeb miał państwowy, a to wtedy znaczyło – bez księdza. Krzyż nad mogiłą stanął później. Postawili go żona poety i Jan Himilsbach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

170 zł

oszczędność 44 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5ab27a795f



Melchior Wańkowicz na polu bitwy o Monte Cassino FOT. NAC

Książka miesiąca / O pisarzu i o Polsce

Wańkowicz, legenda i biografia

Melchior Wańkowicz żył i działał na przestrzeni kilku epok. Pamiętał strajk dzieci we Wrześni i bunt przeciwko germanizacji, agresywną rusyfikację na ziemiach polskich, narastający rewolucyjny bunt wobec caratu, pamiętał cara Mikołaja II i znał los, który zgotowali ludziom żądni krwi i władzy bolszewicy. Pamiętał też, jak rozpad mocarstw utorował drogę do odrodzenia Polski po latach zaborów. Później stał się świadkiem gehenny Polski i Polaków, którzy zostali zaatakowani z dwóch stron we wrześniu 1939 r. Potem nadeszła komunistyczna Polska. Oglądana przez Wańkowicza z daleka, z emigracji, potem naocznie, kiedy w 1958 r. wrócił do ojczyzny. Spotkał się z wrogością władz i permanentną inwigilacją. Mierzył się z demonami przeszłości – własnymi, a także ojczyzny, osobistą stratą oraz nową, pokraczną rzeczywistością, która nijak przystawała do tego, czym Polska była przed rokiem 1939. W PRL Wańkowicz miał do czynienia z najbardziej znanymi postaciami. Byli wśród nich pisarze, dziennikarze, a także Władysław Gomułka. Przedziwna to doprawdy była droga: od buntu wobec cara do buntu wobec towarzysza „Wiesława".

Wańkowicz, mistrz słowa i wirtuoz języka polskiego, zwykł mówić o sobie, że uprawia raczej literaturę faktu niż prozę czy przede wszystkim czysty reportaż. Tworzył dzieła uniwersalne, w których poprzez opisanie jednostki chciał pokazać przekrój dziejów, problemów i dylematów całego narodu. Pisarstwo miało dla niego wymiar społeczny, ale i osobisty. Pisał dużo o sobie i swej rodzinie, próbował pogodzić się z największą stratą swojego życia: śmiercią córki Krystyny, która poległa podczas powstania warszawskiego.

Łukasz Garbal dokonał tytanicznej pracy, zbierając na miejscu przeróżne informacje źródłowe o życiu i twórczości Wańkowicza. Wydaje się to osiągnięciem tym większym, że jeden z najważniejszych polskich pisarzy XX w. sam własne życie zamienił w jeden wielki spektakl. Jak słusznie zauważa autor, w czasach sprzed Instagrama, TikToka czy platformy X Wańkowicz robił dokładnie to – reżyserując opowieść o swoim życiu, toczącym się na tle dziejowych wydarzeń – co dzisiejsi celebryci i influencerzy. Dlatego tak trudno oddzielić prawdę od legend, mitów i półprawd oraz odpowiedzieć na pytanie, jaki był i dlaczego właśnie taki był Wańkowicz, który chętnie żonglował faktami i je „podkolorowywał", choć przecież jednocześnie nie uciekał się do kłamstwa.

Autor biografii nie opierał się tylko na słowach Wańkowicza, o ile nie było to absolutnie koniecznie. Starał się unikać opowieści, w których jednym narratorem byłby sam Melchior. To spowodowało, że zebrał ogromną ilość materiałów: archiwaliów, dokumentów, listów i wspomnień innych osób, które Wańkowicza znały, i to im oddał głos, mając jednak świadomość, że to wciąż niepełny materiał źródłowy.

Wańkowicz to ktoś znacznie więcej niż autor „Bitwy o Monte Cassino" i „Ziela na kraterze". Dla jednych to guru reportażu, dla innych irytujący starszy pan. Jego biografia to jednocześnie opowieść o Polsce XX w. ©℗

Anna Szczepańska



ŁUKASZ GARBAL
„WAŃKOWICZ. ŻYCIE NA KRATERZE"
CZARNE

eprasa.pl 5ab27a795f

Biesiady z procentami

Książka Marii Falińskiej jest wędrówką po dziejach kultury biesiadnej i obyczajów, zaczynającą się od starożytności. Pisząc o tej epoce, autorka przytacza ustalenia Szymona Hołowni, znanego pisarza książek o tematyce religijnej, który podaje, że w Biblii wino pojawia się 41 razy.

„Celebracja biesiady – pisze Falińska – wrosła w narodową ideologię bycia szlacheckim obywatelem państwa", a sarmacka Rzeczpospolita „kłaniała się Bachusowi w pas".

Maria Falińska często sięga do literatury. Przywołuje m.in. słynną scenę z „Potopu", gdy Jerzy Lubomirski tłucze bezcenny kielich o swoją głowę, a król Jan Kazimierz mówi na to, że nie szkoda kielicha, lecz głowy Lubomirskiego. Przesadzano często w piciu; Jan Chryzostom Pasek wyznaje w pamiętnikach, że po pijatyce trzy dni leżał nieprzytomny, w wysokiej gorączce. Autorka przypomina, że Mikołaj Rej nawoływał do wstrzemięźliwości w piciu trunków, ganił opilstwo, a Krzysztof Opaliński wyszydzał pijaków w swoich satyrach.

Alkoholu nie brakuje w „Panu Tadeuszu": Sędzia częstuje wódką gdańską, Gerwazy każe wyciągnąć z piwniczki starą siwuchę, dębniak i piwo, nie zabrakło też węgrzyna. Trudno, by nie było napojów wyskokowych na weselach, w tym na najsłynniejszym – Lucjana Rydla. W dramacie Wyspiańskiego jeden z bohaterów mówi: „Piję, piję, bo ja muszę / bo jak piję, to mnie kłuje; / wtedy w piersi serce czuję, / strasznie wiele odgaduję, tak po polsku coś miarkuję".

W „Klubie Pickwicka" alkohol jest – jak pisze Falińska – niemal głównym bohaterem dzieła. Mowa jest m.in. o koktajlu Psi Nos, ale autor nie omieszkał wspomnieć jednak o towarzystwach trzeźwości. Z kolei na kartach „Mistrza i Małgorzaty" rozgościł się spirytus. Behemot częstuje nim tytułową bohaterkę. „To nie jest diabelska kpina – stwierdza autorka – ale następstwo wielowiekowej legendy czystego alkoholu jako czegoś wyjątkowego, leczniczego, tajemniczego".

Alkohol towarzyszy rytuałom przejścia: chrztom, ślubom, pogrzebom. A – jak pisze autorka – te przełomy życiowe wymagały (i wymagają) biesiadnego podkreślenia, z ceremonialnymi toastami. ©℗

Tomasz Stańczyk



MARIA FALIŃSKA
„TEMPUS BACHANALIORUM"
OFICYNA WYDAWNICZA MÓWIĄ WIEKI

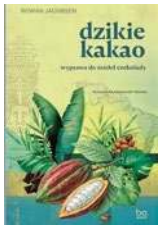
Zagłada Breslau

Niemcy bronili Breslau 12 długich tygodni. To miasto znajdowało się w okrążeniu dłużej niż Berlin, Budapeszt czy nawet Stalingrad. Przeciętnie każdego tygodnia ginęło 2 tys. mieszkańców Breslau. Miasto, które na początku 1945 r. było niemal nietknięte przez wojnę, w maju praktycznie przestało istnieć. Dlaczego Hitler ogłosił 600-tysięczną stolicę Śląska twierdzą i nakazał bronić jej do ostatniego żołnierza? I dlaczego Sowieci zgotowali tak straszny los jego mieszkańcom, szczególnie kobietom? Richard Hargreaves wykonał ogromną pracę badawczą, by opisać jedną z najbardziej zaciekłych bitew drugiej wojny światowej. ©℗

Piotr Włoczyk



RICHARD HARGREAVES
„BRESLAU 1945. OSTATNIA TWIERDZA HITLERA"
REBIS



ROWAN JACOBSEN
„DZIKIE KAKAO. WYPRAWA DO ŹRÓDEŁ CZEKOLADY"
I BO.WIEM

ZŁOTO MEZOAMERYKI

Kolumb widział, z jaką nabożną czcią Indianie traktują ziarna kakaowca, lecz nie zrobiło to na nim wrażenia. Zainteresowano się kakaowcem dopiero jakiś czas później. A właśnie kakao okazało się największym skarbem Mezoameryki, gdyż na jego punkcie oszalała Europa, a później cały świat. Książkę czyta się jak powieść sensacyjną. To zadziwiające, jak wielki wpływ na ludzkość miały tak niepozorne ziarna. ©℗ ***(a.s.)***



ELŻBIETA CHEREZIŃSKA
„ŚMIAŁY", „SZCZODRY"
ZYSK I S-KA

ŚMIAŁY I SZCZODRY

Autorka mierzy się z postacią króla Bolesława II, który zapisał się w dziejach głównie z powodu dramatycznego konfliktu z bp. Stanisławem. Nie jest to sprawiedliwe, gdyż jego biografia jest dużo bardziej złożona. Bolesław przywrócił Polsce koronę, był bardzo zdolnym dyplomatą. Stosunkowo niedawno doczekał się rehabilitacji. Określany bywa nawet jako jeden z najlepszych władców w historii Polski. ©℗ ***(a.s.)***



ANTHONY GRAFTON
„MAG. SZTUKA MAGICZNA OD FAUSTA DO AGRIPPY"
PIW

POZNAĆ NATURĘ RZECZY

„Czuję, że płonę pragnieniem zadania tak wielu pytań dotyczących rzeczy ukrytych" – mówił renesansowy polihistor, Giovanni Pico della Mirandola. Nie tylko on pragnął poznać naturę rzeczy i przyczynę różnych zjawisk. Wielu próbowało tego samego, zagłębiając się w alchemię, astrologię i filozofię. Autor opowiada o ich manipulacjach, a także o próbach dojścia do prawdy. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl 5ab27a795f

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Wajda
paszkwilant

Ktoś ogłosił rok 2026 Rokiem Andrzeja Wajdy i w telewizji państwowej trwa festiwal jego twórczości. Nie wiem, czy ci, którzy chcą pamięć Wajdy uczcić, przemyśleli sprawę. Efekt jest bowiem taki, że widz przypomina sobie, iż poza kilkoma arcydziełami Wajda wyprodukował też mnóstwo rzeczy miernych, koniunkturalnych, ciekawych tylko jako zapis układów, w których funkcjonował.

Tak jest ze spektaklem Teatru Telewizji „Bigda idzie" z roku 1999. Pamiętam, jak niesamowitą klakę robiono produkcji i premierze tego dzieła – w pewnym sensie była to prefiguracja filmu o Wałęsie, równie nieudanego, pomimo należytego dofinansowania produkcji, zatrudnienia najlepszych aktorów, świetnej scenografii, montażu itd. „Gazeta Wyborcza", która była wtedy potęgą, a w ślad za nią całe stada pojawiających się wszędzie „autorytetów" piały zachwyty, że Mistrz, sięgając po klasyczny tekst, wypowiedział się o polityce i powiedział o tej polityce rzeczy, ach, jakie głębokie i ważkie, że po prostu klękaj, narodzie.

W istocie Wajda zekranizował propagandową powieść „Mateusz Bigda" Juliusza Kadena-Bandrowskiego z roku 1933. Powieść jako powieść jest dziełem słabym, łopatologicznym, rozwlekłym, i, gdy wygasły emocje epoki, śmiertelnie nudnym. Okoliczności pozaliterackie czynią ją zaś na dodatek zwyczajną podłością. Jest to bowiem paszkwil na ludowców, a zwłaszcza ma skarykaturowanego w tytułowym bohaterze Wincentego Witosa. Premiera rządu jedności narodowej w roku 1920, wybitnego polityka, którego, jak każdego wybitnego polityka, Piłsudski nienawidził i nakazał zniszczyć. I zniszczono go. Witos został aresztowany i skazany w tzw. procesie brzeskim, a zanim zmuszono go do emigracji, poddawano go szczególnie złośliwym szykanom – bohaterskie „dzieci Piłsudskiego" zmuszały np. sędziwego przecież już wtedy męża stanu do czyszczenia gołymi rękami więziennych latryn.

Wyobraźmy sobie, że na Białorusi jakiś pismak, zawodowy chwalca Łukaszenki, pisze powieść o zepsuciu środowiska dziennikarskiego. Jej bohaterowie otwarcie deklamują, że są kłamcami, sprzedajnymi presstytutkami, wykonującymi zlecenia przeciw własnej ojczyźnie za dolary CIA. A zwłaszcza główny bohater, który niedwuznacznie ucharakteryzowany jest na dopiero co skazanego Andrzeja Poczobuta. Takim właśnie dziełem była powieść Kadena-Bandrowskiego, agregująca w trzech tomach obraz demokratycznych polityków jako bandy zdeprawowanych i zdegenerowanych karierowiczów i cwaniaków.

Ale czy potrafią sobie państwo wyobrazić, że kiedyś, w przyszłości, już w wolnym kraju, ktoś w tej właśnie powieści znajduje materiał na film reklamowany jako „bezlitosne pokazanie zepsucia demokratycznych mediów"?

Szaleństwo? Nie, produkcja i nagłośnienie żałosnego spektaklu Wajdy nie było wynikiem niewiedzy, tylko świadomym wpisywaniem się michnikowszczyzny w piłsudczykowski mit. Demokracja wymaga nadzoru ze strony wybitnych jednostek. Nie mogą rządzić politycy wybieralni, bo to demagodzy i oszuści – musi nad nimi stać Autorytet. Taki, jakim wtedy był Piłsudski (którego portret puentuje spektakl), a teraz… Przyznajmy uczciwie, w tym ostatnim punkcie Wajda nie wskazał palcem żadnej konkretnej osoby. Liczył najwyraźniej, że widzowie zostali już należycie wytresowani, by się domyślić, gdzie w ich czasach mają takich Autorytetów szukać. Przeliczył się, one też. I dobrze. Ale po co dziś do tego wracać? ©℗

Produkcja i nagłośnienie żałosnego spektaklu Wajdy nie były wynikiem niewiedzy, tylko świadomym wpisywaniem się michnikowszczyzny w piłsudczykowski mit

eprasa.pl 5ab27a795f



Piotr Semka

Czy znają państwo Naomi Seibt? Ta 25-latka zyskała w Niemczech sławę za sprawą swoich ostrych komentarzy, w których często przekracza granice politycznej poprawności.

Niedawno wywołała burzliwą dyskusję, pisząc: „NIE, MIGRANCI NIE ODBUDOWALI NIEMIEC!!! Mam dość kłamstw naszego rządu, że to migranci odbudowali moją wspaniałą ojczyznę po drugiej wojnie światowej. Nasi dziadkowie pracowali bez wytchnienia, podczas gdy miliony Niemców i Niemek były prześladowane, gwałcone i zabijane". Seibt obserwuje w sieci ponad pół miliona Niemców, więc nic dziwnego, że jej nonszalanckie dictum wywołało duży odzew.

/ Felieton

Dziwny sojusz niemieckiej niepamięci

Najpierw kilka słów o jej wypowiedzi. Youtuberka miesza wszystko ze wszystkim. Owszem, imigranci pomogli odbudować Niemcy, ale dopiero od końca lat 50., kiedy republika bońska stanęła na nogi i Niemcy do mniej atrakcyjnych prac zaczęli ściągać gastarbeiterów z Portugalii, Hiszpanii, Włoch czy Jugosławii. Tuż po wojnie kraj odbudowywali zwykli Niemcy. Natomiast jeszcze wcześniej, pod koniec wojny, niemieccy cywile faktycznie byli prześladowani, zabijani i maltretowani, ale głównie przez Rosjan, którzy dodatkowo masowo gwałcili Niemki. Po wojnie zawsze wpajano zachodnim Niemcom, a potem po zjednoczeniu wszystkim mieszkańcom RFN, że nie można odrywać tych powojennych przypadków cierpień od zbiorowej winy, którą ponosili wszyscy Niemcy za dopuszczenie do władzy Hitlera i podpalenie połowy świata.

Wypowiedź Naomi Seibt pokazuje, jak w głowach młodych Niemców, którzy buntują się przeciwko politycznej poprawności, narasta żądanie uznania krzywd niemieckich za równe wcześniejszym krzywdom narodów, które cierpiały pod niemieckim batem. A jeśli dodać do tego jeszcze walkę Seibt z łopatologiczną propagandą rządową idealizującą imigrantów, to nic dziwnego, że potem powstaje taka zbitka: „Przestańcie kłamać o tym, że imigranci odbudowali Niemcy, a zacznijcie przypominać, jak Niemców mordowano i niszczono".

Dobrą ilustracją zmiany nastrojów u naszych zachodnich sąsiadów jest informacja przekazana przez stowarzyszenie muzealne zajmujące się miejscami pamięci ku czci ofiar nazistowskiej dyktatury. Donosi ono o skokowym wzroście ataków na położone na terenie RFN miejsca upamiętnienia hitlerowskich zbrodni. Coraz rzadziej widzi się neonazistowskie hasła, a rośnie z kolei liczba antysemickich sloganów nawiązujących do konfliktu na Bliskim Wschodzie. Na terenie byłego obozu Sachsenhausen liczba ataków podwoiła się w ostatnich latach. Są to m.in. uszkodzenia mienia oraz napisy ze swastykami i obelgami wymierzonymi w Izrael. Jak wskazuje Oliver von Wrochem, rzecznik wspomnianego stowarzyszenia muzealnego: „Zmianie uległo otoczenie polityczne, co widać po umacnianiu się AfD i przesuwaniu się społeczeństwa na prawo".

Von Wrochem dodaje: „Wcześniej mieliśmy do czynienia niemal wyłącznie z incydentami o skrajnie prawicowym podłożu. Dziś dochodzi także do ataków skrajnie lewicowych, zwłaszcza z odniesieniami do Palestyny. Niedawno na terenie dawnego obozu koncentracyjnego Hamburg-Neuengamme nieznani sprawcy wymalowali hasła ku czci islamskiego Hamasu".

W 2024 r. zarejestrowano 3452 czyny przeciwko miejscom pamięci; najwięcej od 2019 r. W zeszłym roku na terenie berlińskiego Pomnika Pomordowanych Żydów Europy 19-letni Syryjczyk zaatakował nożem człowieka odwiedzającego to miejsce pamięci. Sprawca był członkiem Państwa Islamskiego i zeznał potem, że „chciał zabijać Żydów".

Za Odrą spotykają się dwa zjawiska – traktowanie części rdzennych Niemców za ofiary ostatniej wojny i otwarta wrogość muzułmanów wobec miejsc związanych z martyrologią Żydów. Stary antysemityzm spotyka się z nowym. Wiara niemieckiej lewicy w to, że młodzi muzułmanie będą akceptować niemiecką kulturę wstydu wobec zbrodni na Żydach, nie wytrzymuje konfrontacji z realiami. ©℗

eprasa.pl 5ab27a795f



1863 r. / Polski ślad w słynnej bitwie

Odcięta ręka generała Lee



Grzegorz Janiszewski

W bitwie pod Chancellorsville gen. Lee wzniósł się na wyżyny swojego dowódczego geniuszu, będąc bliski zakończenia wojny na warunkach Południa. Jednocześnie stracił tam swojego najlepszego generała, bez którego stało się to niemożliwe

Wiosną 1863 r. trwająca już prawie dwa i pół roku amerykańska wojna domowa przypominała pasmo porażek Północy. Przynajmniej na najważniejszym froncie wschodnim. Po fatalnej dla Unii bitwie pod Fredericksburgiem w grudniu 1862 r. wojska obu stron odeszły na zimowe leża po obu stronach rzeki Rappahannock. Żołnierze Unii byli sfrustrowani porażkami, morale kulało, szerzyły się dezercje.

Lincoln pod koniec stycznia 1863 r. zastąpił kunktatorskiego dowódcę Armii Potomaku, gen. Ambrose'a Burnside'a, gen. Josephem Hookerem noszącym przydomek Walczący Joe. Pierwszym jego zadaniem było uczynienie ze zdemoralizowanych oddziałów gotowej do walki armii.

Sztab Hookera szybko zabrał się do roboty. Świeże warzywa i chleb zastąpiły puszki i suchary. Obozy zostały uporządkowane, wydano ciepłą odzież i piecyki. Wzmocniono personel medyczny w szpitalach. Ogłoszono amnestię dla dezerterów i dłuższe przepustki dla wyróżniających się pododdziałów. Wprowadzono też wyróżniające odznaki dla korpusów, czego brakowało mającej niewielkie tradycje amerykańskiej armii. Hooker szybko zaprowadził dyscyplinę i podniósł morale, mimo że sam nie był wzorem cnót. Kapitan Charles Adams, który wizytował jego kwaterę w Falmouth, określił ją jako „skrzyżowanie baru z burdelem".

Jego przeciwnicy byli zupełnie inni. Generał Robert Lee uchodził za wzór południowego dżentelmena. Dzielił niedole służby, czasem wręcz nie dojadając razem ze swoimi żołnierzami. Jego najlepszy dowódca korpusu – gen. Thomas Jackson – był surowym służbistą, bez wahania karzącym nawet wysokich oficerów za błahe przewinienia. Był też gorliwym prezbiterianinem. Kiedy nie dowodził, prawie ciągle się modlił, przekonany, że Bóg stoi po stronie Konfederacji. W pierwszej bitwie pod Bull Run zyskał przydomek Stonewall, kiedy jego oddział stał pod ogniem jak kamienny mur. Potem przepędził federalnych z doliny Shenandoah – spichlerza Konfederacji – ratując Południe przed wzięciem głodem. Tym razem zadanie z pozoru było prostsze. Konfederaci mieli po prostu bronić rodzinnej Wirginii przed najazdem troglodytów i groszorobów z Północy. Zadanie tym łatwiejsze, że drogę zagradzała rzeka Rappahannock, którą trzeba było forsować brodami albo saperskimi mostami. Na południe od niej, na obszarze ok. 400 km kw., rozciągało się Wilderness – pokryty gęstymi krzewami i drzewami teren po wyrębie lasów. Łatwy do obrony, a trudny do ataku, ponieważ można się było po nim poruszać zaledwie kilkoma drogami.

Hooker pod koniec kwietnia postanowił zaskoczyć wroga, uderzając na jego flankę. Pod Fredericksburgiem zostawił VI Korpus gen. Sedgwicka, który miał pozorować przeprawę przez Rapphannock, a czterem pozostałym kazał sforsować rzekę brodami i mostami, obchodząc lewą flankę Armii Północnej Wirginii. Korpusy miały zająć dogodną pozycję na wielkiej śródleśnej polanie w pobliżu farmy nazywanej od nazwiska właścicieli Chancellorsville.

70 tys. federalnych ze 184 działami cały dzień (30 kwietnia) przesuwało się na południe, zajmując planowane pozycje pod Chancellorsville. Wieczorem przybył tam Hooker. Dopiero wtedy zrozumiał, co to za miejsce. „Nie byłem przygotowany, żeby znaleźć się w gąszczu prawie nie do przejścia. Nie da się manewrować" – pisał później.

Zaskoczony Lee zaczął przerzucać swoje oddziały na lewe skrzydło dopiero

eprasa.pl 5ab27a795f



Generał Thomas Jackson „Stonewall" otrzymuje śmiertelną ranę FOT. LIBRARY OF CONGRESS

po otrzymaniu spóźnionego meldunku o przeprawiających się korpusach. Wysłał tam cztery dywizje, jedną zostawiając pod Fredericksburgiem – łącznie miał ok. 53 tys. żołnierzy. 1 maja upłynął na poszukiwaniu się przez wrogie oddziały w gąszczu Wilderness i nierozstrzygniętych potyczkach. W końcu federalni dostali rozkaz wycofania się do Chancellorsville i okopania się wokół farmy.

Piesza kawaleria

Lee był zaskoczony, ale nie miał zamiaru realizować planu Hookera. Wieczorem obok nieczynnej huty żelaza Catherine Furnace spotkał się z Jacksonem. Generałowie nie wiedzieli dokładnie, jakimi siłami dysponuje Hooker. Lee nie chciał się wycofywać, ale wiedział, że atak na umocnione pozycje w centrum zakończy się klęską. Uderzenie na lewe skrzydło przeciwnika oznaczałoby marsz przed nosem federalnych znajdujących się na drugim brzegu Rappahannock, a potem atak na umocnione pozycje, co groziło kontratakiem i przyparciem do rzeki. Za to prawe skrzydło Hookera „wisiało w powietrzu", nieoparte o przeszkody terenowe czy fortyfikacje. Atak na nie był jednak ryzykowny. Trzeba było przejść niezauważonym kilkanaście mil po drogach w leśnej gęstwinie, a potem uszykować oddziały do walki pod okiem balonów obserwacyjnych Północy. Część sił trzeba było zostawić naprzeciw centrum Hookera, który mógł je łatwo zniszczyć, gdyby przejrzał plan. Lee nie miał jednak właściwie innego wyjścia i szybko podjął decyzję.

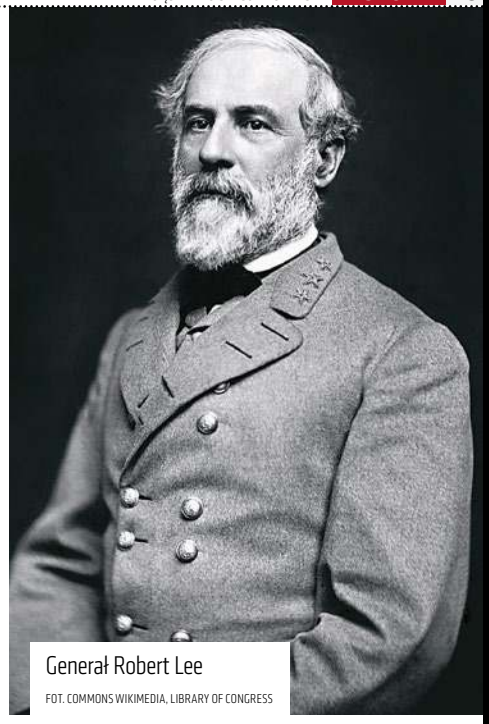
Rankiem 2 maja Jackson z 28 tys. żołnierzy i 108 działami wyruszył w drogę. Lee został na miejscu z 13 tys. żołnierzy, żeby pozorować działania przygotowujące do ataku na federalne centrum. Złamał przy tym podstawową zasadę sztuki wojennej, zakazującej dzielenia sił w obliczu nieuchronnego starcia z przeciwnikiem. Cały plan „wisiał" na lokalnym przewodniku, który miał przeprowadzić wojsko wąską drogą w gęstwinie, umiejętnościach Jacksona, który miał niepostrzeżenie rozwinąć szyki na flance, i wreszcie – bierności Hookera.

Jackson się spieszył. Oprócz dział ciągnięto tylko wozy z amunicją i ambulanse. Wąska droga ciągle się korkowała, ale konfederaci mieli szczęście. Ziemia była mokra po deszczach i przemarsz nie wzniecał kurzu. Wiał też dosyć silny wiatr, który uniemożliwiał obserwację z balonów.

Po siedmiu godzinach marszu i przejściu prawie 20 km konfederacka awangarda znalazła się w miejscu, gdzie można było zacząć formować szyk. Nie było to łatwe, bo żołnierzy trzeba było ustawić w równych szeregach w leśnej gęstwinie, w dodatku w całkowitej ciszy, zaledwie kilometr od pozycji XI Korpusu.

Hooker od rana objeżdżał pozycje Armii Potomaku i zdawał sobie sprawę ze słabości swojego prawego skrzydła. Jeszcze w nocy posłał po I Korpus spod Fredericksburga, który miał wzmocnić flankę. Oddział nie dotarł jednak na czas, bo wysłany z rozkazem kurier pomylił drogę. Hooker kazał więc dowódcy XI Korpusu, gen. Howardowi, wzmocnić pozycje i wystawić ubezpieczenia na wypadek ataku od południa. Ani on, ani Hooker w najczarniejszych snach nie przewidywali, że przeciwnik wyjdzie z lasu na zachodzie, daleko od pikiet.

Konfederatów wyruszających rano na pozycje zauważyli żołnierze z III Korpusu. Jego dowódca, jak zawsze narwany gen. Daniel Sickles, słał o tym gorączkowe meldunki i prosił o zgodę na atak. Otrzymał ją ok. południa; do wieczora w okolicach Catherine's Furnace toczyły się walki.



Generał Robert Lee
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Przerwany piknik

To starcie przekonało Hookera, że Lee pospiesznie cofa się w kierunku Gordonsville. W dodatku doniesiono mu, że konfederaci cofają się też z pozycji pod Fredericksburgiem. Tymczasem na prawym skrzydle Unii panował całkowity spokój. Z lasu na zachodzie dobiegały co prawda jakieś odgłosy, ale żołnierze nie zwracali na to zbytnio uwagi, pochłonięci informacjami o walkach na południu.

Liczący ok. 10 tys. żołnierzy XI Korpus był najmniej liczną jednostką w Armii Potomaku. Składał się głównie ze świeżych emigrantów z centralnej Europy, dowodzonych zwykle przez anglosaskich oficerów. Jego trzy dywizje rozłożyły się na wielkiej polanie, frontem na południe. W środku szyku rozmieszczona była 3. Dywizja, w której 2. brygadą dowodził emigrant z Wielkopolski, płk Włodzimierz Krzyżanowski. W składzie brygady znajdował się stworzony przez niego 58. Nowojorski Pułk Ochotniczy. Ze względu na znaczną liczbę służących w nim Polaków nazywany był „Polskim Legionem".

eprasa.pl 5ab27a795f



Przeprawa oddziałów gen. Hookera przez rzekę Rappahannock FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY



Stanowisko artylerii wojsk Konfederacji
FOT. GRZEGORZ JANISZEWSKI

Dwaj zapobiegliwi Niemcy dowodzący oddziałami Północy – płk Leopold von Gilsa i gen. Carl Schurz – przeczuwali, że coś się szykuje, i słali meldunki do przełożonych z prośbami o przegrupowanie Korpusu. Trafiały one jednak w próżnię. Generał Charles Devens, dowódca stojącej na skraju 1. Dywizji, po upadku poprzedniego dnia z konia leczył ból dużymi dawkami whisky. Howard pojechał nadzorować natarcie pod Catherine Furnace. Jedyną osłoną prawego skrzydła były wysyłane przez von Gilsę patrole, które jednak nie odkryły konfederatów, a także dwa pułki, którym Schurz kazał ustawić się na prawym skrzydle frontem na zachód. Reszta żołnierzy Korpusu zaczęła przygotowywać się do kolacji i nocnego spoczynku. Karabiny ustawiono w kozły.

W tym czasie konfederaci w gęstwinie leśnej ustawiali się do ataku. W drugiej linii stały słynne „Tygrysy z Luizjany" i dwa pułki (14. i 15.) z tego stanu, które tworzyły tzw. Polską Brygadę – sformowane przez polskiego emigranta Kaspra Tochmana miały bowiem w składzie wielu Polaków. Działa stały natomiast w kolumnie na drodze, bezużyteczne w plątaninie gałęzi.

Około godz. 17.30 Jackson wydał rozkaz do ataku. Długa na milę tyraliera powoli ruszyła do przodu, pędząc przed sobą ptaki i leśną zwierzynę, która przestraszona wybiegała z lasu, wprost na stanowiska federalnych. Za nią wyłonili się żołnierze w szarych mundurach, z powiewającymi nad głowami sztandarami Konfederacji. Towarzyszył im ogłuszający, świdrujący i przerażający krzyk – „Rebel yell".

Atak był nie tylko niespodziewany, lecz także miażdżący. Brygada von Gilsy niemal natychmiast poszła w rozsypkę. Konfederaci dosłownie rozdeptali żołnierzy Unii, z których większość nie zdołała nawet oddać strzału. Pijany Devens widział, co się dzieje, ale odmawiał zmiany frontu dywizji. Jej żołnierze wkrótce zaczęli uciekać razem z taborowymi wozami i rzeźnym bydłem.

Jednym z nielicznych dowódców, którzy zachowali wtedy zimną krew, był Krzyżanowski. Dwa pułki piechoty z jego brygady (58. i 26.) broniły się kilkanaście minut przed szturmującymi konfederatami wśród zalewających je fal uciekinierów, wozów i armatnich jaszczów. To prawdopodobnie wtedy doszło do bratobójczej walki Polaków. W końcu oflankowane z dwóch stron pułki musiały ustąpić. Pozwoliło to jednak na zorganizowanie drugiej linii oporu i wprowadziło zamieszanie w szyki nacierających. Południowe pułki zaczęły na siebie następować. Mimo to ich impet był tak duży, że XI korpus został zepchnięty kilkaset metrów i zmienił się w bezładną masę żołnierzy, wozów, koni i bydła podążającą wzdłuż drogi Orange Turnpike. Porucznik Oliver Mercer z 20. pułku piechoty z Karoliny Północnej tak wspominał ten pościg: „Natarliśmy na nich, a oni uciekali jak psy, zostawiając wszystko. Plecaki, kufry, broń, nawet tłuste krowy, odarte już ze skóry".

Celem Jacksona było dotarcie do odległej o niecały kilometr polany Chancellorsville i odcięcie Hookera od brodów. Zapadający zmrok i dezorganizacja szyków uniemożliwiły mu zrealizowanie tego zamiaru.

Hooker dowiedział się o porażce ok. godz. 18.30, kiedy na polanę zaczęli napływać uciekinierzy. Generał rzucił na drogę Plank Road brygadę kawalerii Alfreda Pleasontona, która z dużymi stratami zatrzymała przeciwnika. W tym czasie na wzniesieniu Hazel Grove rozmieściła się bateria artylerii. Działa na oślep zaczęły razić kryjących się w lesie konfederatów, którzy z powodu ciemności nie byli w stanie celować ze swoich muszkietów do artylerzystów.

Strzały znikąd

Po zmroku Jackson wraz z grupą oficerów wyjechał na rekonesans przed front oddziałów. Kiedy wracał, jego grupę dostrzegli rozmieszczeni wzdłuż Plank Road żołnierze z konfederackiego 37. pułku z Karoliny Północnej. Spodziewając się kawalerii Pleasontona, oddali do nich salwę. Jeźdźcy rzucili się do ucieczki w las, ale tam zostali ostrzelani przez żołnierzy z 18. pułku. Dwóch żołnierzy zginęło na miejscu, a Jackson został ranny w obie ręce i zniesiony na noszach z pola bitwy. Dowodzenie się załamało. Federalni na polanie mieli już ponad 70 dział, z których bili teraz po lasach. Chaotyczne walki toczyły się jeszcze przez całą noc, ale Hooker zyskał czas na ufortyfikowanie pozycji.

eprasa.pl 5ab27a795f

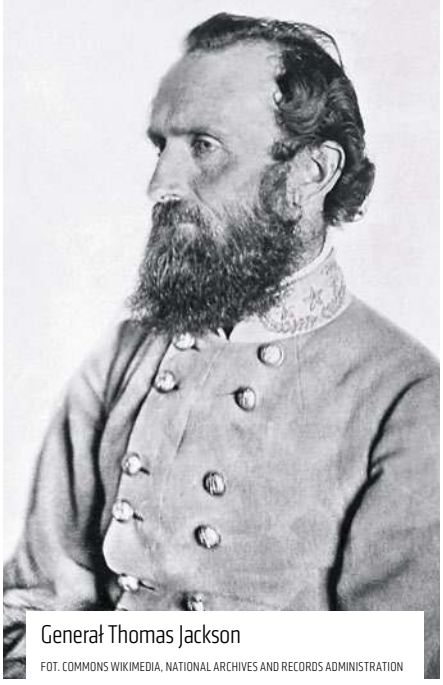
Mimo poniesionej klęski jego sytuacja wcale nie była zła. Generał miał na polanie siedem dywizji. Dodatkowo mógł liczyć na VI korpus Sedgwicka, któremu nakazał marsz w kierunku Chancellorsville. Popełnił jednak poważny błąd, wycofując artylerię z Hazel Grove.

O świcie 3 maja walki zaczęły się na nowo. Konfederaci atakowali z powodzeniem, wspierani teraz armatami z Hazel Grove, które obsadzili. Bitwa zmieniła się w mordercze zmagania oddziałów i grupek żołnierzy, toczone w poprzecinanej okopami i parowami gęstwinie Wilderness. Z braku amunicji żołnierze walczyli często na bagnety i kolby karabinów. W końcu federalnej artylerii zaczęło brakować amunicji, a jej dostawy paraliżował ogień baterii na Hazel Grove, która w tym czasie rozrosła się do 50 dział.

Wciąż nie był to jednak czynnik, który przesądziłby o wyniku bitwy. Kluczowym problemem stał się dopiero brak dowódcy. Około godz. 9 Hooker stał na werandzie domu Chancellorów, kiedy uderzyła w nią armatnia kula. Złamana część kolumny uderzyła go w głowę, pozbawiając przytomności. Generał wkrótce ją odzyskał, ale co kilkanaście minut nachodziły go ataki: zawroty głowy i wymioty. Jednak mimo wstrząśnienia mózgu dowodził dalej.

W tym czasie południowcy zaczęli dokonywać od zachodu poważnych wyłomów w liniach Unii. Federalni żołnierze zmęczeni walką i pozbawieni wsparcia artylerii zaczęli się wycofywać. Około godz. 10 do walki na południu włączyły się, po forsownym, trzygodzinnym marszu, oddziały prowadzone przez gen. Lee. Hooker w końcu przekazał dowodzenie gen. Dariusowi Couchowi, nakazując mu zorganizowanie obrony na północ od Chancellorsville. Resztki II, III i XII korpusu Unii zaczęły się wycofywać ścigane przez artylerię przeciwnika, która strzelała do nich jak na ćwiczeniach.

Podpalony ogniem dział wielki dom Chancellorów obracał się w ruinę. Paliły się też zarośla na polanie, w których płonęło żywcem wielu rannych. Jeden z uciekających, sierż. Cruikshank ze 123. pułku z Nowego Jorku, tak opisał odwrót: „Byłem tak wyczerpany, że nie mogłem iść szybciej, chociaż dookoła latały kule i granaty. Pocisk trafił w jaszcz, który wybuchł, zabijając kilku żołnierzy, a jednego odzierając całkiem z munduru". Odwrót uratowali weterani z II Korpusu gen. Hancocka, którzy prowadząc ogień, utworzyli korytarz dla cofających się oddziałów.



Generał Thomas Jackson

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

W cieniu drzew

Około 11 na oczyszczoną z przeciwnika polanę wjechał gen. Lee. Powitali go zmęczeni, ale wiwatujący na cześć dowódcy żołnierze konfederacji. Major Charles Marshall tak potem wspominał ten moment: „Długi, nieprzerwany okrzyk, w którym słabe jęki leżących na ziemi mieszały się z silnymi głosami wciąż walczących".

Lee miał zamiar wykorzystać sukces, ścigać Hookera i rozbić Armię Potomaku. Jednak ok. południa dostał meldunek, że spod Fredericksburga w kierunku Chancellorsville ruszył Sedgwick z VI Korpusem. Lee rzucił przeciw niemu dywizję Lafayette'a McLawsa, która powstrzymała federalnych w zażartym starciu pod Salem Church. 4 maja Konfederaci wyparli VI Korpus za Rappahannnock.

Następnego dnia, po naradzie z generałami, Hooker podjął decyzję o wycofaniu się za rzekę. Armia Potomaku przekraczała ją w strugach deszczu i błyskawicach burzy, która rozpętała się w nocy. Generał Jackson umarł tydzień później, na plantacji w Guinea Station, z powodu zapalenia płuc, które wywiązało się po zranieniu i amputacji ręki. Jego ostatnie wypowiedziane w malignie słowa brzmiały: „Przejdźmy przez rzekę i odpocznijmy w cieniu drzew".

Generał Lee odniósł największy sukces w swojej karierze. Unia została wyparta prawie do granic Konfederacji. Jej stolica i linie zaopatrzeniowe były niezagrożone. Morale po kolejnym zwycięstwie niepomiernie wzrosło. Wojny z potęgą Północy nie można było wprawdzie wygrać, ale po Chancellorsville zawarcie pokoju i ocalenie Konfederacji wydawało się możliwe.

Jednak dwa miesiące później pod Gettysburgiem nie starczyło już nie tylko wytraconych w serii krwawych bitew żołnierzy i sprzętu. Przede wszystkim zabrakło dowódcy korpusu, który zrealizowałby skomplikowany jak zwykle do granic możliwości plan gen. Lee. Gdyby Jackson żył, bitwa – a może i cała wojna – mogłaby skończyć się zupełnie inaczej. „Stracił lewą rękę, ale ja straciłem prawą" – proroczo zauważył Lee.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Pokój, w którym zmarł gen. Jackson

FOT. GRZEGORZ JANISZEWSKI

eprasa.pl 5ab27a795f



Kula wystrzelona z karabinu skałkowego. Amunicja należy do najczęściej odnajdowanych pozostałości bitwy maciejowickiej FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Pobojowiska wyjątkowe



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Rzadko się zdarza, by z terenu, na którym toczyły się bitwy, pozyskano w większej ilości związane z nimi artefakty. Do nielicznych i spektakularnych wyjątków należą Beresteczko i Maciejowice

Po zakończonym starciu pobojowisko było skrupulatnie penetrowane w celu odszukania wszelkich przedmiotów przedstawiających sobą jakąkolwiek wartość. Pierwszymi „eksploratorami" byli żołnierze zwycięskiej armii, natomiast potem pojawiała się miejscowa ludność, która miała znacznie więcej czasu na dokładne przeszukanie terenu. Właśnie dlatego wiele epokowych batalii, w których brały udział tysiące walczących, pozostawiło po sobie tak mało materialnych śladów. Dobrym przykładem jest choćby Grunwald, jedna z największych i najbardziej krwawych bitew średniowiecza. Z każdym sezonem badań archeologicznych ilość materiału zabytkowego co prawda się zwiększa, a część znalezisk można z pewnością łączyć z wydarzeniami z 15 lipca 1410 r. Jednak dla laika są one mało ciekawe i zazwyczaj nieidentyfikowalne. Poza grotami bełtów i strzał stanowią je najczęściej drobne ułamki metali, być może wdeptane w ziemię w ferworze walki. Owszem, zdarzyło się odnaleźć kilka robiących wrażenie militariów, jednak w żadnym wypadku nie oddają one skali owego olbrzymiego starcia. Niemal wszystko, co można było dostrzec na ziemi, zostało po walce zebrane.

Na bagnach Płaszówki

Są jednak od tej reguły spektakularne wyjątki. Wynikają one z charakteru walki i terenu, na którym ją stoczono. Do najbardziej znanych pobojowisk zalicza się Beresteczko. W bitwie stoczonej w dniach 28–30 czerwca 1651 r. przez armię koronną i siły kozacko-tatarskie Rzeczpospolita Obojga Narodów odniosła jedno z największych zwycięstw w swej historii. Po pobiciu przeciwnika i zmuszeniu do ucieczki wojowników chana Islama Gireja walki skoncentrowały się wokół taboru, w którym zamknęła się piechota zaporoska. Usytuowano go na trudno dostępnych bagnach niewielkiej rzeczki Płaszówki, stąd też jego zdobycie w bezpośrednim szturmie kosztowałoby morze krwi. Oblegającym pomógł jednak przypadek. Otóż splot niefortunnych zdarzeń wewnątrz kozackiego obozu spowodował wybuch nagłej paniki, która pchnęła tysiące ludzi do bezładnej ucieczki. Jedyna droga przez mokradła prowadziła poprzez wąską groblę. Chaos pogłębiło polskie natarcie, zamieniając ucieczkę w rzeź. Ci, którzy

eprasa.pl 5ab27a795f



Fragment ekspozycji pod Beresteczkiem. Szabla, mimo przebywania blisko 320 lat w ziemi, zachowała się w doskonałym stanie

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

nie padli pod ciosami, potonęli w bagnie z całym wyposażeniem. Zaczęto je wydobywać na powierzchnię w latach 70. ubiegłego wieku, w ramach sukcesywnych badań terenowych. Odnaleziono setki szkieletów oraz imponującą liczbę kozackich militariów oraz rzeczy codziennego użytku. Beztlenowe środowisko torfowe sprawiło, że wiele przedmiotów wykonanych z materiałów organicznych przetrwało w znakomitym stanie. Zachowały się m.in. całe szable i słynne kozackie samopały. Beresteczko okazało się kopalnią (dosłownie!) wiedzy o XVII-wiecznej wojskowości, ówczesnej modzie, organizacji życia obozowego i pracy kancelarii zaporoskiej.

Beresteczko zajmuje szczególne miejsce w świadomości Ukraińców, a dramat kozackiej armii sprzed 375 lat pozostaje ważnym spoiwem narodowej tożsamości. Pobojowisko upamiętnione zostało jeszcze przed pierwszą wojną światową. Nieopodal wsi Plaszowa wybudowano imponującą cerkiew mauzoleum pw. św. Jerzego. W jej podziemiach zaczęto składać odnajdywane w okolicy kości poległych. Obok stanęła urokliwa drewniana cerkiewka pw. św. Michała, przeniesiona z pobliskiego Ostrowa. To w niej, według podania, modlił się tuż przed bitwą Bohdan Chmielnicki. Obie świątynie połączono podziemnym korytarzem prowadzącym do krypty ze szczątkami Kozaków. Dopełnieniem otoczonego murem kompleksu jest drewniany budynek muzeum, w którym prezentowane są rzeczy wydobyte podczas prac archeologicznych. Choć niewielki, to robi oszałamiające wrażenie ze względu na liczbę i jakość prezentowanych eksponatów. Kilkaset metrów od tego kompleksu memorialnego, noszącego nazwę „Kozackie Mogiły", znajduje się imponujący pomnik zaporożców.

Kościuszkowskie orły

Z podobną sytuacją, choć w zdecydowanie mniejszej skali, mamy do czynienia w przypadku Maciejowic. Stoczona tam bitwa była ostatnim dużym starciem w polu armii I Rzeczypospolitej – państwa, które w wyniku klęski insurekcji kościuszkowskiej zostało wkrótce wymazane z mapy Europy. Intencją Tadeusza Kościuszki było przejęcie inicjatywy strategicznej poprzez rozbicie jednego z rosyjskich korpusów zmierzających koncentrycznym marszem ku Warszawie. Plan Kościuszki był optymalny, wymagał jednak perfekcyjnej koordynacji podległych mu sił i zaatakowania wroga armią liczebnie silniejszą. Stało się jednak inaczej. Wskutek błędów na plac boju dotarła 10 października 1794 r. tylko część wojsk i naczelnik musiał stoczyć bitwę obronną z przeważającym wrogiem. Armia polska zajęła pozycję na wschód od Maciejowic, z frontem zwróconym w kierunku południowym. Rosjanie zmuszeni zostali do atakowania pod górę, dodatkowo gęsty las oraz podmokły teren znacznie utrudniały im podejście do polskich pozycji. Mimo tych niedogodności carski generał Iwan Fersen zachował inicjatywę przez cały czas trwania bitwy, realizując założenia taktyczne z zabójczą konsekwencją. Rosjanie w ciągu kilku godzin związali siły polskie na całej linii, a jazda oskrzydliła je z obu flanek. Wobec przeszło trzykrotnej przewagi przeciwnika w artylerii Polacy nie mogli przemóc Rosjan w statycznej walce na wyniszczenie. Jazda zaczęła samorzutnie opuszczać pole bitwy, co przy zdecydowanej liczebnej przewadze Rosjan musiało zakończyć się katastrofą. Ocalali z pogromu żołnierze polscy wycofywali się jedyną dostępną jeszcze drogą, poprzez podmokłą dolinkę położoną na północ od wsi Oronne, między dwiema rzeczkami – Okrzejką i Pytlochą.

Tam właśnie skoncentrowały się prace archeologiczne podjęte w 2011 r. Wojsko Kościuszki, a przynajmniej duża jego część, uchodziło z pola bitwy w nieładzie, nie dbając o uzbrojenie i wyposażenie. Cofało się przez teren podmokły, wobec czego porzucone, względnie zagubione przedmioty zalegały głęboko w gruncie, utrudniając ich odnalezienie i wydobycie zaraz po walkach. W trakcie badań pozyskano kilkaset przedmiotów związanych z bitwą. Z uwagi na kontekst stanowią bezcenne źródło wiedzy o samym starciu, jak również o armii schyłku I Rzeczypospolitej. Gros znalezisk to amunicja karabinowa, ale są także elementy broni, wyposażenia i galanterii mundurowej. Dużą wartość mają zwłaszcza guziki z numerami jednostek, które posiadają ogromne znaczenie w badaniach nad dziejami polskiego munduru wojskowego epoki stanisławowskiej. Najcenniejszym spośród odnalezionych militariów okazał się orzeł z czapki polskiego piechura, który to żołnierz próbował zapewne wydostać się z masakry, którą triumfujący Rosjanie zgotowali powstańczej armii po załamaniu się jej szyków. Orzeł, odlany ze stopu cyny i ołowiu, w koronie zamkniętej, głową zwrócony jest w prawo, a skrzydła ma podniesione do góry. W prawej łapie trzyma berło, w lewej owalną tarczę z monogramem SAR (Stanislaus Augustus Rex). Orły tego wzoru nakładane były na mosiężną lub cynkową blachę i przytwierdzane do filcowych kaszkietów noszonych przez żołnierzy regimentów pieszych. Egzemplarz odnaleziony pod Maciejowicami jest w znacznym stopniu uszkodzony przez korozję i ma ułamane końcówki skrzydeł. Nie umniejsza to jednak jego ogromnej wartości historycznej, tym bardziej że w muzeach zachowało się zaledwie kilka takich godeł.

Kilka lat temu dwa takie orły odnaleziono podczas prac prowadzonych na pobojowisku pod Dubienką, gdzie 18 lipca 1792 r. Kościuszko powstrzymywał – tym razem dużo umiejętniej – natarcie Rosjan dławiących zdobycze Konstytucji 3 maja. Orły są przepiękne, jednak ich prawdziwa wartość tkwi w ich historycznym kontekście – to właśnie on czyni je zabytkami bezcennymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f



W 1948 r. Żydzi wypędzili 730 tys. Palestyńczyków z ich domów i ziemi. Na zdjęciu: arabskie kobiety i dzieci wypędzone ze wsi Tantura, następnie zniszczonej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BENNO ROTHEMBERG, BLIBLIOTEKA NARODOWA IZRAELA

XX w. / Izraelski radykalizm

Przestroga skruszonego syjonisty



Piotr Zychowicz

Izrael nie wszedł na drogę ekstremalnej przemocy pod rządami Netanjahu. Kroczy nią konsekwentnie od momentu swojego powstania

Organizacja Narodów Zjednoczonych opublikowała właśnie najnowsze dane dotyczące liczby ofiar izraelskiego ludobójstwa w Strefie Gazy. Tym razem skupiono się na cierpieniach Palestynek. Wyliczenia ONZ-owskich ekspertów są szokujące:

– 38 tys. dziewczynek i kobiet zabitych w latach 2023–2025;

– 47 dziewczynek i kobiet zabijanych dziennie;

– 11 tys. dziewczynek i kobiet poważnie okaleczonych na całe życie (poparzenia, oślepienie, urwane kończyny, złamane kręgosłupy).

Milion dziewczynek i kobiet pozbawionych dachu nad głową. W sumie w Strefie Gazy zabitych zostało 72 tys. Palestyńczyków, z czego 21 tys. ofiar stanowiły dzieci.

Jednocześnie znamy już tragiczny bilans ostatniej „chirurgicznej operacji" Izraela na południu Libanu i bombardowań Bejrutu. Okazuje się, że w trakcie kilku tygodni Siły Obronne Izraela zabiły 2294 Libańczyków, z czego 25 proc. to kobiety i dzieci. 7544 osoby zostały ranne.

Około miliona mieszkańców zostało wypędzonych z południowego Libanu. Izrael wysadził mosty na rzecze Litani, odcinając im drogę powrotu. A teraz systematycznie wysadza w powietrze ich domy, szkoły, świątynie i szpitale. Tak aby nie mieli jak wrócić i dokąd wrócić.

Oto bilans działań – używając określenia premiera Beniamina Netanjahu – najbardziej humanitarnej armii na świecie. Do tego należy dodać setki cywilów, mężczyzn, kobiet i dzieci, które zostały zgładzone przez izraelskie lotnictwo podczas niedawnej agresji na Iran.

Tłumaczenie Izraelczyków jest zawsze takie same: walczymy z Hamasem (w Strefie Gazy), Hezbollahem (w Libanie) i reżimem ajatollahów (w Iranie). Nasza sprawa jest więc słuszna i wolno nam wszystko. A każdy, kto uważa inaczej, jest antysemitą i wspiera terroryzm.

Dziś już na szczęście coraz mniej osób daje się zastraszyć podobnymi „argumentami". Fakty są bowiem oczywiste. Armia Izraela jest najbardziej zbrodniczą armią współczesnego świata. Swoje operacje prowadzi z całkowitą pogardą dla ludzkiego życia. Z pełną premedytacją morduje cywilów na masową skalę.

Na celownik bierze również lekarzy, medyków, dziennikarzy i pracowników organizacji humanitarnych. Ofiarą Izraelczyków padł m.in. polski wolontariusz Damian Soból. Do dziś oczywiście nie doczekaliśmy się za to przeprosin, nie mówiąc o odszkodowaniu.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Izrael dopiero ostatnio – pod rządami radykalnych nacjonalistów – przeszedł metamorfozę i zaczął krzywdzić cywilów na masową skalę. Wprost przeciwnie –

eprasa.pl 5ab27a795f

państwo żydowskie zachowuje się tak od samego początku swojego istnienia.

Grzech Izraela

W roku swojego powstania – 1948 – Izraelczycy dokonali masowej czystki etnicznej na Arabach. W ramach tzw. Nakby wypędzili 730 tys. przedstawicieli rdzennej ludności Palestyny. Wypędzeniu towarzyszyły krwawe masakry, na czele ze słynną jatką w Dajr Jasin pod Jerozolimą.

W tym kontekście warto przypomnieć głośny wywiad, którego w 2021 r. gazecie „Haaretz" udzielił weteran ruchu syjonistycznego Jakow Szaret. „Państwo Izrael i cały projekt syjonistyczny narodziły się w grzechu – przekonywał. – Taka jest prawda. Ten grzech pierworodny nawiedza nas i będzie nas nawiedzał w przyszłości. On wisi nad nami. Staramy się go usprawiedliwiać, ale stał się naszym wewnętrznym, egzystencjalnym strachem, który wychodzi na wierzch na rozmaite sposoby. Pod powierzchnią wody szaleje sztorm".

I dalej: „Czuję się kolaborantem mimo woli. Jestem zmuszony do kolaborowania ze zbrodniczym państwem. Jestem tutaj i nie mam dokąd pójść. Z powodu mojego wieku jestem przygwożdżony do tego miejsca. To nie daje mi spokoju. Codziennie. Izrael jest krajem okupującym i prześladującym inny naród. Świadomość tego spędza mi sen z powiek".

Słowa te wywołały w państwie żydowskim szok i niedowierzanie. Prawdziwe trzęsienie ziemi. Dlaczego? Bo 95-letni wówczas Jakow Szaret – pseudonim konspiracyjny Kobi – miał w Izraelu status bohatera narodowego,

Samo nazwisko Szaret ma w Izraelu wydźwięk taki, jak w Polsce Piłsudski czy Dmowski. Mosze Szaret – ojciec Jakowa – był bowiem legendą ruchu syjonistycznego. W samym Tel Awiwie jest pięć szkół jego imienia. Uznawany jest za jednego z ojców założycieli państwa żydowskiego.

Podpis Mosze Szareta znalazł się pod ogłoszoną w 1948 r. Deklaracją Niepodległości Izraela. Wymienienie wszystkich zaszczytnych funkcji, które piastował, przekroczyłoby ramy tego artykułu. Oto niektóre z nich: premier, minister spraw zagranicznych, poseł do Knesetu, przewodniczący Światowej Organizacji Żydowskiej i Agencji Żydowskiej.

Szaret był jednym z najbardziej prominentnych i zagorzałych syjonistów. Przez pewien czas odpowiadał za pozyskiwanie palestyńskiej ziemi dla Żydów. Przyznawał wówczas, że wiązało się to z „transferem ludności", który miał „zredukować liczbę Arabów w Palestynie". Zachęcał Żydów z całego świata, aby przyjeżdżali na Bliski Wschód, osiedlali się na terytoriach ogołoconych z ludności arabskiej i realizowali na pustyniach Palestyny syjonistyczny sen.

Rodzina Szaretów – jak określił to dziennikarz „Haarec" – należała do śmietanki żydowskiej społeczności w Palestynie. Jakow Szaret początkowo szedł śladami ojca. Był członkiem syjonistycznej podziemnej organizacji zbrojnej Palmach. W trakcie drugiej wojny światowej walczył w szeregach Brygady Żydowskiej utworzonej przy armii brytyjskiej.

Po powstaniu Izraela służył w kontrwywiadzie Szin Bet. Jego specjalnością był Związek Sowiecki. Przez pewien czas pracował nawet pod przykrywką dyplomaty w ZSRS. Podczas pobytu w Rydze został jednak zdemaskowany, aresztowany przez KGB i wyrzucony z kraju za szpiegostwo. Jako młody człowiek Jakow był wierzącym syjonistą.

Agenda śmierci

Minęło jednak kilkadziesiąt lat i Jakow Szaret – zbliżając się do końca swych dni – zmienił zdanie. I to diametralnie. W wywiadzie udzielonym „Haaretzowi" uznał ideę syjonistyczną za grzeszną i wysoce niemoralną.

„Jeżeli Izrael nie jest OK, to ja też nie jestem OK – przekonywał. – Płacę tu w końcu podatki. Przez pewien czas istniała wielka nadzieja, że stworzono tutaj coś nowego. Ja sam byłem tego częścią. Ale dziś syjonizm, z mojego punktu widzenia, jest martwy. Wszystkie obietnice, które złożyliśmy, wyparowały. Nie czuję się z tym dobrze. Naszą narodową agendą stały się krew, śmierć i przemoc. Izrael żyje mieczem i cały czas go ostrzy. To mnie odpycha".

Szaret podkreślał, że niegodne postępowanie wobec Palestyńczyków prędzej czy później zemści się na Żydach. Myślał w tym kontekście przede wszystkim o Nakbie. Ale również o wszystkich późniejszych zbrodniach dokonanych na narodzie palestyńskim. Na czele z rozpoczętą w 1967 r. okupacją Zachodniego Brzegu Jordanu.

„Życie narodu żydowskiego jest naznaczone tragedią – mówił. – W momencie, w którym syjonizm wezwał Żydów do emigracji do Izraela, narodził się konflikt. Syjonistyczna idea zakładała bowiem przybycie do kraju, w którym mieszkał inny lud. W którym mieszkali ludzie innej narodowości i innej religii. Zupełnie inni niż my. Czy widział pan gdziekolwiek na świecie sytuację, żeby lud stanowiący większość dobrowolnie zgodził się podporządkować najeźdźcom z odległych krajów? Najeźdźcom, którzy mówią: »Tu kiedyś żyli nasi przodkowie«. I na podstawie tego twierdzenia próbującym przejąć kontrolę nad państwem".

Według Szareta takie było podłoże konfliktu, który rozpoczął się w Palestynie w latach 20. XX w. – gdy doszło do pierwszych zamieszek, walk żydowsko-arabskich i krwawych pogromów – i trwa do dzisiaj.

Jak przekonywał Szaret, idea syjonistyczna zrodziła jeden z najbardziej krwawych, najdłuższych konfliktów w historii ludzkości. Od jego rozpoczęcia minęło właśnie 100 lat i nic nie zapowiada, żeby się szybko skończył. Po wojnie 1948 r. przyszły kolejne wojny z Arabami.

Potem nastąpiły kolejne palestyńskie intifady i kolejne boje z Hezbollahem na skalistym pograniczu z Libanem. Kolejne zamachy terrorystyczne w izraelskich autobusach i kolejne akcje odwetowe. Izraelczycy i Palestyńczycy od samego początku aż do dzisiaj żyją w cieniu zaciętego konfliktu. Poziom nienawiści zamiast się obniżać – narasta.

Kulminację tego konfliktu widać obecnie. W 2023 r. Hamas przeprowadził krwawy atak na południowy Izrael, armia izraelska w odwecie utopiła Strefę Gazy we krwi, dokonując największego ludobójstwa XXI w. Izraelczycy uważają, że jedynym językiem, jaki rozumieją Arabowie, jest przemoc. A jeżeli to nie działa – to należy zastosować jeszcze więcej przemocy.

Na dłuższą metę – ostrzegał Szaret – stosowanie takiej polityki musi się źle skończyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ab27a795f

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

JANUSZ BRZOZOGŁOWY HERBU GRZYMAŁA NIE WZIĄŁ CO PRAWDA UDZIAŁU W BITWIE POD GRUNWALDEM, ALE I TAK ODEGRAŁ WAŻNĄ ROLĘ W WIELKIEJ WOJNIE Z ZAKONEM KRZYŻACKIM. WIOSNĄ 1410 ROKU ZOSTAŁ STAROSTĄ BYDGOSKIM, A KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO POWIERZYŁ MU ZADANIE POZOROWANIA DZIAŁAŃ ABY ZMYLIĆ KRZYŻAKÓW MIĘDZY INNYMI JEŚLI CHODZI O MIEJSCE KONCENTRACJI WOJSK ORAZ KIERUNKU POTENCJALNEGO ATAKU. GDY TYLKO ZAKOŃCZYŁ SIĘ ROZEJM KRZYŻACKO-POLSKI, BRZOZOGŁOWY PRZYSTĄPIŁ DO DZIAŁAŃ ZBROJNYCH. ZA SWÓJ CEL OBRAŁ ŚWIECIE, GDZIE STACJONOWAŁ KOMTUR ŚWIECKI HENRYK VON PLAUEN.





TEN UDANY ATAK SPRAWIŁ, ŻE KOMTUR HENRYK VON PLAUEN POZOSTAŁ ZE SWYM ODDZIAŁEM W ŚWIECIU I NIE WSPARŁ W BITWIE POD GRUNWALDEM WIELKIEGO MISTRZA. PO ZWYCIĘSTWIE POD GRUNWALDEM KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO POWIERZYŁ BRZOZOGŁOWEMU TUCHOLĘ, NA POCZĄTKU PAŹDZIERNIKA KRZYŻACY ROZPOCZĘLI JEJ OBLĘŻENIE.



WYSŁANE PRZEZ WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁĘ WOJSKA ROZBIŁY 10 PAŹDZIERNIKA 1410 ROKU KRZYŻAKÓW POD KORONOWEM, BIORĄC OKOŁO 300 JEŃCÓW. JEDNAK WIADOMOŚĆ O TYM NIE DOTARŁA DO OBLEGANEJ TUCHOLI. DO ZAMKU PRZYBYLI ZA TO TRZEJ RZEKOMI POLSCY RYCERZE, KTÓRZY USZLI Z POGROMU.



RELACJE PODSTAWIONYCH PRZEZ KRZYŻAKÓW LUDZI SPRAWIŁY, ŻE BRZOZOGŁOWY ZGODZIŁ SIĘ NA PERTRAKTACJE. USTALIŁ, ŻE ODDA TUCHOLĘ, A SAM WRAZ Z ZAŁOGĄ BĘDZIE MÓGŁ OPUŚCIĆ BEZPIECZNIE MURY. DOPIERO W INOWROCŁAWIU, GDZIE BYŁ OBÓZ KRÓLEWSKI, DOTARŁO DO NIEGO JAK BARDZO ZOSTAŁ OSZUKANY.



KRÓL PRZEBACZYŁ JANUSZOWI BRZOZOGŁOWEMU, A TEN ODWDZIĘCZYŁ SIĘ WIERNĄ SŁUŻBĄ W KOLEJNYCH LATACH, GDY BRONIŁ POGRANICZA I NĘKAŁ KRZYŻAKÓW NA RÓŻNE SPOSOBY. DO HISTORII PRZESZŁA JEGO SPEKTAKULARNA AKCJA ZE STYCZNIA 1411 ROKU, GDY DOKONAŁ WYPADU W OKOLICE POPOWA POD TORUNIEM. ZASKOCZYŁ KOMPLETNIE KRZYŻAKÓW I ZDOBYŁ KILKASET KONI.



eprasa.pl 5ab27a795f

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JERZY PTAKOWSKI: „AUSCHWITZ. BEZ CENZURY I BEZ LEGEND”

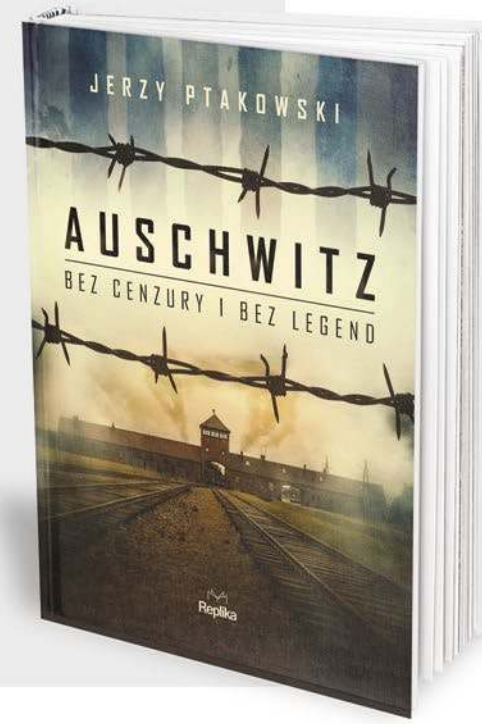
Niezwykłe wspomnienia z czterech lat spędzonych w kl Auschwitz. Obozowy ruch oporu w nowym świetle.

Jerzy Ptakowski mierzy się z mitami o Auschwitz narosłymi wskutek oddziaływania wieloletniej propagandy i tarć interesów rozbieżnych frakcji politycznych.

Opowiada o bohaterach: o Witoldzie i Janie Pileckich, o. Maksymilianie Kolbem i Janie Mosdorfie; o obozowym ruchu oporu i relacjach pomiędzy różnymi narodowościami. Wskazuje na nierozliczone po wojnie zbrodnie oraz zdarzenia, za sprawą których dziś głosi się, że „nie tylko Niemcy ponoszą odpowiedzialność”, bo „w Auschwitz mordowali także Polacy”.

Jako członek władz Stronnictwa Narodowego Ptakowski uwypukla obozową działalność narodowców z SN i ONR. Nie jest jednak stronniczy. Jego wspomnienia mają uzupełniać literaturę i nadrobić występujące w niej luki. Sam również uczestniczył we władzach podziemnych struktur. Podkreśla, że w dramatycznych warunkach obozowych nad partykularyzmem przeważało poczucie narodowej solidarności i wspólnoty bądź też zwyczajne zrozumienie dla ludzkiej niedoli. Pragnienie pokonania wspólnego wroga przełamywało lody i skłaniało do współpracy najzagorzalszych przedwojennych politycznych oponentów.

Taki obraz oraz spojrzenie przez pryzmat ugrupowań narodowych czynią książkę Ptakowskiego wręcz unikatową. O narodowcach w Auschwitz mówi się bowiem mało, niechętnie. Jakby wręcz „nie wypada”.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

171 zł

oszczędność 58 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5ab27a795f

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5ab27a795f